



JERZY EDIGEY

PRZY PODNIESIONEJ KURTYNIE

CZYTELNIK

CENA 7z-15z

CZYTELNIK

W takim samym wydaniu:

Bolleau-Narcejac
ZAWRÓT GŁOWY

John Dickson Carr
TABAKIERKA CESARZA

Dominik Damian
RUDA MODELKA



JERZY EDIGEY

PRZY

PODNIESIONEJ

KURTYNIE

CZYTELNIK • 1968

Okładkę projektował
PRZEMYSŁAW BYTOŃSKI
„Czytelnik”, Warszawa 1968.

Wydanie I,

Nakład 40 280.

Ark, wyd. 8,75; ark, druk. 15.

Papier druk, sat. 75 cm, ki. VII, 60 g z Głucholazów.

Oddano do składania 3 XI 1967 r.

Podpisano do druk« 1 II 1968 r.

Druk ukończono tu lutym 1968 r.

Zakłady Graf. „Dom Słowa Polskiego” w Warszawie.

Zam, wyd. 826;

druk. 0210.

T-94.

Cena 15.- zł

Printed in Poland

ROZDZIAŁ I

Cela nr 38

Zatrzymali się przed drzwiami. Jedną z wielu szarych płaszczyzn, którymi przecięty był długi więzienny korytarz. Na tle drzwi odbijał czarny numer „38”.

Strażnik sięgnął do kieszeni i wydobył pęk kluczy na stalowym kółku. Ale zanim otworzył drzwi celi nr 38, najpierw umocował pod numerem czerwoną tabliczkę z literą „I”. Znak, że lokator tego pomieszczenia przebywa w ścisłej izolacji i straży więziennej nie wolno dopuścić do jakichkolwiek rozmów z innymi więźniami i że tego aresztowanego należy wyprowadzać na spacer osobno, a nie w grupie współwięźniów.

Pod tabliczką z literą „I” zjawiał się jeszcze inny biały kartonik. Na nim oddziałowy czy też więzień pełniący obowiązki pomocnika oddziałowego wypisał czarnym atramentem dużym, wyraźnym pismem: JERZY PAWELSKI

A pod nazwiskiem — 225.

Tu, w więzieniu, każdy wiedział, że ta liczba oznacza po prostu artykuł kodeksu karnego. A wiadomo, że artykuł 225 to umyślne zabójstwo człowieka. Przestępstwo, za które grozi najwyższa kara — kara śmierci, czyli w języku

więziennym tak zwana „czapa”. Tej właśnie liczbie 225 więźniów, stojący teraz na korytarzu obok strażnika, zawdzięczał czerwoną literę „I” oraz wątpliwy przywilej posiadania własnej celi.

Klucz zgrzytnął w zamku i drzwi się uchyliły. Strażnik odsunął się nieco i wskazał więźniowi ruchem ręki, aby wszedł do celi. Sam stanął w progu.

— Dałem wam najlepszą celę — powiedział. — Za takie pomieszczenie w hotelu płacą po sto złotych na dobę. Dla was gratis, łącznie z wyżywieniem i obsługą.

Tym starym powiedzeniem każdy strażnik od lat wita każdego więźnia. I najczęściej tylko sam śmieje się ze swojego dowcipu. Widocznie jednak więzień ocenił wartość powiedzonka, a może po prostu postanowił niczym nie zrażać do siebie oddziałowego, bo uśmiechnął się również. Strażnika zachęciło to do dalszej rozmowy z „inteligentnym”, jak ocenił, aresztowanym.

— Jerzy Pawełski — rzekł. — Czytałem o was w gazetach. To wyście sprzątnęli tego aktora filmowego. Jak mu tam...

— Marian Zaremba.

— Właśnie. Zaremba. Widziałem go w filmie „Przygoda w Gdyni”. I jeszcze w paru innych. Przystojny mężczyzna.

— Przystojny — zgodził się więzień. — Ale to nie ja go zabiłem. Jestem niewinny.

Strażnik tylko ręką machnął.

— Przeszło dwadzieścia lat pracuję w więzieniu śledczym. Tu jeszcze żadnego winnego nie było. Wszyscy

mówią, że są niewinni i tylko milicja albo prokurator ich prześladowają. Co mnie to wreszcie obchodzi? Jeżeli chcecie mówić, że jesteście niewinni, mówcie. Wasza sprawa. Przed sądem i tak cała prawda wyjdzie na jaw.

— Kiedy ja naprawdę...

— Dobrze, dobrze — strażnik przybrał ton urzędowy.

— Pamiętajcie, w celi musi być czysto. W dzień aż do wieczornego apelu nie wolno leżeć na łóżku. Macie izolację, więc gazet nie dostaniecie, ale możecie prosić o książki z biblioteki. Jeżeli prokurator się zgodzi, to dostaniecie. Po-tem przyniosę papier i ołówek, to napiszecie podanie.

— Bardzo dziękuję.

Oddziałowy już chciał zamknąć drzwi celi, ale zatrzymał się jeszcze chwilę i obrzucając nowego więźnia uważnym, taksującym spojrzeniem, zapytał:

— Długo siedzieliście w areszcie tymczasowym?

— Pięć dni.

— Musieli was porządnie wymaglować. Przesłuchi-wania w milicji i u prokuratora. Pewnie ze dwa razy na dzień?

— Tak jest.

— Teraz odpoczniecie. Dzisiaj możecie położyć się na łóżku. Ale pamiętajcie, tylko dzisiaj! I czystość musi być.

Strażnik zatrzaskał drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Więzień został sam w celi. Dopiero teraz rozejrzał się po małym pomieszczeniu skromnie umeblowanym w łóżko, jeden stół, mały stolik i szafkę na rzeczy. W porównaniu z dniami spędzonymi w piwnicy tymczasowego

aresztu, cela była prawdziwym komfortem. Przede wszystkim dlatego, że była taka mała i że nikogo innego w niej nie było. Więzień wcale nie narzekał na długie, często powtarzające się przesłuchania. Z chwilą zatrzymania go, jak początkowo sądził, pod absurdalnym zarzutem popełnienia morderstwa, był przecież przygotowany na te przesłuchania. Nawet ich pragnął, gdyż ciągle sądził, że bez trudu potrafi udowodnić swoją niewinność. Natomiast znacznie gorsze od przesłuchań — przecież traktowano go tam grzecznie i z całą poprawnością — było przebywanie w tymczasowym areszcie pełnym najrozmaitszych mętów społecznych. Dlatego też decyzję prokuratora o przeniesieniu go do więzienia śledczego więzień powitał prawie tak radośnie, jak gdyby otrzymał zwolnienie. Teraz cieszył się, że jest nareszcie sam.

Podszedł do łóżka i usiadł na nim. Dopiero teraz poczuł, jak strasznie, jest zmęczony. Wyciągnął się na wąskim, więziennym łóżku i prawie natychmiast zasnął. Nie wiedział, jak długo spał. Obudził go ponowny zgrzyt klucza w zamku. W otwartych drzwiach stał ten sam strażnik.

— Dobrze się spało? — zapytał. — A pamiętacie, co się wam śniło? Pierwszy sen na nowym miejscu zawsze się sprawdza.

— Spałem tak mocno, że nic nie pamiętam.

— Książki dostaniecie i bez podania. Prokurator zezwolił. Przysłał wam też papier i długopis. Możecie pisać w celi, ile tylko chcecie. Ale ostrzegam, za najmniejszą próbę przesłania grypsu odbierze się wam papier i będziecie surowo ukarani.

- Nie będę pisał żadnych grypsów.
- Papier jest numerowany. Nie może zginąć żaden arkusik, ani nawet kawałeczek. Rozumiecie?
- Tak jest. Nie zginie.
- Macie. Pięćdziesiąt arkuszy. Sprawdźcie.
- Na pewno się zgadza.
- Oczywiście, że się zgadza — przytaknął strażnik. — W kancelarii więziennej numerowali, to musi się zgadzać.

Więzień odebrał stosik białych kartek i długopis w niebieskiej oprawie. Wszystko położył na stoliku.

- Co macie pisać? — strażnik był bardzo zaciekawiony. Po raz pierwszy w jego praktyce zdarzyło się, że prokurator przysłał więźniowi papier i ołówek. Normalnie prawo pisania było specjalnym przywilejem, udzielanym więźniom rzadko i z reguły dopiero po wyroku.

— To było tak. Jak pan wie, zostałem aresztowany pod zarzutem zamordowania Mariana Zaremby. Oczywiście od początku nie przyznawałem się do tego. Przed odesłaniem do więzienia śledczego prokurator jeszcze raz mnie przesłuchał i dał do podpisu druczek, na którym wypisano, że jestem podejrzany o przestępstwo.

- To się nazywa — odpowiedział strażnik — przedstawieniem zarzutów.

— Właśnie. Wtedy także nie przyznałem się...

- A nie lepiej było się przyznać? Sąd bierze takie rzeczy pod uwagę przy wyroku.

— Przecież nie mogę przyznać się do tego, czego nie popełniłem! Zarówno w śledztwie, jak i później nieustannie mi mówiono, że lepiej będzie dla mnie, jeżeli się przyznam

i szczerze wszystko opowiem. Inaczej będę oskarżony o morderstwo z premedytacją. A tak to może znajdą się jakieś okoliczności łagodzące. Ale ja nie mogę się przyznać, bo nie zabiłem Zaremby. W ogóle nikogo nie zabiłem.

Strażnik uśmiechnął się z powątpiewaniem. Prasa dużo pisała o zbrodni dokonanej w teatrze „Colosseum” i nie ukrywała, że sprawa wyjaśniona została ponad wszelką wątpliwość. Popularnego aktora teatralnego i filmowego, Mariana Zarembę, zamordował inspicjent teatru, Jerzy Pawelski. Według opinii prasy, morderca, zatrzymany od razu na miejscu zbrodni, nie przyznał się wprawdzie do swojego czynu, lecz władze śledcze posiadają niezbite dowody jego winy.

— Ja go nie zabiłem — powtórzył więzień. — Mówiłem to nieskończoną ilość razy zarówno oficerowi milicji prowadzącemu śledztwo, jak i później na przesłuchaniach u prokuratora. Teraz będę powtarzał to również panu.

— Mnie nic do tego. Jestem tylko oddziałowym.

— Ale pan mnie też posądza. Wszyscy mnie posądza. Żona, koledzy, przyjaciele. Wszyscy, wszyscy — więzień był coraz bardziej podniecony.

— Jeżeli pan jest niewinny, prawda wyjdzie na jaw — strażnik usiłował uspokoić swojego rozmówcę.

— Prokurator powiedział mi, że ma dostateczną ilość dowodów, aby natychmiast przystąpić do pisania aktu oskarżenia. Radził mi, żebym się namyślił i przyznał do wszystkiego. A jeżeli nie, to żebym szczegółowo opisał, co się wtedy zdarzyło w teatrze i co poprzedzało morderstwo.

Obiecał też, że jeżeli będę miał jakieś podejrzenia, on dokładnie sprawdzi te zarzuty. Innymi słowy, jeżeli nie jestem mordercą, niech wskażę zbrodniarza. Zapytałem wtedy prokuratora, w jaki sposób mam to uczynić, skoro będę uwięziony i pozbawiony możliwości działania? Prokurator przyrzekł przysłać mi do celi papier i ołówek. Każde moje spostrzeżenie mam notować i przekazywać jemu, on natomiast spowoduje, żeby milicja wyjaśniła każdy szczegół.

— Bardzo porządnie z panem postąpił — zauważył strażnik. — Pierwszy raz o czymś takim słyszę.

— Jestem niewinny — wybuchnął więzień — a nikt mi nie wierzy! Powiadają, żebym znalazł mordercę. Jak mam to zrobić? Od początku, od chwili, kiedy zobaczyłem krew na koszuli Zaremby, zastanawiałem się, kto jest sprawcą. Ale ja nic nie wiem i nic nie będę wiedział! Od szukania przestępców jest milicja i prokurator, a nie więzień siedzący w izolacji.

— Oni znaleźli podejrzanego i dlatego jesteście tutaj.

— Ja chyba oszaleję albo się powieszę!

— Ii... — filozoficznie zauważył strażnik. — Na to jeszcze czas.

— Właśnie — opanował się więzień. — Przecież jestem oskarżony z artykułu 225. Kara śmierci przez powieszenie.

— Nie to chciałem powiedzieć — strażnik zorientował się, że jego powiedzenie zbyt dosłownie odzwierciedliło sytuację aresztowanego. — Myślę, że najlepiej zrobicie,

jeżeli dobrze odpoczniecie, prześpicie się, a potem weźmiecie się do roboty. Rada pana prokuratora nie jest głupia. Jeżeli naprawdę jesteście niewinni, to mordercą jest inna osoba z waszego otoczenia. Kto najlepiej zna tych ludzi? Przecież nie prokurator i nie milicja, tylko właśnie wy. Wam najłatwiej odpowiedzieć, kto zabił i dlaczego tak was „w to wrobił. A skoro prokurator obiecał, że wszystko, co napiszecie, będzie sprawdzał i wyjaśniał, to na pewno słowa dotrzyma. Jemu nie zależy na waszej głowie, tylko na tym, żeby ukarać zabójcę Zaremby.

— Ale komu zależy na mojej głowie, że mnie tak wrobił w to morderstwo? Niech pan pomyśli, zamordował człowieka, żeby mnie wsadzić do więzienia jako oskarżonego o zbrodnię.

— Jeszcze nie jesteście oskarżonym, a podejrzanym.

— To wszystko jedno. Siedzę tutaj za to, że zamordowałem Zarembe, a jestem niewinny.

— Przypuszcza pan, że specjalnie zamordowano tego gościa, aby na pana rzucić podejrzenie?

— To samo pytanie postawił mi prokurator. Nie wiem. Nic nie wiem.

— Może po prostu ktoś zabił Zarembe, bo miał do niego jakiś żal, a wcale nie chciał wrabiać pana w to morderstwo? Teraz, kiedy pana zatrzymano, facet jest zadowolony i siedzi cicho. Trudno sobie wyobrazić, żeby poszedł do prokuratora i przyznał się do winy jedynie dlatego, żeby pana zwolniono.

— Zwariować można — mruknął więzień. — Myślę,

myślę i nic nie rozumiem. Czasem wydaje mi się, że jedyną osobą, która chciała mnie wpakować do więzienia, jest Basia.

— Żona?

— Tak. Ale ona przecież nie zastrzeliłaby Zaremby.

— No tak — zgodził się strażnik, który dobrze pamiętał z prasy opis zbrodni i jej tło. — Pewnie, że nie zastrzeliłaby swojego... — oddziałowy spostrzegł, że jego uwaga jest niezbyt taktowna, i zamilkł w połowie zdania.

— Może pan dokończyć. — więzień machnął ręką. — Oczywiście, że nie zamordowałaby Zaremby, człowieka, którego kochała czy też zdawało się jej, że go kocha.

— Miał pan jakichś wrogów?

— O to także wypytywała mnie milicja i prokurator. Bardzo dokładnie. Muszę przyznać, że chociaż są przekonani o mojej winie, moje tłumaczenia brali poważnie i wczuwali się w moje położenie.

— Dlatego też prokurator przysłał panu ten papier.

— Dużo mi to pomoże. Inna sprawa, gdybym był na wolności, mógł się poruszać i rozmawiać z ludźmi.

— To wtedy nic by pan nie zrobił. Nawet gdyby prokurator wypuścił pana z więzienia, nic by z tego nie wyszło. Rozmawiałby pan z różnymi ludźmi, oni by panu nie wierzyli i nie chcieli informować. A nawet gdyby pan dotarł do samego mordercy, toby pana pewnie wyrzucił za drzwi. Zupełnie inaczej, jeżeli pan przekaze swoje podejrzenia

prokuratorowi i milicji. Oni mają możliwości dokładnego sprawdzenia. Im ludzie muszą udzielić tych informacji, których pan nigdy by od nich nie wy dostał.

— Pocięza mnie pan.

— Co mam pocięzać? Mówię tylko prawdę. Wypocz-nij pan, uspokój się i bierz do roboty. Spokojnie i z rozwa-gą. Ma pan czas. Tu nie trzeba się śpieszyć.

— Cóż innego mi pozostaje? — więzień uśmiechnął się smutnie.

Strażnik zamknął drzwi celi. Kiedy w dwie godziny póź-niej przechodził korytarzem i uchylił pokrywy wizjera, zwanego na całym świecie i we wszystkich więzieniach „judaszem”, więzień leżał na łóżku i spał kamiennym snem. Strażnik się nie dziwił. Była to normalna reakcja większości zatrzymanych po przeżyciach wstępnego śledztwa i napię-ciu nerwowym, spowodowanym aresztowaniem.

Oddziałowego intrygował ten więzień. Dlaczego nie przyznaje się do przestępstwa? Dlaczego z takim uporem twierdzi, że jest niewinny? Przecież dokonał swojego czy-nu, zemścił się i na żonie, i na jej kochanku, którego w tak „dowcipny” sposób usunął z tego świata. Więc powinien być „honorowy” i przyznać się do zbrodni. Wszystko i wszyscy, nawet własna żona, przemawiają przeciw niemu. On jednak, pomimo dowodów czarno na białym, z uporem maniaka twierdzi, że nie popełnił morderstwa. W ten spo-sób tylko sobie szkodzi. I nie ulega wątpliwości, że dostanie czapę.

ROZDZIAŁ II

Fatalny dzień 28 września

„Ten dzień — dwudziestego ósmego września — będę pamiętał do końca życia. Nawet jeżeli Panu Prokuratorowi nie uda się skrócić mojego żywota do minimum. Od samego rana zaczął się pechowo. Najpierw w domu kolejna awantura z żoną. Poszło o jakieś głupstwo i od słowa do słowa zaczęło się na dobre. Dotychczas jakoś umiałem się powstrzymać i nie reagowałem na bolesne nieraz przycinki czy zaczepki Basi. Tym razem poniosło i mnie. Tak jak przed czterema dniami, w tamtej awanturze na korytarzu w teatrze »Colosseum«, kiedy to, nie panując już nad sobą, krzychałem, że prędzej »zabiję tego drania, niż dam ci rozwód«. Wcale nie zaprzeczam, że użyłem wtedy tych słów. Zresztą zaprzeczenia nie miałyby żadnego sensu, bo nasza kłótnia wywabiła z sąsiednich garderób prawie wszystkich aktorów. Słyszeli o tym i na pewno w swoich zeznaniach, złożonych w milicji, dokładnie je przytoczyli. Są one jednym z najpoważniejszych argumentów mówiących o mojej winie. Ale przecież pan sam, Panie Prokuratorze, dobrze wie, że w gniewie człowiek używa nieraz najrozmaitszych słów, których później żałuje, i pogróżek, których nigdy nie

ma zamiaru wykonać. Nic też dziwnego, że uniesiony gniewem, na słowa żony »to daj mi rozwód« odpowiedziałem »prędzej go zabiję, niż dam rozwód«. Może nawet rzeczywiście powiedziałem nieco inaczej: »Zabiję tego drańia«.

Nasza poranna sprzeczka zakończyła się czymś podobnym. Trzasnąłem drzwiami i poszedłem do swojego pokoju. Żona coś tam jeszcze wykrzykiwała pod moim adresem, ale nie chciałem tego słuchać. Byłem tak wzburzony, że musiałem się położyć. Wziąłem krople na serce. Ostatnio często dawało znać o sobie. Lekarz orzekł, że to nic groźnego, zwykła nerwica, i polecił nie denerwować się. Dobry sobie!

Kiedy przyszedłem do teatru, nasz dyrektor, Stanisław Hołobla, był wściekły. Miałem wątpliwe szczęście, że natknąłem się na niego od razu przy wejściu. Znowu wyciągnął sprawę nieszczęsnego pistoletu. Czy to moja wina, że straszak, jakiego używaliśmy z powodzeniem na wszystkich próbach, nagle odmówił posłuszeństwa i to akurat w dniu uroczystej premiery?

Jeszcze zrozumiałbym, gdyby te pretensje dyrektor miał do rekwizytora, ale do inspicjenta? Przecież moja rola polegała tylko na podaniu pistoletu aktorowi wychodzącemu na scenę. Sprawdziłem, czy nabój jest w lufie, i na tym koniec. Że kapiszon był wilgotny czy też sprężyna w straszaku nieco rozluźniona? Skąd mogłem o tym wiedzieć, a tym bardziej za to odpowiadać? Ale co robić? W teatrze, jak i gdzie indziej, zwierzchnik zawsze ma rację.

Na próbie znowu awantura. Tym razem między Zarembą

a reżyserem. Dyrektor poparł reżysera, bo już dawno był cięty na Zarembę. Za rzekome podstawianie mu nogi w ubiegłym sezonie, kiedy to omal nie skończyło się na odejściu dyrektora. Hołobla twierdził, że Zaremba i jeszcze ktoś inny chodzili nawet do ministerstwa ze skargą na niego. Nie wiem, jak tam było naprawdę, ale nie wydaje mi się, żeby Zaremba dążył do wysiudania dyrektora z jego stanowiska. Sam w każdym razie nie pretendował do fotela dyrekcyjnego. Gdyby nawet znał się na tym, to i tak nie podołałby i dyrektorowaniu, i grze w teatrze, i najrozmaitszym chałturom z telewizją i filmem na czele. Zresztą z Hołobłą Zarembie było bardzo wygodnie. Wymógł przecież na dyrektorze zaangażowanie Zygmunta Wiśniaka, który Mariana dublował w prawie wszystkich sztukach, co pozwalało Zarembie spokojnie przyjmować role w filmach i stale grywać w telewizji.

Przy obiedzie Basia nie odezwała się do mnie ani słowem. Zaraz potem wyszła z domu. Nie wiem, dokąd poszła, ale przypuszczam, że umówiła się z Zarembą. Razem przyszli do teatru wieczorem, chociaż tego dnia Zaremba nie grał. Był to bowiem dzień Wiśniaka.

Od dwóch tygodni idzie w naszym teatrze popularna, sensacyjna sztuka »Marie Octobre«. Francuska, bardzo zręcznie napisana przez trzech dziennikarzy. Podobno oparta na prawdziwych wydarzeniach.

Nie wiem, czy prokurator widział »Marie Octobre« w naszym teatrze. Może zresztą oglądał tę sztukę na filmie,

który w Polsce był wyświetlany chyba przed trzema laty i również cieszył się ogromnym powodzeniem.

W każdym razie treść sztuki jest następująca: w domu bogatego przemysłowca francuskiego, pana Renaud-Picard, zebrali się goście. Razem z gospodarzem jest tam dziewięciu mężczyzn i młoda, piękna kobieta, właśnie Marie Octobre. Poza tą dziesiątką w sztuce gra jeszcze jedna kobieta, Victorine, stara służąca.

Nie są to przygodni goście. Wszyscy ci ludzie przed piętnastu laty należeli do tajnej organizacji, walczącej z hitlerowskim okupantem. Organizatorem tej komórki ruchu oporu i jej wodzem był Castille, zamordowany przez gestapo właśnie przed piętnastu laty w tymże domu. Po śmierci Castille'a jego podkomendni rozbiegli się i każdy w ukryciu przeczekał czas okupacji. Po wojnie nie spotkali się. Dopiero teraz, z inicjatywy Marie Octobre, dawnej łączniczki, a obecnie właścicielki słynnego domu mody, ci ludzie znaleźli się znowu w salonie, który był miejscem tragedii.

Zebranie tylko pozornie ma charakter towarzyski. Drogi dawnych towarzyszy broni dawno się rozeszły. Jeden jest księdzem, inny był zawodowym bokserem, a obecnie prowadzi dość podejrzany lokal rozrywkowy w okolicy placu Pigalle. Jest tam i bogaty właściciel drukarni, i adwokat. Lekarz i rzeźnik, a nawet kontroler podatkowy.

Marie Octobre nie chodzi o dawne wspomnienia. Ona, która kochała swojego dowódcę, Castille'a, chce wykryć prawdę i ukarać zdrajcę. Oto ostatnio na pokaz mody

przyjechał niejaki pan Müller z Niemieckiej Republiki Federalnej. Obecnie handluje konfekcją, ale w czasie wojny był w gestapo i przebywał we Francji. Pan Müller przypomniał sobie wyspę organizacji Castille'a, a nawet pamiętał, że powodem tej wyspy była zdrada. Jeden z podwładnych wydał swojego przełożonego i całą organizację. Kiedy gestapo wpadło do domu, wszyscy uciekli. Tylko Castille nie zdążył i został zastrzelony.

Treścią sztuki jest wzajemne oskarżanie się dawnych towarzyszy broni o zdradę. Każdy kolejno jest podejrzewany i każdy usiłuje się uniewinnić, przedstawiając albo swoje alibi, albo w inny sposób dowodząc, że nie mógł być zdrajcą. W końcu umawiają się, że w razie zdemaskowania winnego, ten napisze list, iż popełnia samobójstwo i zostanie zastrzelony.

Prawda zostaje wykryta dzięki zastosowaniu podstępów. W pewnej chwili Marie Octobre zaprasza Müllera do salonu dla rozpoznania zdrajcy. Na schodach słychać ciężkie kroki mężczyzny. Właściciel drukarni Rougier załamuje się i demaskuje jako zdrajca. Początkowo usiłuje uciekać, terroryzując pozostałych pistoletem. Ale w pewnym momencie były zapaśnik Bernardi rzuca się na niego i rozbraja go. Zdrajca pod groźbą pistoletu pisze list zawiadamiający o swoim samobójstwie, a następnie pada, zastrzelony przez Marie Octobre.

Właśnie ten nieszczęsny pistolet narobił nam takiego kramu na premierze prasowej. Na próbach strzelał błędnie, wydając dużo huków. A na premierze na próżno Basia, grająca rolę Marie Octobre, naciskała cyngiel.

Rozległ się tylko lekki odgłos uderzenia iglicy o splotkę. Całe szczęście, że stojący tyłem do widowni Adam Lisowski, występujący w roli księdza Le Gueven, szybko zorientował się w sytuacji i mocno klasnął w ręce imitując wystrzał. Inaczej nie wiem, jak byśmy wybrnęli z tej wsypy. Dyrektor Hołobla szalał, bo niektórzy recenzenci spostrzegli sypnięcie się i wytknęli to nam w swoich recenzjach. Jak zwykle dyrektor wybrał za kozła ofiarnego inspicjenta, czyli mnie.

W »Marie Octobre« grali:

Marie Octobre — Barbara Pawelska, czyli moja żona

Victorine, stara służąca — Irena Skalska

Rougier, właściciel drukarni — Marian Zaremba, Zygmunt Wiśniak — zasadniczo co drugi dzień na zmianę

Simonean, adwokat — Andrzej Cichosz

Le Gueven, ksiądz — Adam Lisowski

Blanchet — Waclaw Dudziński

Marinval, rzeźnik — Ludomir Janecki

Renaud-Picard, właściciel domu, współnik Marie Octobre — Piotr Marski

Bernardi, były zapaśnik, właściciel nocnego lokalu — Jan Szafar

Thibaud, doktor — Janusz Banach

Vendamme, kontroler podatkowy — Bronisław Mason.

Pech, jaki prześladował mnie i cały teatr w dniu 28 września, bynajmniej nie skończył się awanturą na próbie. Przed przedstawieniem wszystko szło normalnym trybem. Nikt z aktorów się nie spóźnił. Byli na godzinę przed

rozpoczęciem spektaklu. Przyszedł też i reżyser, który chciał obserwować dzisiejsze przedstawienie, żeby ewentualnie poczynić jakieś uwagi i poprawki. Również kostiumy i rekwizyty były w całkowitym porządku. Rekwizytor zamówił w bufecie udko kaczki, które jeden z aktorów spożywa na scenie. Przygotował też kawę w filiżankach. Wnosi ją na scenę Victorine. Stała tacka z kieliszkami wypełnionymi sokiem owocowym, imitującym szampana. Na swoim miejscu leżał pistolet. Nie dawny straszak, którego używaliśmy aż do nieszczęsnego sypnięcia się na premierze, tylko zwykły pistolet typu Walter. Po premierze dyrektor Hołobła dał rekwizytorowi swój własny pistolet. Miał na niego pozwolenie. Zamiast prawdziwych naboji były ślepaki. Trzeba przyznać, że ta broń nie zawiodła ani razu. Pistolet wyglądał na scenie o wiele bardziej nobliwie niż nasz stary straszak, mały i niewiele przypominający swoim wyglądem autentyczną broń.

Jak zwykle na godzinę przed rozpoczęciem przedstawienia sprawdziłem wraz z rekwizytorem, czy wszystko jest w porządku. Nie znalazłem żadnych usterek i wobec tego uznałem, że rekwizytor może iść do domu. Pamiętam dobrze, że obaj sprawdzaliśmy, czy pistolet jest nabity. Nabój był w lufie. Oczywiście pustak. Ten fakt na pewno rekwizytor potwierdzi w swoich zeznaniach.

Muszę jeszcze wyjaśnić, że stół z rekwizytami znajdował się w prawej kulisie. Stał stosunkowo niedaleko miejsca, gdzie znajduje się stanowisko mechanika od podnoszenia i opuszczania kurtyny. Trzy metry nad nim jest

balkonik głównego elektryka, który też ma dobrą widoczność na całą kulisę, łącznie ze stolikiem. Większość aktorów wchodzi na scenę właśnie tą prawą kulisą. Dlatego tutaj umieściłem stolik z rekwizytami, bo najbliżej i wygodnie podawać. Tylko dwóch aktorów wchodzi na scenę lewą kulisą i jeden z kulisy na horyzont. Ale oni nie otrzymują żadnych rekwizytów. W ogóle sztuka, chociaż ma dwa akty, dzieje się w tych samych dekoracjach — wielkiego mieszczańskiego salonu — i ma bardzo mało rekwizytów. Jedynie filiżanki z czarną kawą, kieliszki z szampanem i talerzyk z udkiem kaczki oraz pistolet.

Już po pierwszym dzwonku, kiedy aktorzy szykowali się do wyjścia na scenę. Zygmunt Wiśniak schodząc z garderoby pośliznął się na schodkach i zjechał na dół. Z trudem wstał o własnych siłach, ale ani kroku nie mógł zrobić. Zwicznął nogę w kostce. Nieraz uprzedzałem dyrektora Hołoblę, że te przeklęte schody sprowadzą na nas nieszczęście. Prawie co tydzień ktoś się na nich niebezpiecznie potykał. Wąskie, kręte i na dodatek źle oświetlone. Dawno trzeba było je przerobić. Ale dyrektor ciągle zwlekał i powtarzał, że się zrobi, kiedy nastąpi generalny remont teatru. A ten remont zapowiadają już od pięciu lat, lecz jakoś nigdy nie można wszystkiego razem dopasować. Kiedy są pieniądze, to nie ma firmy, która podjęłaby się przeprowadzić roboty w czasie przerwy sezonowej. Kiedy jest firma, to znowu trudno dostać materiały budowlane. I tak dokoła Wojtek, a schody, jak były, tak są postrachem aktorów.

Prawdziwy cud, że dotychczas obyło się bez większego wypadku. Dopiero upadek Zygmunta Wiśniaka był poważniejszy w skutkach.

Szczęście w nieszczęściu, że Zaremba był przypadkowo w teatrze. Nawiasem mówiąc, ładny przypadek, niech to diabli wezmą. Przyszedł razem z moją żoną. A co robili przedtem?

Muszę przyznać, że Zaremba ani się skrzywił, ani wymigiwał. Zresztą wiedział, że w przeciwnym razie trzeba by było odwoływać całe przedstawienie, bo o tym, aby Wiśniak wyszedł na scenę, nie mogło być mowy.... Woźny i któryś z kolegów aktorów, nie wiem który, ale to łatwo sprawdzić, z trudem doprowadzili go do taksówki, aby pojechał nią do pogotowia.

Rozpoczęcie przedstawienia opóźniło się o prawie dziesięć minut. Dyrektor biegał jak wściekły. Polecał nawet do garderoby Zarembę, żeby go przynaglić. Ale ten grzecznie wyprosił Hołobłą z pokoju tłumacząc, że nie przebrany i nie ucharakteryzowany nie wyjdzie na scenę i im dłużej dyrektor będzie przebywał w jego garderobie, tym bardziej opóźni się przedstawienie. Ponieważ bileterzy mieli już w sprzedaży programy, przeto nie można już było skreślić na liście aktorów nazwiska Wiśniaka, a zostawić Zarembę. Publiczność, która kupiła programy, była przekonana, że gra Wiśniak, a tymczasem na scenie zobaczyła popularnego Marianka. W przerwie przedstawienia parę osób zwróciło w sekretariacie uwagę, że w teatrze panuje bałagan, ponieważ sami nie wiemy, kto gra w naszej sztuce.

Przedstawienie toczyło się normalnie. Bez żadnych

zgrzytów i sypnięć. Sufler, on też znajdował się w prawej kulisie, niewiele miał do roboty. Zresztą reżyser, pan Henryk Letyński, tak wymagł aktorów, że znali swoje role jak pacierz. Teraz Letyński kręcił się za kulisami i obserwował przedstawienie to z lewej, to z prawej kulisy. Zaglądał również za horyzont. Coś notował w zeszytiku. Dyrektor Hołobla pierwszą połowę przedstawienia przesiedział w swojej łoży, tej na balkonie, po lewej stronie widowni. Później zszedł na dół i zarówno w czasie antraktu, jak i przez drugą połowę sztuki obserwował przedstawienie zza kulis.

Wreszcie nadeszła ostatnia scena sztuki. Piotr Marski grający rolę Renaud-Picarda wymienia nazwiska wszystkich członków organizacji, którzy zginęli w walce z wrogiem. Gdy padło nazwisko «Castille», Basia, czyli Marie Octobre, zgodnie z tekstem chwyciła leżący na stole pistolet i z odległości około dwóch metrów strzeliła do siedzącego na krześle Zaremby-Rougiera, celując w lewą pierś. Rozległ się huk wystrzału. Od razu wydało mi się, że coś nie jest w porządku. Przez moment widziałem niezmiernie zdziwioną twarz Mariana Zaremby. Za chwilę aktor zsunął się z fotela jakoś dziwnie miękko. Już to samo było odstępstwem od reżyserii sztuki, gdyż po strzale, zgodnie z ustawieniem reżysera, Zaremba miał odchylić głowę do tyłu i pozostać w pozycji półleżącej.

Ku swojemu wielkiemu przerażeniu zobaczyłem na białej koszuli aktora, z lewej strony, tam gdzie znajduje się serce, szybko rosnącą czerwoną plamę. Zrozumiałem, że stało się coś strasznego. Oczywiście początkowo nie

myślałem, że jestem świadkiem zabójstwa. Sądziłem po prostu, że ślepek miał dość twardą przybitkę i właśnie ta przybitka zraniła Zarembę.

Stałem w prawej kulisie. Sztuka »Marie Octobre« nie kończy się wystrzałem oddanym do zdrajcy. Po strzale Marie Octobre rzuca pistolet i biorąc w rękę słuchawkę telefoniczną nakręca numer policji, chcąc przyznać się do swojego czynu. Adam Lisowski — ksiądz Le Gueven, który od początku sprzeciwiał się dziwnemu śledztwu i samosądowi — bierze z rąk Marie Octobre słuchawkę i zawiadamia policję, że »jakiś człowiek odebrał sobie życie«. To są ostatnie słowa sztuki.

Basia, moja żona, grająca rolę Marie Octobre, po oddaniu wystrzału zgodnie z tekstem ujęła słuchawkę. Ale ja przyskoczyłem do stojącego nie opodal mnie kurtylniarza i krzyknąłem: »natychmiast kurtylna«.

Kurtylna spadła. Rozległ się grzmot oklasków. Publiczność nie zauważyła, że na scenie miał miejsce wypadek. Aktorzy stali zdziwieni, nie rozumiejąc, dlaczego przerwałem przedstawienie przed końcem. Kurtylniarz słysząc owacje sali chciał, jak zawsze, znowu podnieść kurtylnę, aby aktorzy mogli podziękować widowni za uznanie. Znowu sprzeciwilem się temu, wydając zarządzenie »nie podnosić kurtylny, niech aktorzy wyjdą na proscenium«.

Dopiero wtedy Basia spostrzegła, że Zaremba wciąż leży na podłodze, a z rany sączy się krew. Upadła na kolana przed rannym i usiłowała go podnieść. Zbliżyłem się również. Odchyliłem koszulę na piersiach leżącego. Teraz nie

miałem żadnych wątpliwości. Trochę poniżej lewej brodawki piersiowej widniał mały, krwawy okrągły otworek. Byłem na wojnie i później brałem udział w Powstaniu Warszawskim. Widziałem dużo takich małych otworków. Zrozumiałem od razu, że to nie skaleczenie twardą przybitką ślepaka, tylko regularny otwór po kuli. Zorientowałem się też, że chwile życia Zaremby są policzone. Z takiej odległości Basia nie mogła chybić. Wpakowała kulę prawie w samo serce.

Wstałem i wybiegając ze sceny zawołałem, nie pamiętam, czy do któregoś z garderobianych, czy też do spotkanego sekretarza teatru: »natychmiast dzwonić po pogotowie i milicję«. Ten ktoś, komu wydałem to polecenie, musiał mieć dziwną minę, ponieważ nie rozumiał powodu mojego tak niezwykłego rozkazu. Dodałem więc tytułem wyjaśnienia: »Zaremba nie żyje. Został zastrzelony na scenie. To morderstwo«.

Te słowa i moje zachowanie, fakt, że ja pierwszy zorientowałem się w sytuacji i nawet usiłowałem ratować Zarembę, żądając natychmiastowego sprowadzenia pogotowia, oraz to, że domyśliłem się, iż na osobie popularnego aktora popełniono morderstwo, zostały zinterpretowane przez oficera milicji jako jeden z głównych zarzutów przeciwko mnie. Kapitan, nie znam jego nazwiska, twierdził: »Pan od początku wiedział, że to jest zabójstwo. Przerwał pan przedstawienie i pobiegł, aby wezwać pogotowie i milicję. Bo pan sam zainscenizował ten wypadek. Nabił pan pistolet nie ślepakiem, tylko prawdziwym pociskiem i czekał na skutek«.

Przecież, Panie Prokuratorze, takie rozumowanie nie wytrzyma krytyki. Gdybym to ja wsadził kulę do pistoletu, nie śpieszyłbym się z ratowaniem Zaremby. Niech kona na deskach sceny. Udawałbym, że niczego nie spostrzegłem. Zobaczyłem krew na koszuli aktora, więc przerwałem przedstawienie. Kiedy bliżej przyjrzałem się ranie, pojąłem, że to nie wypadek ze ślepakiem, lecz śmiertelna rana. A zatem morderstwo. Przecież razem z rekwizytorzem sprawdziliśmy przed przedstawieniem, że w lufie znajduje się ślepy pocisk.

Dalszy przebieg wydarzeń był prawie błyskawiczny. Milicyjna warszawa przybyła na miejsce wypadku już w trzy minuty po wezwaniu. Prawie jednocześnie zjawiła się karetka pogotowia, a w parę minut potem druga milicyjna warszawa, tym razem z ekipą śledczą.

Czekałem na milicję przed wejściem do teatru. W paru słowach wyjaśniłem, co zaszło, i zaprowadziłem na scenę. Tam Zaremba ciągle leżał nieprzytomny na podłodze. Przy nim krzątał się lekarz pogotowia. O ile sobie przypominam, dawał choremu jakiś zastrzyk. Prawdopodobnie na pobudzenie akcji serca. Moja żona nadal klęczała przy Marianie i podtrzymywała jego głowę. Wokół nich stała grupka osób. Wszyscy aktorzy grający w sztuce, maszyniści i elektrycy, sufler, reżyser i dyrektor oraz ktoś z sekretariatu teatru.

Na widok mundurów milicyjnych Barbara zerwała się z podłogi i wskazując na mnie ręką zawołała:

»To jest morderca! On zabił Mariana!«

Po rzuceniu tego potwornego oskarżenia żona dostała ataku hysterii. Ktoś ją przytrzymał, bo chciała rzucić się na mnie. Paru kolegów wyprowadziło ją prawie siłą ze sceny. Wiem, że lekarz dał jej coś na uspokojenie.

Milicja rozpoczęła swoje, zwykle w takich wypadkach, czynności. Pogotowie zabrało nieprzytomnego Zarembę do szpitala. Nikomu z nas nie wolno było opuszczać teatru. Przesłuchania trwały do późnej nocy. Dopiero po godzinie drugiej wszystkich zwolniono. Mnie zatrzymano i przewieziono do aresztu milicyjnego.

Całe oskarżenie, jakie milicja wysunęła przeciwko mnie, opiera się na czterech punktach:

Po pierwsze: publicznie groziłem, że zabiję Mariana Zarembę. Jak już wyjaśniłem uprzednio, użyłem tych słów w sprzeczce z żoną, uniesiony gniewem. Nie mają one żadnego znaczenia. Nigdy nie myślałem o tym na serio. Świadkowie mogą potwierdzić, że na ogół jestem człowiekiem spokojnym i panującym nad sobą. Czasem jednak tracę równowagę psychiczną i wtedy wpadam w podniecenie. Nie bardzo zdaję sobie sprawę z tego, co mówię i robię. Na dowód tej mojej cechy charakteru przytoczę dwa wydarzenia. Przed bodaj czterema laty pokłóciłem się z ówczesnym dyrektorem »Colosseum«, a moim serdecznym przyjacielem, Zbigniewem Derbiczem. Wtedy również wykrzykiwałem pod adresem dyrektora najrozmaitsze, bezsensowne pogrożki, a nawet wybiegłem z gabinetu dyrektorskiego rzekomo w poszukiwaniu jakiejś broni dla uśmiercenia przyjaciela. Oczywiście wkrótce złość przeszła, przeprosiłem

dyrektora, który znając mnie dobrze, serdecznie uśmieł się z całego incydentu.

Jeszcze większa awantura zdarzyła się przed rokiem. Tym razem pokłóciłem się z szefem maszynistów. Poszło o jakiś drobiazg. Bodaj o niewielkie uchybienie w czasie poprzedniego przedstawienia. Dość, że od słowa do słowa, rzuciłem się z pięściami na Bogu ducha winnego człowieka, tak że musiał uciekać. Cała ta kłótnia odbywała się na scenie. Goniłem go aż do schodków prowadzących na balkonik elektryka. Naturalnie, po oprzytomnieniu, przeprosiłem szefa mechaników, który znając mnie od tylu lat nie ma do mnie żalu za tę historię. Moja żona, gdyby była obiektywnym świadkiem, na pewno potwierdziłaby tę cechę mego charakteru. Zaznaczam, że tego rodzaju wybuchy zdarzają mi się bardzo rzadko. Najwyżej raz na parę lat.

Drugim punktem oskarżeń jest argument, że przerwałem przedstawienie, kazałem zapuścić kurtynę i poleciłem wezwać zarówno lekarza, jak i milicję. A więc rzekomo, jako sprawca zbrodni, doskonale wiedziałem, co zaszło na scenie, i wykazując »nadmierną« operatywność chciałem odwrócić podejrzenia od swojej osoby. Rozpawiłem się już z tymi argumentami i nie uważam za potrzebne do nich powracać.

Po trzecie: podałem aktorowi, wychodzącemu na scenę, pistolet. Nikt później nie miał możliwości zamienić ślepego naboju na prawdziwą kulę. Podając broń, powinienem sprawdzić, czy jest nabita i czym jest nabita. Nie zrobiłem tego, bo dobrze wiedziałem, że pistolet jest naładowany

śmiercionośnym pociskiem. Wszystkie te zarzuty, moim zdaniem, nie trzymają się kupy. Na całym świecie zawsze inspicjent podaje aktorom wychodzącym na scenę rekwizyty potrzebne do gry. Nigdy nie sprawdzałem pistoletu w momencie podawania go aktorowi, bo na to nie ma już wtedy czasu. Broń sprawdzaliśmy codziennie wraz z rekwizytorem wówczas, kiedy przygotowywaliśmy wszystkie rekwizyty potrzebne w sztuce »Marie Octobre«. Zrobiliśmy to również i przed tym tragicznym przedstawieniem. W lufie na pewno był ślepy pocisk. Przyznaję, że w momencie, kiedy pistolet znalazł się już na scenie, nikt nie mógł zamienić naboju. Ale zwracam uwagę, że rekwizytor położył pistolet na stoliku wraz z innymi przedmiotami. Było to na godzinę przed przedstawieniem. Później niczego nie ruszałem aż do chwili, kiedy zgodnie z wymogami sytuacji scenicznej wziąłem broń ze stolika, podałem aktorowi i dałem mu znak, aby wyszedł na scenę.

Koło stolika kręcili się wszyscy aktorzy. Wchodzili na scenę, schodzili z niej, szli do swoich garderób lub z nich wracali. Przechodził tamtędy wiele razy zarówno dyrektor teatru Stanisław Hołobla, jak i reżyser sztuki Henryk Leżyński. Był w pobliżu sufler i mechanik od kurtyny. Elektryk siedzący na balkoniku nad kulisą, udając się na swoje stanowisko lub je opuszczając, musiał również przebyć drogę koło stolika z rekwizytami. Każdy aktor grający w sztuce oraz reżyser, dyrektor, sufler i maszyniści, wszyscy ci ludzie mieli możliwość wzięcia do ręki pistoletu i dokonania zamiany pocisku. Taka operacja zajmuje najwyżej pięć sekund. Ci wszyscy ludzie muszą więc być równie

podejrzani jak ja. Dlaczego ich milicja nie osadziła w areszcie, tylko mnie jednego spotkało to wyróżnienie? Dlaczego pan prokurator dal sankcję na to aresztowanie?

Wreszcie ostatni, czwarty argument śledztwa milicji: nawet własna żona oskarżyła mnie o popełnienie zbrodni. Ten zarzut pozornie tylko jest groźny. Trzeba wziąć pod uwagę, że ostatnio nasze pożycie małżeńskie bardzo się popsulo. Prawie codziennie dochodziło między nami do przykrych sporów i ostrej wymiany zdań. Powodem ich był najczęściej Marian Zaremba. Poza tym, rzucając swoje bezpodstawne oskarżenie, żona znajdowała się pod wpływem szoku. To zrozumiałe. Przecież ona właśnie była bezpośrednim zabójcą Zaremby. Ona nacisnęła spust pistoletu i ona nakierowała lufę trzymanej w rękę broni dokładnie w kierunku serca aktora. A ja jej tę broń podałem. W takich warunkach szok Barbary jest zupełnie naturalny i nie może odpowiadać za to, co później mówiła czy też robiła. Jej słów nie można brać poważnie.

Milicja, dążąc do jak najszybszego wykrycia mordercy, poszła, niestety, po linii najmniejszego oporu. Po krótkim przesłuchaniu, wszystkich obecnych w teatrze uznała, że winnym może być jedynie inspicjent, i bez namysłu wpakowała mnie do więzienia. Pan Prokurator również zasugerował się tym stanowiskiem milicji. Powtarzam raz jeszcze i będę powtarzał to zawsze. Nawet gdyby skazano mnie na karę śmierci, powiem to i pod szubienicą: jestem niewinny.

J e s t e m n i e w i n n y . ”

ROZDZIAŁ III

Mój życiorys

Doszedłem do przekonania, że błędy popełnione przez milicję w czasie śledztwa, a następnie przekonanie prokuratora o mojej winie wpływają w dużej mierze z ich nieznamomości mojego życiorysu. Tragiczne przeżycia, które tak ciężko mnie dotknęły, nie mogły nie pozostawić trwałych śladów na charakterze. Mam nadzieję, że dokładne zbadanie mojego życiorysu pozwoli dojść do jedyne-
go, słusznego wniosku — nie ja jestem mordercą Zaremby.

Już w szkole średniej zauważono, że uczeń Jerzy Pawełski ma wspaniały głos — tenor liryczny. Zawsze lubiłem śpiewać, ale zarówno ja, jak i moi rodzice nie zdawaliśmy sobie sprawy, że skala mojego głosu pozwala na karierę śpiewaka. Dopiero nauczyciele zwrócili na to uwagę i gorąco namawiali ojca, aby kształcił mnie w tym kierunku. Niewątpliwie dla rodziców był to bardzo ciężki wysiłek finansowy, bo studia śpiewacze przed wojną drogo kosztowały. Zbyt wiele, jak na skromnego urzędnika ministerstwa handlu i przemysłu, a takie stanowisko posiadał mój ojciec. Pochodzę więc, jak to się nazywa, z „inteligencji pracującej”.

Już przed wojną zacząłem śpiewać. O dostaniu się do

Opery Warszawskiej nie było mowy. Ale zaangażowano mnie do Poznania, gdzie, być może, udałoby mi się nawet zrobić karierę, gdyby nie wybuch wojny.

Krótką kampanię wojenną przebyłem w jednym z pułków artylerii. Zacząłem ją pod Sieradzem, a skończyłem w oblężonym Modlinie. Do niewoli nie poszedłem. Całą okupację mieszkalem w Warszawie. Zajmowałem się „trochę handlem, pracowałem w pewnej firmie budowlanej. Radziłem sobie, jak umialem, lecz nie zaniedbywałem nauki śpiewu. W tym czasie mój głos ostatecznie się rozwinął. Podczas wojny nie odznaczyłem się niczym szczególnym. Nie znaczy to, że byłem tchórzem. Po prostu byłem dobrym żołnierzem, spełniającym rozkazy dowódcy, ale bez nadmiernej brawury. Kiedy trzeba było atakować, szedłem naprzód. Gdy padł rozkaz cofania się, odwracałem się tyłem do nieprzyjaciela. Strzelałem starając się trafić do celu, ale nie zapominałem o tym, żeby i mnie nie trafiono. W czasie oblężenia Modlina zostałem lekko ranny w rękę i podobno przedstawiono mnie do Krzyża Walecznych. Nigdy jednak tego odznaczenia nie otrzymałem i nigdy po wojnie nie upominałem się o order.

Wybuch Powstania Warszawskiego zastał mnie na Mokotowie. Zgłosiłem się do najbliższego oddziału i jako stonsunkowo młody człowiek, w dodatku podchorąży plutonowy, zostałem przyjęty. Biłem się aż do kapitulacji Mokotowa. Miałem szczęście, nawet nie zostałem ranny. Nie poszedłem też do niewoli. W cywilnym ubraniu udało mi się przejść przez obóz w Pruszkowie, symulując złamaną rękę,

i wydostać na wolność.

Zaraz po wyzwoleniu trafiłem do Katowic, do Opery Śląskiej. Pierwsza wielka aria Jontka w „Halce” to zarazem pierwszy sukces życiowy. Po roku pracy w Katowicach wyjechałem za granicę i rozpocząłem wielką karierę.

Śpiewałem we wszystkich wielkich operach Europy i w Stanach Zjednoczonych. Z najwybitniejszymi śpiewaczkami. Powodzenie szło za mną krok w krok. Giovanni Pavellini, bo taki wybrałem pseudonim sceniczny, rokował nadzieję powtórzenia kariery, jeżeli już nie wielkiego Caruso, to przynajmniej Jana Kiepurę.

Wtedy też zmieniłem stan cywilny. Moją żoną została Barbara Morochówna, wówczas studentka drugiego roku Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej. Każdy śpiewak musi dbać przede wszystkim o rozgłos i sławę w kraju ojczystym. Sukcesy wояażów zagranicznych nie zastąpią powodzenia w ojczyźnie. Przeciwnie, śpiewak, który zdobył sobie imię w kraju, zawsze znajdzie engagement za granicą. Nic więc dziwnego, że ja również mimo korzystnych ofert rozmaitych impresariów dbałem o popularność w Polsce i co roku starałem się śpiewać przynajmniej w jednym z naszych teatrów operowych. Przy okazji takiego występu w Warszawie zaproszono sławnego śpiewaka Giovanni Pavellini na przesłuchanie do PIST-u. Tutaj wprawdzie nie szkolą śpiewaków, tylko artystów scenicznych, ale kładą wielki nacisk na to, aby przyszły aktor umiał posługiwać się

swoim głosem i mógł, jeśli to wynika z roli, również i zaśpiewać na scenie.

Tam właśnie zobaczyłem pierwszy raz Barbarę i zakochałem się od pierwszego wejrzenia jak głupi sztubak.

Nie upłynęło i trzy tygodnie, jak została moją żoną. Byłem od niej starszy p osiemnaście lat. Wydawało mi się jednak, że zdobyłem wzajemność młodej dziewczyny. Chcę być sprawiedliwy. Nie przypuszczam, żeby Barbara wyszła za mnie wyłącznie dla pieniędzy. Na to nie wyglądało. Dzisiaj z pozycji człowieka doświadczonego, który tyle w życiu przeszedł, widzę, że studentka drugiego roku PIST-u po prostu zakochała się w sławie wielkiego śpiewaka, może nawet w jego głosie. Imponowało jej, że zostaje wybrana przez mężczyznę, za którym szalało tyle kobiet, i że zostaje żoną wielkiego artysty. Mówię to bez zarzucia, bo każdy sławny aktor lub śpiewak ma wielkie powodzenie.

Być może, na jej decyzję wpłynęło również i to, że powszechnie jej zazdrośczone. Nie przypuszczam jednak, aby w tym wyborze grały rolę jakieś niskie, materialne pobudki.

Przez parę lat byłem bardzo szczęśliwy. Wydawało mi się, że mam kochającą żonę, miałem też sławę i pieniądze. Przypuszczałem, że to będzie wieczne. Jedynym nieporozumieniem pierwszych lat małżeństwa był niezrozumiały dla mnie upór Basi — skończenia szkoły i gry w teatrze. Chciałem, żeby się całkowicie poświęciła mnie, domowi i naszym dwojgu dzieciom.

Barbara była uparta. Skończyła szkołę, zaangażowała

się do teatru. Nie zrobiła tam błyskawicznej kariery, tak jak ja na deskach operowych, lecz nieustannie posuwała się w górę. Powoli zdobyła imię, otrzymywała coraz większe role. Nigdy nie pomagałem jej w karierze scenicznej, po prostu dlatego że zawsze byłem temu przeciwny. Tak kochałem żonę, że nawet o jej sukcesy sceniczne byłem zazdrosny. Zresztą rozumowałem raczej słusznie. Starszy mąż musi żonie imponować. Sławny śpiewak nie będzie imponował równie sławnej aktorce.

Oddając co cesarskiego cesarzowi, zaznaczam również, że Barbara była i jest bardzo dobrą matką, kochającą nasze dzieci i umiejącą je wychować. Siedząc samotnie w celi i mając tyle czasu na myślenie, widzę dobrze, że właśnie ta miłość do dzieci sprawiła, iż nasze małżeństwo ostało się aż do ostatnich czasów pomimo burz, które wielokrotnie przeciągały nad naszym domem.

Na razie jednak życie układało się jak najlepiej. Cieszyłem się szczęściem rodzinnym i zaliczano mnie do czołówki śpiewaków świata. Przyszłość rysowała się wprost wspaniale. W ślad za sławą szły i pieniądze. Chcę tu podkreślić, że nigdy nie przywiązywałem większego znaczenia do pieniędzy. Nigdy też, niestety, nie byłem oszczędny. Zarabiałem dużo, ale też i wiele wydawałem. Zdawało mi się, że dobrobyt będzie trwał zawsze.

A to wszystko skończyło się bardzo szybko.

Nieszczęście przyszło nagle i niespodziewanie. Odbywałem wówczas tournée po Anglii. Byłem w świetnej formie i święciłem ogromne sukcesy. Kolejne występy wypadły w Liverpool. Pogoda była bardzo ładna, wcale nie

„angielska”. Więc nie ona mi zaszkodziła. A jednak po przedstawieniu „Toski”, gdzie miałem kolosalne powodzenie, bo musiałem aż dwukrotnie bisować, obudziwszy się rano w hotelu nie mogłem wydobyć głosu z gardła. Oczywiście następne występy trzeba było odwołać. Miejscowi laryngolodzy stosowali najrozmaitsze środki, ale osiągnęli jedynie tyle, że mogłem mówić półgłosem. Już ta wstępna kuracja kosztowała bardzo dużo. Potem koszty rosły wprost błyskawicznie: Wiedeń, Sztokholm, Paryż. Leczyli mnie najlepsi specjaliści Europy. Nie za darmo. Gdybym od razu, na początku katastrofy, zrezygnował z dalszej kariery śpiewaka i wrócił do kraju, na nasze stosunki byłbym zamożnym człowiekiem. Można by było żyć z samych procentów w PKO. Ale mnie ciągle się zdawało, że lada dzień będę z powrotem zdrowy: wróci głos, sława i pieniądze.

Kuracja trwała przeszło półtora roku i pochłonęła wszystkie moje zasoby pieniężne. Dyrekcje oper i poszczególni impresario, którzy przedtem tak zabiegali o moje występy, teraz ani myśleli przyjść mi z pomocą.

Wreszcie długotrwałe leczenie odniosło skutek. Odzyskałem głos. A przynajmniej wmawiałem w siebie, że odzyskałem głos. Naprawdę jednak mój liryczny tenor nie był już ani tak głęboki, ani nie rozporządzałem tą skalą co dawniej. Szybko przekonałem się, że sława przemija. Proponowane obecnie warunki były dużo gorsze niż przed dwoma laty. Nie mogłem się jednak cenić, musiałem brać, co dają. Publiczność, dawniej tak pełna entuzjazmu,

słuchała mnie teraz w atmosferze dużo chłodniejszej. Już nie zmuszano mnie do dwukrotnego bisowania poszczególnych arii.

Byłem jednakże pełen optymizmu i święcie wierzyłem, że powrót dawnej, wielkiej formy jest kwestią czasu. Wtedy powróci podziw i uznanie widzów, i korzystne kontrakty dyrekcji oper. Śpiewałem osiem miesięcy, prawie cały sezon. Nawrót choroby nastąpił tak samo nagle jak pierwszy atak. Właśnie wtedy, kiedy zdawało mi się, że na powrót osiągam dawną kondycję. Pewnego majowego poranka obudziłem się i znowu mogłem mówić tylko szeptem.

Nadal walczyłem ze złym losem. Wszystko, co miałem, pochłonęła dalsza kuracja. Pozornie odzyskałem głos. Był bardziej chropowaty i słabszy. Po trzech miesiącach choroba powaliła mnie na nowo. Tym razem sławny mediolański laryngolog, opiekun głosu tylu sław operowych, orzekł bez ogródek, że już nigdy nie będę śpiewał. Mam jakieś specjalne wirusowe zapalenie strun głosowych, na które nie wynaleziono jeszcze lekarstwa. Najwyżej odzyskam głos na tyle, żeby mówić normalnie.

Wróciłem do kraju biedakiem. Jedynym moim dorobkiem, pozostałym z czasów dawnej świetności, był domek jednorodzinny na Ochocie. Mieszkała tam żona i dzieci. Teraz zamiast sławnego, bogatego śpiewaka wylądował w tym domu człowiek będący moralną i fizyczną ruiną. Nie mający żadnego fachu, nie znający żadnego sposobu zarobkowania. Nawet nauczycielem śpiewu — los wszystkich artystów operowych na starość — nie mogłem być.

Nie każda miłość wytrzyma taką próbę życia.

Miłość mojej żony jej nie wytrzymała. Ale łączyły nas dzieci. Dziewczynka i chłopiec. Mieli wtedy pięć i trzy latka. Przypuszczam, że tylko dlatego Barbara pozostała przy mnie. A może po prostu litowała się nade mną?

Przez dwa lata nic nie robiłem. Nie byłem zdolny do jakiegokolwiek pracy. Nie pozwalało na to zdrowie i szok psychiczny. Spadłem ze zbyt wysokiego konia, żeby się przy tym dotkliwie nie potłuc. Żona pracowała w teatrze zyskując coraz większe powodzenie. Nie była gwiazdą, ale ceniono ją jako pracownicę, zdolną aktorkę. Ze swojej gaży i rozmaitych chałturk utrzymywała cały dom. Było nam bardzo ciężko, a Baśka harowała od świtu do nocy, żeby związać koniec z końcem i żeby dzieciakom niczego nie brakowało.

Muszę jej oddać sprawiedliwość. Nawet w tym najcięższym okresie nigdy nie słyszałem z jej ust ani słowa skargi. Ani jednej wymówki, że wszystko, co miałem, zmarnowałem na bezskuteczną kurację.

Po dwóch latach głos zaczął powracać. Oczywiście nie głos śpiewaka, ale mogłem już mówić swobodnie i głośno. Jednocześnie uspokoiły się nieco i nerwy. Zacząłem powracać do równowagi psychicznej i przystosowywać się powoli do nowej sytuacji życiowej.

Mój stary przyjaciel Zbigniew Derbicz objął w tym czasie dyrekcję teatru „Colosseum”. Nie miałem żadnego zawodu, a musiałem pracować. Nie mogłem być dłużej na utrzymaniu żony. Zresztą jej zarobki nie starczyły na prowadzenie domu. Zgłosiłem się więc do Derbicza, odnowiłem

znajomość. Po powrocie do kraju nie utrzymywałem z nikim stosunków towarzyskich. Początkowo w ogóle nie wychodziłem z domu dalej niż do małego ogródka. Poprosiłem Zbigniewa o jakąkolwiek pracę, choćby biletera czy pomocnika maszynisty. Chociaż wtedy w teatrze nie było żadnych wolnych miejsc, stary druh wkręcił mnie do sekretariatu jako „siłę pomocniczą”. Tak przepracowałem trzy lata. Teatru od strony techniczno-administracyjnej, tym bardziej teatru dramatycznego, w tym charakterze zupełnie nie znałem. Przedtem miałem do czynienia wyłącznie ze scenami operowymi, nieco innymi w swojej strukturze.

Powoli uczyłem się nowego dla mnie zawodu pracownika administracyjnego.

Kiedy po trzech latach mojego pobytu w „Colosseum” zwolniło się miejsce inspicjenta, objąłem to stanowisko. Początkowo na próbę, jako chwilowy zastępca. Wkrótce okazało się, że dobrze sobie radzę z tym bardzo trudnym i odpowiedzialnym, a najczęściej nie docenianym zawodem. Derbicz nie poszukał innego inspicjenta, lecz zatwierdził mnie na to miejsce.

Po odejściu Derbicza z „Colosseum” pozostałem nadal w tym teatrze. Wprawdzie Zbyszek chciał mnie zabrać ze sobą do Wrocławia w charakterze dyrektora administracyjnego, ale nie zgodziłem się opuścić żony i dzieci. Barbara grała wtedy w Teatrze Narodowym i ahi myślała przenosić się z Warszawy na prowincję. Pozostałem więc w „Colosseum” jako inspicjent i moje stosunki z nowym

dyrektorem, Stanisławem Hołobłą, ułożyły się od początku zupełnie poprawnie, z tym jednym zastrzeżeniem, że nowy władca „Colosseum” miał niemiły zwyczaj robienia z inspicjenta kozła ofiarnego wszelkich uchybień i niedociągnięć. Według dyrektora Hołobli nawet to, że straszak nie wystrzelił w dniu premiery prasowej, było winą nie kogo innego, tylko właśnie inspicjenta.

Co się tyczy mojego małżeństwa, to na pozór nie rozleciało się, ale nasze drogi zaczęły się rozchodzić. Coraz trudniej było nam znaleźć wspólny język. Łączyły nas już wyłącznie dzieci. Ciągłe jednak bezgranicznie kochałem moją żonę i nie mogłem zdecydować się na to, żeby odejść, chociaż, dzisiaj dobrze to widzę, tak byłoby lepiej dla nas obojga. Węzły gordyjskie rozcina się mieczem.

Baśka też nie zdecydowała się na odejście. Zdawała sobie doskonale sprawę, że nigdy bym nie zgodził się na zostawienie jej dzieci. A bez dzieci odejść nie chciała. Żyliśmy więc w tym zaczarowanym kole, obok siebie, bez możliwości znalezienia jakiegokolwiek rozwiązania skomplikowanej sytuacji.

Przyznaję szczerze, łudziłem się, iż w końcu jakoś to wszystko się ułoży i odzyskam miłość żony. Wiem, że dużo flirtowała. Była przecież o tyle młodsza ode mnie. A miała męża — fizycznego i psychicznego kalekę. Przymykałem oczy na te flirty i sam siebie oszukiwałem, że nie przekraczają one granic flirtu. Woląłem tego nie dostrzegać tak, jak ten mądry władca francuski, który powiedział: „król widzi wszystko, ale król nie mówi”.

Rzeczywiście, Baśka szybko zmieniała swoje sympatie. Jeszcze miałem nadzieję, że „wyszumi się” i wróci do mnie. Można mi zarzucić, że nie miałem ambicji czy nawet honoru. Ale co tu mówić o honorze, gdy chodzi o miłość, a ja tak bardzo kochałem moją żonę.

Po pewnym czasie i tak już powikłane nasze sprawy zagmatwały się jeszcze bardziej. Dyrektor Hołobla miał ambicję, żeby jego teatr był, jeżeli nie najlepszą sceną stolicy, to przynajmniej najbardziej popularną. Za jeden ze środków prowadzących do tego celu uznał, zresztą słusznie, zaangażowanie do swojego teatru możliwie najbardziej znanych aktorów. Przede wszystkim tych, którzy wyrobili sobie nazwisko w filmie i telewizji. Teraz grając w „Colosseum” mieli dyskutować swoją popularność i wypełniać miejsca na widowni wielbicielami ich talentu czy też urody.

Prowadząc konsekwentnie tę politykę, Hołobla ściągnął do swojego teatru kilka gwiazd i gwiazdorów filmu, także i moją żonę. Zdobyła ona dobrą markę występami w telewizji. W ten sposób znaleźli się na jednej scenie moja żona oraz znany amant filmowy, Marian Zaremba.

Znali się od dawna. Nie było między nimi najmniejszej nawet nitki sympatii. Przeciwnie, Basia nieraz nazywała go „zarozumiałym mydłkiem”. Teraz jednak wszystko się zmieniło.

Początkowo myślałem, że to kolejny flirt mojej żony. Tym razem szybko się przekonałem, że było to coś znacznie poważniejszego, przynajmniej ze strony Barbary. Dotychczas, przy wszystkich swoich przelotnych sympatiach,

starala się zawsze zachować pozory. Natomiast nowy romans rozwijał się jawnie, na oczach kolegów z teatru. Kiedy zwróciłem jej uwagę, że się kompromituje, odpowiedziała, że jeżeli mi się nie podoba, to możemy się rozwieść.

Po prostu zakochała się w młodszym od siebie o siedem lat mężczyźnie, podobnie jak ja swojego czasu w młodej dziewczynie, studentce PIST-u. Nie kryła się z tą miłością. Odwrotnie, starala się doprowadzić, do jawnego skandalu, żeby mnie zmusić do rozwodu, a jego do małżeństwa.

Nie wiem, jakie uczucie łączyło Mariana Zarembę z moją żoną. Czy była to również miłość, czy też tylko jedna z wielu jego przygód. Nie wydaje mi się, żeby dążył do rozwiedzenia Barbary i związania się z nią trwale. To w pewnym stopniu szkodziłoby jego popularności bożyszcza podlotków i rzutowało na dalszą karierę. A o to Marian dbał przede wszystkim. Również obawiał się zapewne, że małżeństwo z kobietą o tyle od niego starszą ośmieszy go w świecie aktorskim.

Basia na pewno mu się podobała. Była przecież bardzo przystojną, zgrabną kobietą. W pewnym stopniu imponowała mu swoją inteligencją, a nawet obyciem towarzyskim, którego Zarembie nieco brakowało. Poza tym, to chyba główny powód, była inna niż dotychczasowe przygody gwiazdora filmowego. W aktach sprawy znajdują się zdjęcia Mariana Zaremby, kiedy leży na scenie w zakrwawionej koszuli. Zdjęcia te pokazał mi oficer milicji w czasie jednego z przesłuchań. Te fotografie ani w części nie oddają urody aktora. Był rzeczywiście bardzo przystojny, tego typu

urodą, jaką zwykle się u mężczyzny określać słowem „pięknis”. Czasami mówią inaczej: „laluś” lub „goguś”. W takiej urodzie, mówię oczywiście o twarzy, nie ma nic męskiego. Gdyby go przebrać w suknię, Marian mógłby grać rolę bardzo przystojnej kobiety. Ten typ podoba się przede wszystkim młodym dziewczynom-podlotkom i... starszym paniom. Barbara była wprawdzie sporo starsza od Zaremby, ale trudno ją nazwać „starszą panią”.

Poza tym Barbara była kimś. Miała już dobre imię w świecie teatralnym, cieszyła się wzięciem w telewizji i wśród publiczności. To także wyróżniało ją wśród dotychczasowych kochanek Zaremby. A było ich sporo. Wśród kolegów miał opinię takiego Don Juana, gdzie ilość, a nie jakość, grała pierwsze skrzypce.

Biorąc to wszystko pod uwagę, uważałem, że Zaremba nie zechce mocniej wplątywać się w ten nowy romans i że prędzej czy później ta namiastka uczucia zemrze śmiercią naturalną, jak wszystkie poprzednie flirty mojej żony. Nie doceniałem jednak uczuciowego zaangażowania się Barbary, która wyraźnie zaczęła dążyć do stworzenia faktów dokonanych i nieodwracalnej sytuacji.

W domu atmosfera stała się nie do wytrzymania. Ciągłe kłótnie i awantury. Wybuchwały one bez mojej najmniejszej winy. Wystarczyło powiedzieć choćby najbardziej niewinną uwagę, żeby żona reagowała potokiem słów, nie przebieając w doborze wyrazów. Znałem ją nie od dzisiaj, aby nie wiedzieć, że jest to po prostu jej nowa metoda postępowania.

Była dobrą aktorką i w domu grała rolę jędzy. Specjalnie starała się zranić moją miłość własną. Wiedziała, że jeżeli zażądam rozwodu z powodu „trwałego rozkładu pożycia małżeńskiego”, wówczas sąd zostawi dzieci pod jej opieką. Chciała mnie zmusić, żebym ja wystąpił z pozwem rozwodowym. Zdawałem sobie z tego doskonale sprawę i nie reagowałem na jej postępowanie.

W tej grze prowokowała mnie na każdym kroku. Zarembe nie brał w niej udziału. Unikał mnie, jak mógł. Przypadkowo słyszałem jego rozmowę z Barbarą na temat jej zachowania. Nie podsłuchiwałem, bo w ogóle nigdy nie śledziłem żony. To był zbieg okoliczności, bo rozmawiali na korytarzu przy garderobach, ja zaś stałem niżej, w prawej kulisie, tuż przy schodach. Marian robił Barbarze dość ostre wymówki i zwracał uwagę, że wszyscy znajomi z niej się śmieją, ponieważ niepotrzebnie się wygłupia.

Widocznie pod wpływem tej rozmowy moja żona zmieniła plan. Postanowiła wywołać publiczną awanturę. Taką, żeby Zarembe nie mógł się wycofać. Sposobność do tego wkrótce się nadarzyła. Mówię o kłótni, która wybuchła na cztery dni przed tragicznym dwudziestym ósmym września i która tak ważną rolę odgrywa w aktach milicyjnych jako główny argument mojej winy.

Tego dnia, dwudziestego czwartego września, graliśmy jak codziennie „Marie Octobre”. W roli Rougiera występował Zygmunt Wiśniak. Zaremby nie było w teatrze. Wszystko było już gotowe do rozpoczęcia przedstawienia, brakowało jedynie Barbary. A przecież aktor obowiązany

jest być w teatrze co najmniej na godzinę przed spektaklem.

Wreszcie zjawiała się! Dwadzieścia minut przed pierwszym dzwonkiem. Wtedy, kiedy nasze zdenerwowanie przeciągającą się nieobecnością aktorki nie mającej dublerki doszło do zenitu. Na widok Barbary zdążającej bez pośpiechu do swojej garderoby zawołałem: „Co się z tobą dzieje? Za piętnaście minut czas na scenę. Gdzieś ty była?”

I wtedy się zaczęło. Barbara z miejsca urządziła możliwie głośną awanturę. Krzyczała, że wraca od kochanka. Obrzucała mnie stekiem rysztokowych wyzwisk, słowami, jakich nigdy nie słyszałem z jej ust. Gdyby nie to, że żona w ogóle nie pije, myślałbym, że przyszła do teatru w sztuk urzędnieta.

Przyznaję, że i mnie poniosło. Niewiele brakowało, abym ją uderzył. Nie pamiętam, co mówiłem, ale rzeczywiście mogłem powiedzieć coś podobnego, jak „zabiję go” czy „zabiję tego drania”. Oczywiście awantura miała liczną widownię. Drzwi garderób były szeroko otwarte. Zresztą nie musieli ich otwierać, by słyszeć każde słowo. Barbara krzyczała tak głośno, że jej głos dotarł do dyrektora Hołbli, który wtedy był w swoim gabinecie, znacznie oddalonym od garderób. I dopiero on położył kres gorszącej scenie. Dostało się wtedy Barbarze. Dyrektor zagroził, że ją z miejsca wyleje z teatru i postara się, aby następny kontrakt nie przyszedł jej zbyt łatwo. Kazał też natychmiast przebierać się na scenę, a nazajutrz przyjść do niego na rozmowę. Mnie również obrugał. Miał pretensję, że w ogóle odpowiadam żonie, zamiast, jak powiedział, „histryczkę bić

mocno w twarz, żeby ją od razu uspokoić”. Wprawdzie Barbara idąc do garderoby pokrzykiwała, że w tym stanie nie może grać, ale groźba pomogła. Za dziesięć minut zjawiła się za kulisami spokojna i gotowa do wyjścia na scenę. Przedstawienie rozpoczęło się normalnie.

O tym, co było nazajutrz i co dyrektor Hołobla w czasie zasadniczej rozmowy powiedział żonie, nie wiem. Słyszałem, że przedtem chodził do Hołobli Marian Zaremba i z dyrektorskiego pokoju wyszedł z bardzo gęstą miną.

Nie mam na to świadków, więc nikt mi nie uwierzy, ale Marian Zaremba zaczął mnie tego dnia przed przedstawieniem. Mówię o dwudziestym piątym września. Zaremba grał, a Wiśniak pauzował. Marian zaczął mnie przeproszać za zachowanie się Barbary. Twierdził, że pomiędzy nim a moją żoną nic nie zaszło i że nie wie, co Baśce strzeliło do głowy, gdyż rzekomo przesiedzieli całe popołudnie w SPA-TIF-ie, w Alejach Ujazdowskich. Powiedział dosłownie: „ta Baśka widocznie zwariowała”.

Nie uwierzyłem ani jednemu słowu, udałem jednak, że wszystko, co mówi, biorę za dobrą monetę. Jednak z faktu, że zgłosił się do mnie i podkreślał niewłaściwość zachowania się Barbary, wyciągam wyraźny wniosek: Zaremba chciał zatuszować całe zajście. Bynajmniej nie dążył jak moja żona do znalezienia się w sytuacji, z której jedynym wyjściem byłoby jego małżeństwo z Barbarą.

Nie mogę przedstawić żadnych świadków tej rozmowy. Nikt nie słyszał słów wypowiedzianych przez Zarembę, a on

niestety już nie potwierdzi moich zeznań. Rozmawialiśmy wtedy w lewej kulisie. Nie tej, gdzie znajduje się stolik z rekwizytami, lecz po przeciwnej stronie sceny. Mógł nas zauważyć elektryk, pracujący na rusztowaniu nad sceną. Ale gdyby nawet nas widział, to słów na pewno nie słyszał. Za trzy dni nadszedł tragiczny dzień dwudziestego ósmego września.

ROZDZIAŁ IV

Przesłuchanie u prokuratora

Mieszkaniec celi nr 38 siedział na stołku i czytał. A może był po prostu pogrążony w myślach i tylko trzymał książkę na kolanach? Nie słyszał, jak z końca korytarza, tam gdzie znajduje się żelazna krata, oddzielająca oddział więzienia od klatki schodowej, ktoś zawołał: „Jerzy Pawełski do kancelarii. Dopiero zgrzyt klucza w zamku i otwarcie drzwi zwróciło uwagę więźnia.

— Wzywają was do kancelarii — powiedział strażnik oddziałowy. — Chodźcie.

Więzień złożył książkę, wstał i wyszedł na korytarz. Zatrzymali się przed kratą, gdzie czekał już inny funkcjonariusz więzienia. Mała furtka w drzwiach otworzyła się i w towarzystwie nowego konwojenta Jerzy Pawełski szedł na dół. Jeszcze jedna krata, wyszli z budynku i skierowali się do stojącego w pobliżu dużego gmachu. Tu mieściła się kancelaria więzienna, a także różne warsztaty, w których pracowali więźniowie będący już po wyroku lub nie mający na drzwiach swojej celi czerwonej tabliczki z literą „I”.

Strażnik wprowadził aresztowanego do jednego z pomieszczeń kancelarii, zamienił kilka słów z siedzącym za

stołem urzędnikiem, po czym zwrócił się do Pawelskiego:

— Idziemy dalej.

Znaleźli się na pierwszym piętrze. W tym budynku nie było wewnętrznych krat, oddzielających poszczególne piętra i korytarze. Skierowali się do części gmachu, gdzie znajdowały się liczne drzwi. Strażnik wyjaśnił Pawelskiemu, że prowadzą one do pokoi, w których adwokaci spotykają się ze swoimi klientami lub odbywają się widzenia „bez krat”.

— Ja przecież nie mam adwokata — zdziwił się inspijcent.

— Jeżeli prokuratorzy przyjeżdżają do więzienia, aby przesłuchać kogoś z zatrzymanych, również korzystają z tych pokoi. Prowadzę was do pana prokuratora Jasioły.

— Czy to ten, który mnie dwa razy przesłuchiwał?

— A skąd ja mogę wiedzieć, kto was przesłuchiwał.

— Taki czarny, wysoki. Małe wąsiki.

— Ten sam. To prokurator Ryszard Jasioła.

Strażnik zatrzymał się przy numerze 112 i zapukał. Na odpowiedź „proszę” otworzył drzwi, przepuścił przed sobą więźnia i wszedł za nim do wnętrza. Zameldował służbowo:

— Panie prokuratorze, strażnik Kamiński melduje, że zgodnie z rozkazem doprowadził Jerzego Pawelskiego. Oddział X, cela 38.

— Dziękuję, kiedy trzeba będzie odprowadzić więźnia do celi, dam znać. Możecie odejść.

Strażnik stuknął obcasami i wyszedł zamykając drzwi za sobą.

— Proszę, niech pan siada — prokurator wskazał na jedyne krzesło znajdujące się po przeciwnej stronie stołu, za którym siedział. Podsunął paczkę z papierosami i zapaliki.

— Może pan zapali?

— Dziękuję, nie palę. To mi pozostało z czasów, kiedy jeszcze miałem głos — Pawelski zajął wskazane mu miejsce.

Prokurator wyjął ze skórzanej teczki akta w szarej obwolucie. Więzień zdołał odczytać napis:

„Akta prokuratora. Sprawa Jerzego Pawelskiego. Art. 225 § 1 kk.”

Papiery były solidnej objętości. Prokurator przeglądał je chwilę, aby wreszcie zatrzymać się nad kilku kartkami pokrytymi odręcznym pismem. Pawelski poznał swój charakter. Były to arkusze papieru, które na polecenie prokuratora zapełniał w celi więziennej.

— Przeczytałem pański elaborat — powiedział prokurator. — Od razu muszę wyjaśnić pewne nieporozumienie.

— Słucham, panie prokuratorze.

— Z tego pisma wynika, że zarówno milicja, jak i prokurator są do pana uprzedzeni i trzymają pana w areszcie, mając jedynie blahe dowody winy. Pan nawet uszeregował te dowody i doliczył się czterech. Wszystkie, zdaniem pana, są nieważne.

Więzień milczał.

— Milicja i prokuratura nie dążą do tego, żeby ludzi niszczyć czy trzymać w więzieniu. Ani ja, ani prowadzący

z ramienia Stołecznej Komendy Milicji śledztwo kapitan Łapiński nie mamy nic przeciwko panu. Wcale nie zależy mi na tym, aby skazano pana na karę śmierci. Po prostu popełnione zostało morderstwo. Perfidne morderstwo. Zbrodniarz nie miał odwagi sam pociągnąć za spust pistoletu. Popełnił zabójstwo posługując się inną osobą — kobietą, którą z zamordowanym łączyły szczególnie bliskie stosunki. Już ten fakt dowodzi, że przestępca jest wyrafinowanym potworem. Dla takiego nie ma miejsca w społeczeństwie. Naszym zadaniem, milicji i moim, jest wszechstronne zbadanie sprawy i przekazanie przestępcy sądowi. Jesteśmy gotowi wysłuchać wszystkiego, co pan nam powie. Rozpatrzmy dokładnie najdrobniejszy szczegół, mogący naprowadzić nas na właściwy ślad... Ale jeśli są jakiegokolwiek okoliczności łagodzące, proszę, niech pan je nam przedstawi...

— Ja tego nie zrobiłem! Perfidia zbrodniarza sprawiła nie tylko to, że Zaremba padł od kuli wystrzelonej przez swoją kochankę, ale poszła jeszcze dalej, zaprowadziła mnie, niewinnego człowieka, do więzienia z perspektywą wyroku śmierci!

Prokurator zignorował słowa więźnia i ciągnął dalej:

— Przeczytałem uważnie wszystko, co pan napisał. Przyznaję, niewątpliwa pańska tragedia z utratą głosu i stosunki rodzinne, jakie panowały w domu, są w pewnym stopniu okolicznościami łagodzącymi. Sporządzając akt oskarżenia, załączę te pisma do sprawy, żeby i sąd z nimi się zapoznał. Rozumiałbym, gdyby pan w przystępie gniewu,

pod wpływem kłótni, targnął się na życie żony. To mogłoby być zabójstwo w afekcie. Ale czy pan zdaje sobie sprawę z tego, że pozbawił pan życia człowieka, który, wynika to nawet z pańskiego pisma, był zupełnie niewinny? Na tę okoliczność, niestety, nie znalazłem w pańskim elaboracie żadnych okoliczności łągodzących.

— Ponieważ pokłóciłem się z żoną, to zabiłem Zarembe — sarkastycznie zauważył Pawelski. — A jestem mordercą, bo natychmiast wezwałem milicję i pogotowie. Słyszałem tę argumentację w czasie przesłuchiwań milicyjnych. Pan kapitan Łapiński nie szczędził mi ich. Również szeroko tłumaczył mi treść artykułu 225 kodeksu karnego i poinformował, że wyroki śmierci wykonuje się w Polsce przez powieszenie. Dziękuję, panie prokuratorze. Wiem z góry, co pan ma mi do powiedzenia. Jestem niewinny, a że nie mogę dowieść swojej niewinności, przeto muszę wisieć. Na chwałę wymiaru sprawiedliwości, prokuratury i milicji.

— Proszę, niech się pan uspokoi — sucho przerwał prokurator. — Na mnie takie gierki nie robią najmniejszego wrażenia. Już zbyt dużo ich widziałem i słyszałem. Przyjechałem do więzienia, aby dać panu jeszcze jedną szansę. Upierając się przy twierdzeniu, że jest pan niewinny, pograża pan siebie ostatecznie. Powtarzam, mam w tej chwili tyle dowodów przeciwko panu, że sporządzenie aktu oskarżenia i postawienie wniosku o skierowanie sprawy na tryb doraźny nie przedstawia dla mnie najmniejszych trudności. Chcę, jeśli jest coś, co może pana choć częściowo

usprawiedliwić, poznać te okoliczności łagodzące.

— Pan ciągle nie wierzy, że jestem niewinny.

— Oczywiście nie wierzę. Nikt o zdrowych zmysłach w to nie uwierzy.

— A jednak jestem niewinny.

— Wolno panu bronić się tak, jak pan uważa za stosowne. Wolno kłamać, odmawiać zeznań, oskarżać innych. Słowem, dla podejrzanego o przestępstwo wszystkie chwyt dozwolone. Ale jest pan człowiekiem inteligentnym. Miał pan chyba czas zastanowić się nad swoim położeniem. Pora skończyć z bezsensownym uporem.

— Pan prokurator chciałby, żebym się przyznał do niepopelnionej zbrodni?

— Pisał pan o czterech, jak się pan wyraził, „argumentach” milicji przeciwko panu. Te zarzuty nie są najważniejsze. Gdyby tylko one istniały, nie uważałbym sprawy za wyjaśnioną. Kto wie, może nawet poważnie bym się zastanawiał nad podpisaniem nakazu aresztowania. Są jednak poszlaki daleko bardziej obciążające.

— Jakie? — więzień był zaskoczony.

— Ostatnie dni poświęciliśmy na zbadanie całego życia Mariana Zaremby. Bynajmniej nie sugerujemy się drobnymi poszlakami i nie jesteśmy uprzedzeni do pana. Życiorys Zaremby, który mam w aktach, jest o wiele bardziej dokładny, niż ten sporządzony przez pana. Zamordowany był młodym, sympatycznym aktorem. Nie miał żadnych wrogów. Nie miał nawet zawistnych mu ludzi, chociaż o to w zawodzie aktorskim, jak zresztą i w innym, nietrudno.

Był co się zowie dobrym kolegą i dobrym kumplem. Zараbiał sporo. Miał dużo sprytu życiowego, potrafił robić sobie reklamę i zamieniać sławę na pieniądze. Można to uważać za zaletę, można też i za wadę. Zależy jak kto podchodzi do tych spraw. Nie można jednakże zarzucić gwiazdorowi filmu skąpstwa czy braku koleżeństwa. Ktokolwiek z braci aktorskiej czy z przyjaciół był w potrzebie, zawsze mógł liczyć na pomoc Zaremby. Ten młody człowiek był bardzo dobrym synem. Jak pan zapewne wie, pochodził ze wsi. Spod Ostrołęki. Do dziś dnia żyje tam jego matka i prowadzi gospodarstwo. Syn wybudował jej nowy dom i dzięki pomocy Mariana jego brat, siedzący na tej gospodarce, mógł postawić gospodarzkę na nogi. I jeszcze jedno, co dodatkowo świadczy o zamordowanym aktorze. Nie wstydził się swojego pochodzenia, nie wstydził się matki, prostej chłopki, i brata pracującego na paru hektarach. Nieraz ich odwiedzał. W początkach sierpnia tego roku spędził tam dwa tygodnie i pomagał przy żniwach. Sprowadzał też matkę i brata do Warszawy i pokazywał się z nimi. Robił to nie dla reklamy, chociaż jako aktor filmowy niezmiernie dbał o swoją popularność. O jego pracy w polu nie wiedział przecież żaden z dziennikarzy goniących za sensacją. Sam pan rozumie, popularny gwiazdor filmowy przy koszeniu żyta, jaka to wspaniała reklama.

— Tak — zgodził się Pawelski. — Wiedziałem, że pochodzi ze wsi, lecz tych szczegółów nie znałem.

— Zbadaliśmy również jego życie w stolicy. Przede

wszystkim jego kontakty z kobietami. Było ich dużo. Nadspodziewanie dużo. Ale nie doszukaliśmy się ani jednej tragedii miłosnej, ani jednego złamanego serca. Po prostu lubił kobiety i miał jakiś, dziwny dar, że często je zmieniając, rozchodził się z nimi w doskonałej zgodzie. Każda z tych przesłuchiowanych dziewcząt twierdziła, że nie ma pretensji do Zaremby i nie była zazdrosna o swoją następczynię. Każda też przyznawała, że przystojny aktor bardzo się jej podobał, lecz bynajmniej nie była w nim specjalnie zakochana.

— Polował na łatwe zdobycze.

— Być może — zgodził się prokurator. — Nie znam dzisiejszych młodych dziewcząt i nie ich poglądy nas interesowały. Szukaliśmy jedynie jakichś wrogów zabitego. Nie znaleźliśmy ani jednego. Już nie tylko wroga, lecz choćby człowieka nieprzychylnego. Ten chłopak umiał zjednywać sobie ludzi.

— Cóż z tego?

— Właśnie ta okoliczność najbardziej pana obciąża i każe mi wierzyć, że zabójcą Mariana Zaremby może być wyłącznie Jerzy Pawelski. Skoro człowiek nie ma ani wrogów, ani ludzi mu zawistnych bądź nieprzychylnych, to któż by mógł posunąć się aż do zabójstwa?

— Nie rozumiem — zauważył więzień.

— To jasne. Jest stara zasada, zaczerpnięta jeszcze z prawa rzymskiego: „sprawcą czynu jest ten, kto odnosi z tego korzyść”. Z faktu śmierci Zaremby wszyscy ponieśli straty. Przyjaciele stracili dobrego kolegę. Wielu zostało pozbawionych pomocy. Tysiące widzów straciło ulubionego

aktora. Tylko jeden człowiek mógł liczyć, że ta śmierć przyniesie mu korzyści.

— Ja? — zdumiał się Pawelski.

— Tak, pan! Jednym strzałem pozbywał się pan kochanka żony. Wprawdzie Zaremba, jak pan sam przyznaje, miał poprzedników, lecz tym razem pańska stała metoda, przeczekanie kolejnego flirtu, zawiodła. Sprawa przyjęła poważny obrót. Widział pan, że małżeństwo rozlatuje się bezpowrotnie. Że to nie jeden z wielu flirtów, ale prawdziwa miłość, i nawet dzieci nie powstrzymają pańskiej żony od odejścia. Jeden strzał nie tylko odsuwał niebezpiecznego, młodego i przystojnego rywala, ale również zaspokajał pańskie pragnienie zemsty na żonie za wszystkie doznane od niej upokorzenia. Dobrze pan to wyliczył, że właśnie Barbara Pawelska stanie się zabójcą człowieka, którego kocha. Tak, jedynie panu potrzebna była śmierć Zaremby. Tylko pan odnosił z niej korzyści. Któż więc inny mógł zamienić kulę w pistolecie? Zrobić za pana brudną robotę?

Jerzy Pawelski słuchał tego surowego oskarżenia ze spuszczoną głową.. Kiedy prokurator skończył mówić, więzień poprawił się na krześle i powiedział:

— Tak, to wszystko prawda. Wszystko wygląda tak, jak pan to przedstawił, panie prokuratorze. To jakaś szatańska pułapka, w którą wpadłem. Nie rozumiem, nic nie rozumiem. Przyznaję, że sam nie znam ani jednej osoby niechętniej Zarembie. Przed tym nieszczęsnym romansem bardzo lubiłem tego chłopaka. Trudno było go nie lubić. Przyszedł do mnie na trzy dni przed śmiercią i łągł mi w

żywe oczy, że z Barbarą łączy go bezinteresowna, plato-
niczna przyjaźń. Choć dobrze wiedziałem, że tak nie jest,
wbrew prawdzie skłonny byłem wierzyć jego słowom. Ale
ja jestem niewinny. Nie zabiłem Zaremby. Coraz wyraźniej
widzę, że znalazłem się w tragicznym położeniu i choć nie
morderca, pójdę na szubienicę, ponieważ nie mogę się
obronić.

— Sam pan widzi, że nikt inny nie mógł zabić Zarem-
by.

— Ja również go nie zabiłem!

— A jednak on nie żyje.

— Myślałem i nieustannie myślę nad swoją sytuacją.
Myślę w dzień i w nocy. Prawie nie śpiam. Zdaję sobie
sprawę z mojego straszego położenia. Tłucze mi się po
głowie nawet takie przypuszczenie, że Zaremba nie był
celem, a środkiem prowadzącym do celu.

— Proszę to jaśniej sprecyzować.

— Przypuśćmy, że istnieje ktoś, kto przysięgł mi ze-
mstę. Ten człowiek dokładnie zbadał tryb życia, moje zwy-
czaje i stosunki rodzinne. Po cóż ma mnie zabijać? Wystar-
czy urządzić wszystko w ten sposób, żeby Marian Zaremba
zginął na scenie, przy podniesionej kurtynie, na oczach
przeszło tysiąca osób. Człowiek, który chciał mnie znisz-
czyć, zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że podejrz-
nym o zabójstwo będę tylko ja. Tak się też i stało.

— Hipoteza dość ciekawa, ale bardzo naciągnięta.

— Urządzając się w ten sposób, ten, który chciał mnie
usunąć, zapewnia sobie doskonałą bezkarność. Jego nikt
nie posądzi o zabicie gwiazdora filmowego. On mógł go w
ogóle nie znać, a w każdym razie nie miał żadnego powodu

do zabicia Zaremby. Dla takiego człowieka śmierć aktora nie byłaby celem, lecz środkiem dla wykreślenia mnie z grona żywych.

— Założmy, że mówi pan prawdę i istotnie jest taki człowiek, który, pragnąc zemścić się na panu, nie zawahał się zabić zupełnie niewinnego, nie znanego sobie człowieka. Ale te chęci nie wystarczą. Trzeba mieć jeszcze techniczne możliwości przeprowadzenia tego planu.

— Techniczne możliwości są dla wszystkich takie same jak dla mnie. Zamiana naboju w pistolecie. To trwa parę sekund. Jeden ruch repetiera dla wyjęcia pocisku znajdującego się w lufie i następnie dla wprowadzenia tam naboju z metalową kulą zamiast ślebaka.

— Tak. Od tej strony sprawa nader prosta. Nie przewidział pan jednak komplikacji z pistoletem.

— Nie rozumiem.

— Broń nie leżała ani na ulicy, ani w foyer teatru, gdzie każdy mógł mieć do niej dostęp. Gdyby tak było, pańskie rozumowanie nabrałoby pozorów słuszności. Tymczasem pistolet znajdował się przez cały czas w magazynie z rekwizytami, a na godzinę przed przedstawieniem położony został na stoliku w kulisie. Potem na innym stole, na środku sceny. A pan stwierdza, że po wyniesieniu broni z magazynu w lufie był ślepak.

— Naboje zamieniono za kulisami.

— Liczba osób, które mogły to zrobić, jest ściśle ograniczona. Kapitan Łapiński dokładnie zbadał tę sprawę. Ustalił wszystkie nazwiska.

To mówiąc prokurator sięgnął do teczki, chwilę

wertował dokumenty, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Podał Pawelskiemu arkusz papieru.

— Oto lista aktorów — wyjaśnił — którzy tego dnia grali w „Marie Octobre”, oraz reszty osób mających teoretycznie możliwość zamiany pocisków.

Pawelski przyglądał się kartce zapisanej maszynowym pismem. Zawierała ona następujące nazwiska:

Aktorzy:

1. Barbara Pawelska
2. Irena Skalska
3. Andrzej Cichosz
4. Adam Lisowski
5. Wacław Dudziński
6. Ludomir Janecki
7. Piotr Marski
8. Jan Szafar
9. Janusz Banach 10. Bronisław Mason.

Pracownicy teatru:

1. dyrektor Stanisław Hołobla
2. reżyser Henryk Letyński
3. inspicjent Jerzy Pawelski
4. rekwizytor Stefan Piotrowski
5. kurtyniarz Piotr Adamek
6. elektryk Witold Ciesielski

— Gdyby przyjąć proponowaną przez pana teorię, pański wróg musi znajdować się w tym spisie. Tylko te osoby znajdowały się w pobliżu stolika z rekwizytami bądź przechodziły przez prawą kulisę. Pominięto jedynie zabitego,

Mariana Zarembę, ale zgodzi się pan ze mną, że nie było to w żadnym razie wyrefinowane samobójstwo i Zaremba nie nabił pistoletu kulą, która znalazła się w jego sercu. Uważam również, że można z tej listy skreślić i bezpośredniego sprawcę — pańską żonę. Któż więc z wymienionych jest tym pańskim wrogiem? Wrogiem czyhającym na pana życie?

— Nikt. Na pewno nikt.

— Więc może widzi pan tutaj wroga Zaremby?

— Nie wiem. Chyba nie...

— Przesłuchiwaliliśmy cały personel teatru. Nikt nie zauważył, co prawda, żeby pan manipulował przy pistolecie, ale jednocześnie wszyscy twierdzą, że nie zwracali specjalnej uwagi na stolik. Rekwizytor Stefan Piotrowski także potwierdza szczególnie pańskich zeznań o sprawdzaniu, czy w lufie pistoletu znajdował się pocisk. Zeznał on, że wtedy był to zwykły ślepek, jeden z używanych codziennie. Jednakże ten sam Piotrowski powiedział nam, że zwolnił go pan do domu, chociaż zgodnie z przepisami rekwizytor powinien znajdować się w teatrze aż do końca przedstawienia.

— A czy pytaliście go, kiedy wychodził w inne dni? Czy zwolniłem go wyjątkowo w dniu dwudziestego ósmego września, czy też zwalniałem codziennie od momentu, gdy weszła na scenę „Marie Octobre”?

Prokurator znowu zajrzał do teczki i wyszukał w niej zeznania rekwizytora. Szybko przebiegł oczyma zapisaną kartkę papieru.

— Nie — zaprzeczył. — Tego pytania oficer śledczy

nie postawił Piotrowskiemu. Ma pan rację, to trzeba sprawdzić.

Pawelski podał prokuratorowi listę z nazwiskami, lecz ten zaproponował:

— Ten spis mogę panu zostawić. Kazałem sporządzić kilka egzemplarzy. Pan twierdzi, że jest niewinny. W takim razie zabójca kryje się wśród tych nazwisk. Proszę, niech pan zastanowi się nad każdą pozycją. Może pan stawiać wnioski. Chyba nie zużył pan całego zapasu papieru? Proszę nadal notować swoje spostrzeżenia i uwagi. Przeczytam je równie uważnie jak i te poprzednie. Radzę jednak jeszcze raz przemyśleć całą sprawę i szczerze przyznać się do winy. To tylko polepszy pańską sytuację.

— Ile razy mam powtarzać, że nie jestem mordercą?

— Nawet tysiącnie, ale głośne zapewnienia nie zmieniają moich podejrzeń o pańskiej winie. Nie tylko zresztą mojego. Wszyscy przesłuchiwani są tego samego zdania. Każdy podkreślał, że nie ma nic przeciwko panu. Wielu z przesłuchiwanym wręcz pana broniło. Są nawet dwa zeznania stwierdzające, że „Pawelskiemu nic innego nie pozostawało, jak tylko sprzątnąć kochankę żony”. Przeczytam panu jedno z zeznań.

Prokurator znowu przerzucił papiery, by znaleźć potrzebny mu protokół.

„Przyznaję, że moje małżeństwo ułożyło się źle prawie od samego początku. Jako młoda, dziesiętnastoletnia dziewczyna wyszłam za mąż, jak to się mówi, z tak zwanej szalonej miłości. Za człowieka dużo starszego od siebie,

sławnego artystę. Niestety, szybko spostrzegłam, że ze strony partnera nie ma takiego samego głębokiego uczucia. Może potrzebna mu byłam dla zaspokojenia zmysłów, może dlatego, że chciał mieć dzieci. Dla niego najważniejszą rzeczą był jego głos i występy we wszystkich stolicach świata. Jak każdy wielki śpiewak, był chimeryczny z natury, łatwo wpadający w melancholię przy najmniejszym niepowodzeniu i łatwo wybuchający gniewem. Pożycie z takim mężem było niezmiernie trudne. Zwłaszcza że był przy tym niesłuchanie apodyktyczny. Już na wstępie naszego małżeństwa chciał mi zabronić dalszych studiów. To były pierwsze poważne rozdzwienki w naszym pożyciu.”

— Co ona plecie? — szepnął Pawelski.

„Kiedy mój mąż stracił głos, byłam nawet z tego zadowolona. To nieważne, że skończyły się wielkie dochody. Zdawało mi się, że teraz odzyskam człowieka, którego kocham. Niestety, przekonałam się o tym, że śpiew był wyłącznym celem jego życia. Dla mnie był jeszcze bardziej obojętny i chłodny.”

— To nieprawda!

„Przyznaję, że nie byłam wierną żoną — czytał dalej prokurator równym, obojętnym głosem. — Początkowo zaczęłam flirtować z innymi mężczyznami sądząc, że obudzę zazdrość męża. Jemu jednak zupełnie nie chodziło o mnie, tylko o zachowanie pozorów. Ostatecznie byłam młodą kobietą z dużym temperamentem. Uważałam, że i mnie należy się coś z życia. Dla Jerzego byłam od początku tylko matką jego dzieci i reprezentacyjną żoną, którą

można pokazać w towarzystwie w kraju i za granicą.”

— Co za brednie, fantastyczne brednie!

„Mąż był zadowolony i nie wtrącał się do moich spraw. Przecież pozory były zachowane. Jednakże tak długo żyjąc u boku mężczyzny, dla którego byłam zupełnie obojętna, powoli traciłam swoje uczucie do niego. Wtedy właśnie poznałam Mariana Zarembę. Pomimo że był młodszy ode mnie, zakochałam się w nim. Zostałam jego kochanką. Ta miłość była dla mnie wielkim przeżyciem. Nareszcie byłam potrzebna mężczyźnie nie jedynie dla zaspokojenia zmysłów, ale jako przyjaciel, a nawet po części i opiekun.

Mimo kariery, jaką zrobił bardzo szybko, i mimo szalonego powodzenia u kobiet, a właściwie u młodych dziewcząt, Marian pozostał tym, czym był — chłopcem ze wsi, prostym i nieskomplikowanym. Byłam dumna i szczęśliwa, że radził się mnie nawet w najdrobniejszych sprawach. Mnie, z którą mąż nigdy nie rozmawiał jak z przyjacielem i człowiekiem.”

— No wiecie...

„Zakochana i szczęśliwa nie potrafiłam kryć swojej miłości. Nie zachowywałam tak starannie „pozorów jak dotychczas, przy przelotnych flirtach. To obudziło wściekłość męża. Mogłam mieć, ilu tylko chciałam, kochanków, ale uważał, że nie mogą żadnego z nich kochać. Teraz uważał się za ośmieszonego. Jak to, on — sławny śpiewak, żył w świecie złudzeń, że lada chwila odzyska głos i dawną popularność — ma dopuścić, żeby żona od niego odeszła? Taki

skandal! Chcieliśmy z Marianem załatwić sprawę otwarcie, szczerze powiedzieć o naszych zamiarach, przeprowadzić rozwód możliwie jak najciszej i najspokojniej, bez zwykłego w takich przypadkach prania brudów. Ale najmniejsza wzmianka, że mam już dosyć takiego życia i chcę odejść, budziła wściekłość mego męża. Doszło do tego, że publicznie, w teatrze, przy wszystkich kolegach, a nawet maszynistach, tuż przed przedstawieniem zrobił mi karczemną awanturę. Dopiero dyrektor Hołobla interweniował, bo urażony w swojej dumie małżonek wziąłby się chyba do bicia. Nigdy nie zapomnę tonu jego słów, kiedy mówił: „prędzej go zabiję, niż dam zgodę na rozwód”. A przecież temu człowiekowi nie chodziło o nic więcej jak o opinię i w dziwny sposób pojęty honor.

Nie brałam poważnie tych pogroźek — czytał dalej prokurator — ani na chwilę nie przypuszczałam, że Jerzy może się posunąć aż do ich urzeczywistnienia. Tym bardziej że Marian wspominał mi, iż nazajutrz przeprowadził zasadniczą rozmowę z moim mężem i Zaremba wywnioskował z niej możliwość dojścia do porozumienia.”

— To też nieprawda. Z Zarembą nie mówiłem wtedy ani słowa o ewentualnym rozwodzie. On przyszedł do mnie, aby zapewnić, że między nim a Barbarą nie ma nic poza bezinteresowną przyjaźnią.

„Przeżycia tragicznego dwudziestego ósmego września są dla mnie tak ciężkie, że nie potrafię o nich mówić. Ten potwór, a nie człowiek, włożył mi do ręki broń, zabiłam ukochanego człowieka. Bardzo go kochałam. Zdziwiło

mnie, że Jerzy kazał zapuścić kurtynę jeszcze przed końcem ostatnich kwestii sztuki. Dopiero wtedy spostrzegłam, że coś się stało. Zrozumiałam wszystko, kiedy mój mąż spokojnie podszedł do leżącego na podłodze umierającego Mariana i sprawdzał, czy dobrze wycelowałam i czy trafiłam w serce. Jerzy miał wtedy twarz zupełnie pogodną, zadowoloną. Jak człowiek, któremu udało się spłatać bliźniemu dobrego figla. Kiedy zobaczył ranę w okolicy serca, nie troszczył się dalej o umierającego. Wyprostował się i zszedł ze sceny. Dla mnie, panie prokuratorze, nie ulega żadnej wątpliwości, kto zamienił kulę w pistolecie. Chociaż to mój mąż, a właściwie były mąż, z czystym sumieniem oskarżam go o zbrodnię.”

Prokurator przestał czytać i odłożył zeznania Barbary Pawelskiej na odpowiednie miejsce w aktach sprawy. Pawelski siedział bez najmniejszego ruchu, jak skamieniały. Dopiero po jakimś czasie zdołał się opanować.

— Baśka, to wszystko powiedziała Baśka, którą ja tak kocham?

— Jak wynika z tych zeznań, czasami łatwiej porozumieć się z kosmonautami, niż dwojgu ludziom mieszkającym pod tym samym dachem. Ale nie o to chodzi. Faktem jest, że nawet osoba panu najbliższa jest przeświadczona, iż tylko pan mógł popełnić zbrodnię. A cóż dopiero milicja i prokurator? Pańskie zeznania, że kocha pan żonę, jeszcze bardziej obciążają pana, niż przypuszczenia pani Pawelskiej, że zbrodnia dokonana została pod wpływem urażonej ambicji. Mógłbym panu przeczytać i inne zeznania. Dyrektora teatru, aktorów, maszynistów. Ale na razie to tylko

strata czasu. Oczywiście po sporządzeniu aktu oskarżenia będzie pan miał wgląd do wszystkich akt sprawy. Może mi pan wierzyć, dla tych osób, które przesłuchiwałem, pańska rola w zabójstwie Zaremby nie ulega wątpliwości.

— Ale ja nie zabiłem — z uporem powtórzył Pawelski.

— Pańscy przyjaciele — informował prokurator — zwrócili się do mecenasa Krawczyka z prośbą o podjęcie się obrony. To bardzo dobry adwokat. Człowiek nie tylko dużej wiedzy prawniczej, ale i o wielkim doświadczeniu życiowym. Mam tu jego pełnomocnictwo do podpisu przez pana. Radzę przyjąć ten wybór. Już w tej fazie dochodzenia prokuratorskiego nie będę widział przeszkód dla widzenia się pana ze swoim obrońcą — to mówiąc prokurator podsunął więźniowi pełnomocnictwo adwokackie.

— Dziękuję. Nie podpiszę tego.

— Ale dlaczego? — zdziwił się prokurator. — Chce pan mieć innego obrońcę?

— Nie chcę żadnego.

— Na procesie oskarżony musi mieć obrońcę. Jeśli pan nie wybierze któregoś z adwokatów, sąd wyznaczy obronę z urzędu.

— Niech wyznacza. Niewiele mnie obchodzi, kogo sąd wyznaczy i co ten pan będzie robił na mojej rozprawie. Teraz nie chcę z nikim się widzieć. Doskonale wiem, co mówiłby do mnie pan mecenas Krawczyk. Tak samo jak pan prokurator, tylko innymi, bardziej słodkimi słowami namawiałby mnie do przyznania się do winy. I tłumaczył,

że jeżeli się nie przyznam, to czapa. A ja się nie przyznam nawet za cenę ratowania życia, bo tego nie zrobiłem.

Prokurator podniósł słuchawkę telefonu stojącego na biurku:

— Proszę kancelarię główną — powiedział, a po uzyskaniu połączenia polecił: — proszę przysłać strażnika po więźnia Pawelskiego,

Zapadło milczenie, które przerwał przedstawiciel prawa:

— Szkoda, myślałem, że mam do czynienia z człowiekiem bardziej rozsądnym. Uporem działa pan na swoją zgubę.

ROZDZIAŁ V

Zapiski więźnia celi 38

Nieustannie powracam myślą do przeczytanych mi przez prokuratora zeznań mojej żony. Ona widziała całe nasze wieloletnie małżeństwo w innym, fałszywym świetle. Ja jej nie kochałem? Ożeniłem się tylko dla zaspokojenia zmysłów i chęci posiadania dzieci? Nigdy wprawdzie nie radziłem się jej i nie zwierzałem ze swoich kłopotów, ale jedynie dlatego, że chciałem oszczędzić jej zmartwień i przykrości. Nie byłem zazdrosny! Tylko Bóg wie, ile wycierpiałem widząc jej flirty. Milczałem, bo wierzyłem, że wróci do mnie. Godziłem się na nie, jak wielu starych mężów młodych żon w obawie utraty wszystkiego.

A może popełniłem błędy? Nieodwracalne błędy? Nie wiem. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej staje się dla mnie kwadraturą kola, na którą nie ma sposobu rozwiązania.

Chyba z tysiąc razy przeglądałem kartkę daną mi przez prokuratora. Zawiera szesnaście nazwisk. Wśród nich musi być zabójca Zaremby. Ponieważ na pewno wiem, że nie jestem mordercą, mogę wykreślić swoje nazwisko. Pozostaje piętnaście osób. Mogę też wykluczyć rekwizytora. Razem

z nim sprawdzaliśmy, że pistolet jest nabity ślepakiem. Stefan Piotrowski jeszcze przy stoliku z rekwizytami pożegnał się ze mną. Zszedł ze sceny przez widownię i opuścił teatr. Co za paradoks — ja, człowiek oskarżony o morderstwo, sam muszę świadczyć o niewinności innych. A im mniej podejrzanych, tym więcej poszlak przeciwko mnie.

Przez moment przyszło mi na myśl, że zabójcą mogłaby być Baśka. Zeznawała, że Marian Zaremba mówił ze mną o rozwodzie i rzekomo po tej rozmowie oświadczył jej, jakoby sprawa była na dobrej drodze. A ja doskonale wiem, że aktor nawet słowem o tym nie napomknął. Przeciwnie, zapewniał mnie, iż z moją żoną nic go nie łączy. Może Baśka spostrzegła, że Marian prowadzi w stosunku do niej podwójną grę? Z jednej strony udaje głęboką miłość, z drugiej wcale nie chce się tak zaangażować, jakby to odpowiadało Barbarze, i ani myśli o ich małżeństwie? Czy w takiej sytuacji moja żona byłaby zdolna do zamiany pociску? Z bronią umiała się obchodzić. Jeszcze w szkolnych, a później w studenckich czasach należała do sekcji strzeleckiej jednego z warszawskich klubów i uzyskiwała dobre wyniki — i to właśnie w strzelaniu z pistoletu. Dopiero kiedy obowiązki matki i praca aktorki zajęły jej zbyt wiele czasu, zrezygnowała z uprawiania sportu. Ale do dziś dnia w naszym domu pełno jest różnych dyplomów, pucharów i innych nagród za jej wyczyny strzeleckie.

Wahałem się tylko przez moment i skreśliłem Baškę z listy. Nawet gdyby Marian ją rzucił, nie byłaby zdolna do tak wyrafinowanej zbrodni. Gdyby w czasie kłótni miała

pistolet w torebce, może pod wpływem gniewu zrobiłaby z niego użytek. Ale zabić na scenie, i to w ten sposób, aby rzucić podejrzenie na mnie, to wykluczone. Bądź co bądź jestem ojcem jej dzieci. Nie chciałyby, żeby te dzieci chodziły z piętnem ojca-mordercy. Znam też na tyle swoją żonę, aby wiedzieć, że gdyby zabiła, otwarcie przyznałaby się do tego czynu, a nie oskarżała niewinnego. Poza tym stałem za kulisą dość blisko akcji rozgrywającej się na scenie, najwyżej o cztery metry ode mnie. Widziałem doskonale twarz Barbary zaraz po strzale. Ona naprawdę nie zauważyła niczego nadzwyczajnego i grała dalej tak, jak nakazywał tekst sztuki. Jest dobrą aktorką, lecz nie potrafiłaby aż tak udawać.

Nie! To wykluczone, żeby Baśka...

Pozostaje więc trzynaście nazwisk. Prokurator miał rację, że tylko te osoby miały teoretyczną możliwość zamiany kuli. Ale kiedy mogły to zrobić?

Przed przedstawieniem było to bardzo trudne. Pistolet znalazł się na stoliku z rekwizytami na godzinę przed podniesieniem kurtyny. Wtedy aktorzy byli w swoich garderobach. Przebierali się i charakteryzowali. Ja kręciłem się cały czas za kulisami i po scenie. Sprawdzałem, czy wszystko jest w porządku. Nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek zjawił się za kulisami w ciągu tego czasu. Na pół godziny przed rozpoczęciem przedstawienia przyszedł główny elektryk. Jego ludzie zaczęli zajmować swoje stanowiska. Sprawdzali, czy oświetlenie działa. Zdaje się, że zmieniali jakieś przepalone żarówki. Ale kręcąc się na scenie, wchodząc na rusztowania, nie przechodzili przez prawą kulisę.

Jedynie główny elektryk, wchodząc na galerijkę lub schodząc z niej, musiał przejść koło stolika z rekwizytami. Oczywiście mógł wtedy zamienić pociski. Wyjąć magazynek, włożyć weń pocisk z kulą i zarepetować broń. Te manipulacje zajmują najwyżej cztery sekundy. Tego mogłem nie spostrzec, obserwując pracę pozostałych elektryków i sprawdzając, czy oświetlenie działa prawidłowo. A zatem główny elektryk może być zabójcą.

Tutaj jednak musiałem postawić sobie pytanie: dlaczego? Jaki interes miałyby ten człowiek usuwając Zarembę z grona żyjących? Nie wiem nawet, czy ci dwaj znali się osobiście. Elektryk pracował w „Colosseum” jeszcze przed moim przybyciem do tego teatru, Zaremba został zaangażowany pod koniec ubiegłego sezonu. Akurat nie miał wtedy żadnego kontraktu filmowego, dyrektor Hołobla wykorzystał ten moment i zdołał go namówić do pracy u nas. Był to bodaj koniec marca lub początek kwietnia. Aktorzy długo grający w jednym teatrze znają cały personel techniczny. Ale czy Zaremba znał elektryka? Gdyby elektrykiem była młoda przystojna dziewczyna, nie wątpiłbym w to. Ale tak?

Motyw. Każda zbrodnia musi mieć motyw. Im dłużej czytam listę podejrzanych, tym jaśniej widzę, że motyw istnieje tylko w stosunku do mojej skromnej osoby. Rozpatrując i drugą hipotezę — zabójstwo Zaremby było środkiem do posłania mnie na szubienicę — również wykluczam elektryka jako ewentualnego sprawcę. To jest sumienny, pracowity człowiek. Odkąd pełnię funkcję inspicjenta,

nie miałem z nim ani jednego zatargu. Nawet błahego. Przeciwnie, cieszyłem się jego życzliwością. Kiedy uczyłem się jeszcze tego zawodu, stary praktyk, który, jak to się mówi, zęby zjadł w teatrze, nieraz ratował mnie swoją radą. Lubił mnie. Ja zresztą odplącałem mu tym samym. Nieraz po przedstawieniu wdepnęliśmy na piwko lub na kieliszek czegoś mocniejszego. Dlaczego miałby więc uknuć tak szatański plan przeciwko mnie?

Mniej więcej razem z elektrykami zjawił się kurtyniarz. Sprawdził, czy mechanizm kurtyny funkcjonuje sprawnie, zamienił ze mną kilka słów i usiadł na swoim krzeselku. Pamiętam, że wyjął z kieszeni popołudniówkę i spokojnie zabrał się do czytania. Nie przypominam sobie, żeby aż do rozpoczęcia przedstawienia ruszył się ze swojego miejsca. Zarówno jego, isk i elektryka muszę wyłączyć ze swoich podejrzeń z tych samych powodów. Dostrzegając możliwości zamiany przez nich pocisku w pistolecie, absolutnie nie mogę znaleźć cienia motywu.

Na jakiś kwadrans przed podniesieniem kurtyny za kulisami zaczęli się zjawiać aktorzy. Witali się z kurtyniarzem, rozmawiali ze mną i czekali na moment przedstawienia. Musiałem ich nawet trochę uciszać, żeby głośne rozmowy nie dotarły do zapełniającej się widowni. Jak zwykle Andrzej Cichosz, grający rolę adwokata Simenean, podszedł do stolika z rekwizytami i oglądał udko kaczki. Narzekał z humorem, że bufetowy zawsze mu przygotowuje same gnaty, a mięso tak twarde, że kiedyś na scenie ząb wyłamie i wtedy obciąży dyrekcję kosztami dentysty.

Stałem w pobliżu i mógłbym przysiąc, że Cichosz nawet nie tknął pistoletu.

Nie zauważyłem, aby prócz niego któryś z aktorów podchodził do stolika.

Nagle, kiedy tak się głowiłem nad tym wszystkim, w mojej pamięci jak gdyby rozdarła się jakaś zasłona. Zobaczyłem człowieka stojącego przy stoliku z pistoletem w dłoni. I to człowieka, który być może miał powód do zbrodni. Wprawdzie sam uważam ten powód za błahy, ale niezgłębione są tajniki ludzkiej psychiki.

To było tak. Właśnie zdarzył się ten przykry wypadek ze skruceniem nogi przez Wiśniaka, który miał grać tego dnia rolę Rougiera. Jeden z kolegów wraz z woźnym wyprowadzili Wiśniaka przed teatr i wsadzili do taksówki. Ja pobiegłem szukać Zaremby. Wiedziałem, że jest przypadkowo w teatrze. Widziałem, jak przyszedł razem z Bašką. Inni aktorzy również go szukali. Wreszcie dopadłem Mariana w palarni i poleciłem mu, aby natychmiast szykował się do występu. Po drodze spotkaliśmy dyrektora Hołoblę. Potwierdził on moją dyspozycję i prosił Zarembę, aby jak najszybciej się ucharakteryzował. Jeszcze pobiegłem do pracowni krawieckiej i przyniosłem Marianowi garnitur, który krawiec miał odprasować na dzień następny. Kiedy wróciłem za kulisy, siedział tam tylko kurtyniarz zaczytany w swojej gazecie i przy stoliku z rekwizytami stał dyrektor Hołobla. Trzymał pistolet w ręku. Na mój widok położył broń na swoim miejscu i zapytał, czy Zaremba prędko zejdzie na dół. Odpowiedziałem, że upłynie co najmniej dziesięć minut i będziemy musieli opóźnić spektakl. Wtedy

dyrektor postanowił sam pójść do garderoby aktora, aby go przynaglić. Przedstawienie musi zacząć się w terminie. Punktualność to prawdziwy konik Hołobli. Również próby zaczynały się w „Colosseum” z dokładnością do trzech minut. Nie tolerował najmniejszego spóźnienia. Kilku dobrych aktorów musiało z tego powodu odejść z naszego teatru.

Pistolet był własnością Hołobli. Chyba nikt nie znał lepiej tej broni od niego. Dyrektor miał też do niej prawdziwe naboje. Pamiętam doskonale, jak po nieszczęsnej premierze prasowej, kiedy to nasz straszak tak szpetnie nawalił, Hołobla wezwał mnie do gabinetu i wyjął z szuflady biurka pistolet. Przy mnie go rozładował usuwając wszystkie kule z magazynku. Naboje te wrzucił do pustego kałamarza stojącego na biurku. To taki ozdobny, ogromny metalowy kałamarz. Dostał go jeszcze dyrektor Derbiczy od jakiejś wycieczki zagranicznej i opuszczając „Colosseum” ani myślał zabierać tego grata. Nowy dyrektor również go nie używał. W rezultacie do kałamarza, od momentu kiedy się u nas pojawił, nigdy nie nalano ani kropli atramentu. Dyrektor Hołobla wręczył mi pistolet z paczką ślepych naboji i polecił, aby od dziś używać tej broni zamiast straszaka. Twierdził, że jego Walter jest niezawodny. Rzeczywiście nie zawiódł ani razu. Niestety i wtedy...

Dyrektor Hołobla był tym człowiekiem, który właśnie ściągnął do naszego zespołu Mariana Zarembe. Ten fakt przyprawiał go o dumę, bo wielu innych usiłowało namówić popularnego gwiazdora filmu do pracy w teatrze, ale

bez większego powodzenia. Zaremba jeszcze jako uczeń zaczął grać w filmie. Po skończeniu szkoły poświęcił się wyłącznie ekranowi. Praca w filmie jest zupełnie inna niż na scenie. Podczas kręcenia filmu aktorzy pracują bez żadnych norm czasowych, niekiedy do skrajnego wyczerpania wskutek zmęczenia. Za to są długie przerwy między kolejnymi filmami. Warunki finansowe są również odmienne. Nie ma stałej pensji, są wysokie kontrakty na jeden lub kilka filmów. Praca w teatrze jest bardziej regularna, bez zrywów, ale i bez większych przerw. Kierownik produkcji w filmie nie ma takiej władzy jak dyrektor teatru. Natomiast uprawnienia reżysera są znacznie większe. Jeżeli uwzględnimy ponadto, że Hołobla lubił wszędzie zajrzeć, do wszystkiego się wtrącić i potrafił zmieniać nawet dyspozycje reżysera, łatwo dojść do wniosku, że aktorzy i personel techniczny teatru mieli z nim nieraz ciężkie życie.

Toteż stosunki Zaremby z dyrektorem od samego początku były złe. Prawie na każdej próbie dochodziło do wymiany zdań. Robiąc dużą karierę filmową i mając ogromną popularność wśród widzów, Marian uważał się za wielkiego aktora, chociaż prawdę mówiąc był jedynie dodatkiem na dobrego artystę. Wiele mu brakowało do prawdziwej wielkości. Ale czy można się dziwić, że młodemu człowiekowi woda sodowa trochę zaszumiała w głowie? Sam znam tę chorobę z czasów kariery śpiewaczki. Być może zresztą — nigdy nie miałem do czynienia z filmem — że tam gwiazda ma inne, większe prawa niż grający „ogony” czy statyści. W teatrze u Hołobli wszystko musiało

być podporządkowane woli dyrektora.

Dlatego Zaremba, który w „Colosseum” zaczął się zachowywać jak rozkapryszona gwiazda, z miejsca naraził się dyrektorowi. Trzeba przyznać, że w końcu Hołobla „ustawił” i tego nowego pracownika naszego teatru według swoich wymagań, ale nie przyszło to łatwo. Kilkakrotnie dochodziło do ostrej wymiany zdań. Marian nieraz groził, że nie przedłuży kontraktu, na czym dyrektorowi zależało, bo przecież był to kasowy aktor. Ale i Hołobla wspominał o rozstaniu. Przypuszczam jednak, że ani Zaremba nie był skłonny opuścić teatru dającego mu inną, znacznie większą satysfakcję bezpośredniego kontaktu z żywym widzem i pozwalającym na pogłębienie rzemiosła artystycznego, ani też dyrektor nie zrezygnowałby łatwo z nowego, korzystnego nabytku.

Zresztą gdzie by Zarembie było lepiej? Stale miał dublera i praca w „Colosseum” zupełnie go nie krępowała w jego kontraktach filmowych. Hołobla mógł natomiast liczyć na komplety w sztukach, w których występował popularny gwiazdor, bożyszcze podlotków.

A jednak kłótnie i podjazdowa walka trwały, nasilając się z biegiem czasu. Oczywiście Zaremba pamiętał, żeby nie przeciągać struny, ale gdzie tylko mógł, tam zawsze wyrażał odmienne zdanie niż dyrektor. Kiedy w ubiegłym sezonie, było to bodaj pod koniec maja, prasa ostro zaatakowała Hołoblę za nieudane wystawienie „Hasdrubala” — sztuka padła już po czterech przedstawieniach — podobno do

ministerstwa napłynęły skargi na dyrektora i jego rządy. Wtajemniczeni opowiadali, że jacyś nasi aktorzy chodzili osobiście na Krakowskie Przedmieście z prośbą o zdjęcie Hołobli z jego stanowiska. Nie wiem, jak tam było naprawdę, bo się tym specjalnie nie interesowałem, lecz nasz teatr aż huczał od plotek.

Faktem jest, pewnego razu na jakimś zebraniu, a może to była próba właśnie „Marie Octobre”, przygotowywana na inaugurację nowego sezonu, dyrektor Hołobla powiedział, iż wie o istnieniu w teatrze ludzi, którzy starają się uszyć mu buty, ale ich wysiłki na nic się zdadzą. Dodał też, że zna organizatora tej akcji, przy czym wymownie spojrzął na Zarembę.

Marian nie pozostał dłużny i od razu się odegrał: „jeżeli pan dyrektor myślał o mnie, to zbyt wysoko pan się ceni, nie zajmuję się takimi drobiazgami”. Hołobla odmruknął, że nie wymienił żadnych nazwisk, ale znane jest przysłowie o stole i o nożycach.

Również na trzy dni przed zabójstwem Zaremby doszło między nim a dyrektorem do poważnej utarczki słownej na próbie. Zaczęło się od tego, że Zaremba posprzeczał się z reżyserem o jakiś drobiazg. Hołobla jak zwykle wtrącił się i jak zwykle stanął po przeciwnej stronie niż Marian, chociaż, o ile sobie przypominam, więcej racji miał aktor. Jak to często bywa, kłótnia przybrała dość ostry charakter, a początkowy powód sporu poszedł całkowicie w zapomnienie. Obie strony, dyrektor i Zaremba, mówili o wszystkim,

tylko nie o tym, co doprowadziło do sprzeczki.

Moje stosunki z dyrektorem Hołobłą układały się, jak już powiedziałem, zupełnie poprawnie. Wprawdzie, władca „Colosseum” składał na mnie winę za wszystkie swoje i nie swoje niepowodzenia, ale nie przejmowałem się tym zbyt- nio i przyjąłem taktykę znoszenia wymówek bez próby usprawiedliwienia się. Nie przyniosłoby to żadnego rezultatu, a doprowadziło do dalszych zadrażnień i przedłużania sporu. Dzięki mojemu spokojowi Hołobła po każdym wybuchu szybko gasł i między nami znowu nastawał pokój. Sądzę, że dyrektor mnie lubił na swój sposób. Przecież wywalczył dla mnie podwyżkę pensji od początku tego sezonu, bodaj jedyną podwyżkę w całym teatrze.

Byłem dla niego bardzo wygodnym pracownikiem. Na mnie, jako na inspicjencie, mógł polegać jak na Zawiszy. Jednocześnie miał pod ręką człowieka, na którym można wyładować swój zły humor. Najlepszy dowód, że nawet w dniu zabójstwa, dwudziestego ósmego września, jeszcze raz zrobił mi awanturę o tamten nieszczęsny straszak, mimo że było to już dwudzieste przedstawienie od dnia pechowej premiery prasowej. Po prostu Hołobła był w fatalnym nastroju, a nie umiał znaleźć bardziej aktualnego powodu do wyładowania się.

Tak więc, jeśli chodzi o dyrektora Hołobłę, moją drugą hipotezę — zabicie przez niego Zarembę jako środek posłania mnie na szubienicę — muszę odrzucić. Zdaję sobie sprawę, że i pierwsza część mojej teorii zbudowana jest na

kruchych podstawach. Niemniej między dyrektorem a Zarembą istniały pewne zadrażnienia. Również niezaprzeczalnym faktem jest, że widziałem Hołoblę z pistoletem w ręku. Być może, kurtyniarz lub główny elektryk, mający swoje miejsce pracy na galeryjce nad kulisą, potwierdzą tę okoliczność. Może też któryś z aktorów zauważył to samo co ja. Wydaje mi się wprawdzie, że wtedy nikogo w kulisie nie było, lecz nie zwracałem uwagi na tego rodzaju szczegóły. Dopiero teraz, kiedy siedzę w więzieniu, widzę, że powinienem nosić ze sobą aparat filmowy i stale kręcić zdarzenia za kulisami. Być może nie siedziałbym w czterech ścianach celi.

Równie dobrze pistolet mógł być załadowany kulą w czasie przerwy. Wprawdzie już w pierwszej części przedstawienia Baśka przed wejściem na scenę otrzymuje ode mnie broń i kładzie ją na stoliku na środku sceny, ale ten pistolet leży tam aż do połowy drugiej części przedstawienia. Wtedy zgodnie z tekstem chwyta go Marian—Rougier, aby sterroryzować obecnych i uciec.

Przerwa między pierwszą a drugą częścią przedstawienia trwa około dwudziestu minut. Na ten czas mechanicy i elektrycy schodzą ze swoich stanowisk. Za kulisami i na scenie nie ma nikogo. Aktorzy nie muszą się przebierać lub zmieniać charakteryzacji. Każdy odpoczywa u siebie w garderobie, pije tam herbatę lub kawę. Cóż łatwiejszego jak wejść na scenę i zamienić pociski w pistolecie leżącym na stole? Zbrodniarzowi ułatwia jego czyn jeszcze i to, że zarówno kulisy, jak i sama scena są wówczas bardzo słabo

oświetlone. Gasi się bowiem główne światła i zostawia tylko parę słabszych żarówek.

Przypuszczam więc, że morderca wykorzystał okres przerwy na zamianę ślebaka na ostry pocisk. Ryzyko takiej zamiany przed rozpoczęciem przedstawienia było chyba zbyt wielkie. W kulisie cały czas był kurtyniarz. Ciągłe ja się tam kręciłem. Nie liczę elektryków, którzy, chociaż pracują na górnym poziomie nad sceną, mieli jednak dobrą widoczność na obie kulisy. Istnieje prawdopodobieństwo zauważenia przez nich czyichś manewrów z bronią leżącą wśród innych rekwizytów.

Poza tym morderca narażał się na niebezpieczeństwo, że któryś z aktorów weźmie pistolet do ręki i bawiąc się nim spróbuje go zarepetować. Wtedy oczywiście zauważyłby, że zamiast ślebaka tkwi w lufie kula. Nieraz widziałem aktorów bawiących się przed przedstawieniem tym pistoletem. Natomiast w czasie przerwy o wiele łatwiej było wybrać taki moment, kiedy tonąca w półmroku scena świeciła pustkami i nikt też nie znajdował się ani za kulisami, ani na rusztowaniach. Dlatego jestem absolutnie pewien, że zamiana pocisków nastąpiła właśnie wówczas.

Jeszcze jeden ciekawy szczegół. Dyrektor Hołobla przyglądał się pierwszej połowie spektaklu ze swojej dyrektorskiej łoży. Opuścił ją w czasie przerwy i na drugą połowę przedstawienia nie powrócił na poprzednie miejsce, lecz obserwował grę zza kulis. Idąc z łoży dyrektorskiej do swojego gabinetu, dyrektor ma najkrótszą drogę właśnie przez scenę, a więc idealna wprost sposobność wymiany pocisków.

Gdyby nawet ktokolwiek zauważył dyrektora na scenie, nie zwróciłby na niego uwagi. Wszyscy byli przyzwyczajeni, że Hołobla, który w czasie antraktu zazwyczaj przebywa w swoim gabinecie i uzgadnia z sekretarzem teatru ostatnie dyspozycje na drugi dzień, wracając ze swojej łoży zawsze przecina scenę. Musi zatem przejść bezpośrednio koło miejsca, gdzie stoi stół z pistoletem. W przypadku, gdyby któryś z aktorów lub maszynistów zauważył wtedy Hołoblę przy stoliku, nie mógłby z daleka dostrzec, czy dyrektor ma broń w ręku, czy też po prostu sprawdza jakiś szczegół dekoracji.

Piszę te słowa z wielką przykrością. Ciągłe mi się zdaje, że popełniam podłość. Przecież oskarżam o popełnienie morderstwa innego człowieka, w dodatku mojego zwierzchnika, który ostatecznie niczego złego mi nie zrobił. Proszę mi wierzyć, że gdyby nie widmo szubienicy tak plastycznie przedstawione mi przez pana prokuratora i przez oficera śledczego, nigdy bym tego nie uczynił.

Ale trudno. Jestem niewinny i muszę się bronić. Sam pan prokurator powiedział, że w sytuacji oskarżonego wszystkie chwytaki są dozwolone. Cóż dopiero, kiedy ten oskarżony jest całkowicie niewinny, a mimo to wszyscy żądają jego głowy. Muszę więc walczyć o tę głowę. Jestem aresztowany. Nie mam możliwości poruszania się, rozmawiania z ludźmi, samemu dochodzenia prawdy — kto jest mordercą Zaremby. Jediną moją bronią są te kartki papieru i długopis. Dlatego też piszę do pana prokuratora i proszę o zbadanie następujących okoliczności.

1) Istniały nieporozumienia między dyrektorem

Hołobłą i Marianem Zarembą. Tę okoliczność mogą wyjaśnić zeznania aktorów, jak również reżysera, Henryka Leżyńskiego, oraz sekretarza teatru.

2) Czy prawdą jest, że Marian Zaremba kierował bądź organizował akcję zmierzającą do odwołania dyrektora Hołobli z jego stanowiska, a zwłaszcza czy chodził w tej sprawie do ministerstwa? Stanowiłoby to poważny argument przemawiający przeciwko osobie dyrektora. W takim razie miałby on, jak to pan prokurator nazwał, „interes” w usunięciu Zaremby. „Ten jest sprawcą, kto odnosi korzyść” – zasada, która mnie obciąża, dotyczyłaby również i Hołobli. Zdaję sobie sprawę z nierównowagi argumentów przeciwko mnie i przeciwko dyrektorowi, ale ponieważ ja ze swoją „dużą korzyścią” pozbycia się kochanka żony i zemsty na niewiernej jestem niewinny, więc może, przy niewielkim zysku, winny jest właśnie Hołobla? Nie wiem.

3) Przesłuchać dyrektora Hołobłą na okoliczność, że przed rozpoczęciem przedstawienia stał przy stoliku z rekwizytami i trzymał pistolet w ręku.

4) Jeśli dyrektor temu zaprzeczy, przesłuchać kurtylniarza i głównego elektryka. Może któryś z nich zauważył ten fakt.

5) Przesłuchać mechaników i elektryków na okoliczność, że dyrektor zawsze w czasie antraktu przechodził ze swojej łoży do gabinetu przez scenę, koło stolika z leżącym nań pistoletem. Być może któryś z tych pracowników jeszcze był na swoim stanowisku i przypomniał sobie, że owego tragicznego dnia dyrektor pozostał wierny zwyczajowi i

przebył tę drogę. Może nawet ktoś widział, jak zwierzchnik zatrzymał się koło stolika.

Jeszcze raz podkreślam, że z dużą przykrością rzucam podejrzenie na dyrektora Hołobę, ale przecież ktoś zabił Mariana Zarembę. Ja tego nie zrobiłem. Świadomość tego zmusza mnie do szukania innego winnego i w na pozór nic nie znaczących szczegółach doszukiwania się śladów, mogących zaprowadzić przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości do rzeczywistego mordercy.

ROZDZIAŁ VI

Pistolet marki Walter

Tym razem mieszkańca celi 38 przewieziono karetką więzienną, tak zwaną „suką”, do gmachu sądów. Na górze, na piątym piętrze mieściły się również biura stołecznej prokuratury. Więźnia wprowadzono do pokoju, gdzie oczekiwali go prokurator Ryszard Jasioła i oficer milicji w mundurze kapitana. Jerzy Pawelski rozpoznał w nim tego samego funkcjonariusza milicji, który go kilkakrotnie przesłuchiwał zaraz po aresztowaniu. Od prokuratora Jasioły wiedział, że jest to kapitan Witold Łapiński.

Pawelski zajął miejsce z jednej strony biurka, naprzeciwko prokuratora. Oficer milicji usadowił się nieco z boku, pod oknem, tak, aby widzieć doskonale twarz więźnia. Dzisiaj, w przeciwieństwie do rozmowy przeprowadzonej w więzieniu, przesłuchanie miało ściśle oficjalny charakter. Młoda urzędniczka prokuratury wystukała na maszynie wszystkie pytania i odpowiedzi.

— Muszę pana poinformować — powiedział prokurator, kiedy maszynistka załatwiła się już z rubrykami personalnymi protokołu — że zbadaliśmy okoliczności, na które

zwrócił pan uwagę w czasie mojego widzenia się z panem w więzieniu. Kapitan Łapiński wyjaśnił tę sprawę. Stefan Piotrowski potwierdził, że zwalniał go pan codziennie do domu przed rozpoczęciem przedstawienia. Wspomniał nawet, że był raz świadkiem wymówek, jakie dyrektor Hołobla zrobił panu z jego powodu. Tak więc ta najmniejsza jednak ze wszystkich poszlak przeciwko panu została obalona.

— Udało mi się — zauważył z wisielczym humorem Pawelski — uszczknąć z przygotowanej dla mnie szubienicy jedną małą drzazgę.

— Przeczytaliśmy pańskie ostatnie pismo — ciągnął prokurator. — Wszystkie wnioski, jakie pan wysnuł ze swoich obserwacji, zostały przez kapitana Łapińskiego sprawdzone. Miał pan rację, stosunki Mariana Zaremby z dyrektorem teatru nie były najlepsze. Sam pan Hołobla to potwierdził. Gdyby jednak ludzie mordowali się z powodu tak błahych sprzeczek, świat byłby jedną wielką pustynią.

— Przecież ja sam uznawałem w swoim liście, że wytaczane przeze mnie argumenty przeciwko dyrektorowi nie są zbyt wielkie.

— Słusznie jednak pan zrobił pisząc o tym i wysuwając nie znane nam okoliczności sprawy. Jeżeli rzeczywiście jest pan, jak to stale twierdzi, niewinny, im więcej poznamy nawet najbliższych szczegółów, tym prędzej dojdziemy do prawdy. Pańska pomoc jest nam potrzebna przede wszystkim w pana interesie.

— Czyżby pan prokurator zmienił zdanie na temat mojej winy?

— Nie. Ale moje osobiste przekonanie, takie samo

zresztą jak chyba wszystkich ludzi, którzy w jakikolwiek sposób zetknęli się z tą sprawą, nie przeszkadza, aby wszechstronnie prowadzić dochodzenie, uwzględniając i pańską taktykę obrony. Dlatego też, powtarzam, słusznie pan zrobił wysuwając zarzuty pod adresem dyrektora. Naturalnie pan Hołobla nigdy nie dowie się o treści pańskiego listu. Na przyszłość proszę nam również komunikować inne spostrzeżenia, to, co pan zdoła sobie przypomnieć, bezpośrednio lub tylko pośrednio dotyczące morderstwa. Ma pan jeszcze papier?

— Tak, zostało mi kilka arkuszy.

— Zaraz wydam polecenie, aby uzupełniono ten zapas.

— Dziękuję, ale na razie, niestety, nie widzę niczego, co mogłoby rzucić dalsze światło na moją sprawę.

— Miejmy nadzieję, że pan jeszcze sobie coś przypomni. Wracając do pańskich wniosków, kapitan Łapiński ustalił, że chociaż Zaremba dał koty z dyrektorem, nie prowadził żadnej podjazdowej walki przeciwko niemu. Przeciwnie, dyrektor departamentu w ministerstwie ujawnił nam, że kiedyś przypadkowo spotkał Zarembę i spytał go o dyrektora Hołoblę oraz o stosunki panujące w teatrze. Na to aktor odpowiedział, że ludzie trochę się buntują, bo Hołobla „trzyma wszystkich krótko przy pysku, ale jako dyrektor musi to robić, bo inaczej nie byłoby teatru, tylko ...” Sprzeczki nie wyszły zatem poza budynek „Colosseum”, co oczywiście jeszcze bardziej osłabia pańskie zarzuty.

Pawelski lekko skinął głową na znak, że zgadza się z rozumowaniem prokuratora.

— Co do dalszych wniosków, to nie było potrzeby przesłuchiwania kurtyniarza i innych pracowników teatru, ponieważ dyrektor Hołobla od razu przyznał się, że czekając na Zarembę, zdenerwowany opóźnieniem przedstawienia, bezwiednie podszedł do stolika z rekwizytami i machinalnie wziął pistolet do ręki.

— Kiedy wchodziłem do prawej kulisy, dyrektor trzymał pistolet w rękę.

— Właśnie. Pan Hołobla potwierdza to w całej rozciągłości. Dodał również, że dopiero na widok pana uświadomił sobie, iż trzyma broń w rękę i szybko położył ją na stoliku.

— Tak było — przytaknął Pawelski.

— Zbadałem również sprawę naboju do pistoletu — wtrącił kapitan Łapiński. — Miał pan rację mówiąc o nabojach leżących w kałamarzu. Dobrze, że pan powiedział nam o tym. Znaleźliśmy ostre pociski w tym samym miejscu, gdzie je dyrektor Hołobla położył po wyjęciu magazynka z pistoletu. Było ich sześć w kałamarzu. Czy tyle odłożył tam dyrektor?

Pawelski chwilę zastanawiał się.

— Kiedy dyrektor Hołobla wyjął pistolet z biurka, najpierw wysunął magazynek i położył go na blacie stołu. Następnie repetował pistolet sprawdzając, czy nie ma kuli w lufie. Przypominam sobie, że pociągnął wtedy za spust i słyszałem głuchy stuk iglicy. Na pewno więc broń nie była załadowana. Później dyrektor kolejno wysuwał pociski z magazynka, ale chyba siedem, a nie sześć... Przecież Walter jest pistoletem siedmiostrzałowym. Ósma kula w lufie. Tej

ósmej na pewno nie było, ale siedem znajdowało się w magazynku.

— To zgadza się z tym, co zeznał dyrektor Hołobla. On również twierdził, że magazynek był pełny i do kałamarza włożył siedem pocisków. Oddaliśmy te pociski do ekspertyzy do Zakładu Kryminalistyki KG MO, jak również kulę wyjętą w czasie sekcji zwłok z ciała zabitego. Wprawdzie w tej sytuacji wyniki nie mogą być stuprocentowo pewne, ale ekspertyza stwierdziła, iż kula, która zabiła aktora, stanowi ten siódmy nabój. Zniknął on z kałamarza i ten fakt znowu pana obciąża.

— Mnie? Dlaczego?

— Bo pan doskonale wiedział, gdzie szukać ostrego naboju. W pana obecności kule zostały schowane do kałamarza.

— Ten kałamarz nie ma zamknięcia — powiedział Pawelski. — Każdy, kto usiadł przy biurku, mógł doskonale zobaczyć mosiężne gilzy leżące w przezroczystym, szklanym czy też kryształowym sześcianie.

Prokurator spojrział pytająco na oficera milicji.

— Pan Pawelski ma rację. Rzeczywiście kałamarz nie ma zamknięcia, a ponadto jest przezroczysty.

— Świetne miejsce na przechowywanie pocisków — ironicznie zauważył Jasiola.

— Toteż ostrzegłem pana Hołoblę, że grozi mu cofnięcie pozwolenia na broń. Można jeszcze zrozumieć wypożyczenie pistoletu jako rekwizytu teatralnego, ale magazynowanie naboju w kałamarzu na biurku jest ciężkim zaniedbaniem.

— W każdym razie, jeżeli nawet to pana nie obciąża, jednocześnie przemawia na korzyść dyrektora.

— Dlaczego?
— Gdyby był zabójcą, na pewno nie użyłby naboju z kałamarza, ale postarał się o jakiś inny.
— Nie jestem tego taki pewien. Jeżeli planował, że podejrzenia skierują się w moją stronę, specjalnie wziął nabój z kałamarza.

— Nie to jest głównym dowodem niewinności dyrektora — rzekł prokurator.

— A co?

Kapitan Łapiński otworzył leżącą na biurku teczkę i wyjął z niej dużą, ciężką kopertę. Wydobył z niej czarny, oksydowany pistolet i podał go Pawelskiemu.

— Poznaje pan tę broń?

— To ten, którym... którym zastrzelono Zarembę. Baśka...

— Tak, to ten sam pistolet. Ekspertyza stwierdziła, że kula, która zabiła aktora, pochodzi z lufy tej broni. Ma charakterystyczne karby. Poza tym na rękojeści pistoletu znaleziono odciski palców. Wszystkie udało się odczytać. Należą do pańskiej żony, Barbary Pawelskiej. Niech pan uważnie obejrzy tę broń. Czy to ten sam pistolet, który wręczył panu dyrektor?

— Ten sam. Tu jest napis Walter.

— Na pewno ten sam? Proszę, niech pan weźmie broń do ręki i przyjrzy się jej uważnie.

Pawelski obejrzał pistolet, po czym odłożył go na biurko.

— Mnie się zdaje, że ten sam

— Nie myli się pan?

— Chyba ten sam. Ale tak pan mnie skołował tymi pytaniami, że w końcu nie wiem.

— Przecież miał go pan codziennie przynajmniej dwa razy w rękę.

— To co z tego? Nie przyglądałem się specjalnie pistoletowi. Ludzie noszą przez dziesięć lat jeden i ten sam zegarek na rękę. Spoglądają nań po pięćdziesiąt razy dziennie. A kiedy potrzeba, nie potrafią określić charakterystycznych cech cyferblatu. Na przykład, czy cyfry na cyferblacie są rzymskie, czy arabskie. Tak samo i ja z tym pistoletem. Chociaż...

Pawelski jeszcze raz wziął broń do ręki.

— Wydaje mi się, że teraz jest trochę bardziej zniszczony. Oksydowanie jest na kantach nieco zatarte. To prawdopodobnie w czasie dokonywania ekspertyz.

— Nie. Rzeczywiście ten pistolet jest trochę bardziej zniszczony. Na to zwrócił uwagę i dyrektor Hołobla, kiedy widząc pana nadchodzącego odłożył broń na stolik. Zeznał nam, że wówczas, przed przedstawieniem, coś go uderzyło w wyglądzie tego pistoletu. Że to jak gdyby nie ten sam. Sprawdziliśmy numery. To inny pistolet. Tej samej marki. Taki sam Walter. Podobnych pistoletów jest miliony lub dziesiątki milionów. Wszystkie Waltery w Polsce pochodzą z lat okupacji lub sprzed okupacji. To niemiecka marka i ta broń używana była głównie przez armię niemiecką. Wszystkie więc pistolety są dość stare i sfatygowane. Dlatego trudno odróżnić jeden od drugiego.

— Ale skąd wziął się ten pistolet w rękę Baški w czasie przedstawienia?

— Pan go jej podał, kiedy wchodziła na scenę.

- Jeszcze raz powtarzam, że nie jestem mordercą.
- Gdyby nawet przyjąć, że jest pan niewinny — wyjaśnił kapitan Łapiński — to i tak broń znalazła się w ręku pańskiej żony dlatego, że zgodnie z wymogami sztuki inspicjent podał ją aktorce wychodzącej na scenę.
- Ale my obydwaj, ja i rekwizytor Piotrowski, wynieśliśmy z magazynu rekwizytów pistolet dyrektora.
- To nie ulega wątpliwości.
- Więc?
- Pan pisał w swoim liście, że aby zamienić pocisk w lufie pistoletu wystarczy najwyżej pięć sekund. Morderca nie chciał ryzykować nawet tak krótkiego czasu. Postarał się o prawie identyczny pistolet Waltera i zamienił broń. Taka zamiana nie trwa nawet czterech sekund. Wystarczy na nią pół sekundy. Jest przy tym dużo trudniejsza do zauważenia. Można jej dokonać choćby przechodząc koło stolika z rekwizytami. Nie trzeba się zatrzymywać. Wystarczy połą rozpiętej marynarki przykryć niby przypadkowo róg stolika, gdzie leżał pistolet, i w tym momencie zabrać ten ze ślepakiem, a położyć nabity kulą.
- To by znaczyło, że broń zamieniona została przed przerwą?
- Kiedy dyrektor Hołobla zauważył, że w jego pistolecie jest coś odmiennego, to już wtedy na stoliku znajdowała się inna broń. Przyznaję — dodał kapitan Łapiński — że gdyby nie dziwna na pozór uwaga Hołobli, nie sprawdzalibyśmy nawet numerów broni. Tak byliśmy pewni

identyczności pistoletu.

— Po numerze można dojść do właściciela drugiego Waltera.

— Tak, gdyby był to posiadacz legalny, mający broń zarejestrowaną. Niestety. Nie mamy tego pistoletu w ewidencji. Zarówno wśród spisu broni znajdującej się u ludzi mających na to pozwolenie, jak i w ewidencji pistoletów, których kiedyś użyto dla popełnienia przestępstwa, lecz sprawcy i broni nie znaleźliśmy, a dysponujemy jedynie ekspertyzą wystrzelonego pocisku. To zapewne powstańczy albo wojenny pistolet. Właściciel go nie oddał, wbrew przepisom schował, a teraz użył do morderstwa. Pan brał udział w Powstaniu Warszawskim?

— Brałem. Razem z kilkudziesięciu tysiącami AKowców, ALowców i PALowców oraz członków innych organizacji wojskowych ruchu oporu. Poza tym zwracam panu kapitanowi uwagę, istniała jeszcze sześćsettyśięcna armia walcząca na szlaku od Lenino po Berlin. Ta poszlaka dotyczy zarówno mnie, jak i ich wszystkich. Każdy mógł mieć pistolet marki Walter i później schować go „na pamiątkę”.

— Z aktorów tylko trzech brało udział w Powstaniu Warszawskim. Jeden był w Wojsku Polskim. Jeśli chodzi o pracowników administracyjnych i technicznych teatru, trzech walczyło na froncie, jeden w partyzantce i jeden w powstaniu.

— A ktoś, kto nie brał udziału w wojnie, nie mógł zdobyć Waltera inną drogą?

— To już znacznie trudniej. Pistoletów nie kupuje się w sklepach i nie leżą na ulicy.

— To nie może być poszlaką przeciwko mnie.

— To jednak jest poszlaką — wyjaśnił prokurator, który dotychczas nie brał udziału w sporze. — Oczywiście bardzo drobną. Ale z najmniejszych ziarenek piasku można zebrać wielki ciężar. My zbieramy wszystko. I to, co przemawia na pańską korzyść, i to, co go obciąża. O tym, co przeważy, zadecyduje sąd.

— Sprawdziliśmy, że nikt spośród tych, którzy mogli zamienić pistolet, nie posiadał pozwolenia na broń — dodał kapitan MO. — Zrobiliśmy rewizję w pańskim domu. Szukaliśmy jakichś śladów, że miał pan rewolwer. Na przykład wycior do czyszczenia lufy, wystrzelone gilzy, chusteczka powalana oliwą czy sama buteleczka z oliwą. Rewizja dała wynik ujemny.

— To świadczy, że nie miałem broni.

— To świadczy o tym, że nie znaleźliśmy śladów posiadania przez pana broni. Mógł pan, przygotowując zamach, usunąć starannie najmniejszy nawet ślad. Była to przecież zbrodnia z premedytacją, przygotowana zawnazu, na długo przed dwudziestym ósmym września. Oficjalnie stwierdzam, że rewizja dała wynik ujemny. Pańska żona również zeznała, że pan nigdy nie posiadał jakiegokolwiek broni. W każdym razie nic jej na ten temat nie wiadomo. Wyjaśniła również, że w okresie, kiedy uprawiała sport strzelecki, nie trzymała broni sportowej w domu, a pan nigdy nie uczestniczył w jej treningach.

— Dobre i to — sarkastycznie zauważył przesłuchiwany.

— Przeprowadziliśmy również rewizję we wszystkich mieszkaniach ludzi podejrzanych — powiedział prokurator.

— Pan otrzymał listę tych osób. Dałem ją panu w czasie naszej poprzedniej rozmowy.

— Tak, znam ją na pamięć.

— Przeprowadziliśmy również rewizję w mieszkaniu dyrektora Hołobla. Teoretycznie biorąc, mógł posiadać dwa pistolety. Jeden legalnie, drugi potajemnie. Poza tym zrewidowaliśmy cały teatr.

— Bez skutku?

— Bez najmniejszego skutku.

— Byłem tego pewien. Pistolet dyrektora na pewno leży już na dnie Wisły lub został porzucony w takim miejscu, gdzie go nikt do końca świata nie znajdzie.

— Obawiam się, niestety, że pan ma rację — dorzucił kapitan Łapiński.

— Wróćmy jeszcze do sprawy ostrych pocisków, leżących w kałamarzu. Czy dużo osób miało dostęp do gabinetu dyrektora? — zapytał prokurator Jasioła.

— Dyrektor Hołobla jest bardzo pracowity. Nie tylko bywa na każdej próbie i wiele sztuk reżyseruje osobiście, ale również wszystkie sprawy administracyjne i gospodarcze muszą przejść przez jego ręce. Mamy wprawdzie dyrektora administracyjnego, ale jego rola nie jest zbyt wielka. Hołobla pracuje przeważnie w swoim gabinecie. Tam też przyjmuje interesantów. Zarówno tych z miasta, jak i nas, pracowników teatru. Ktokolwiek ma jakąś sprawę do

dyrektora, szuka go w gabinecie. Często też Hołobla wzywa ludzi do swojego pokoju. Nie ma tygodnia, żeby ci, którzy znajdują się na liście podejrzanych, nie byli choć raz w dyrektorskim gabinecie. Ja tam bywałem po parę razy dziennie. Tak samo rekwizytor i reżyser „Marie Octobre”. Inni też często tam zaglądali. Zarówno aktorzy, jak i pracownicy techniczni.

— Więc każdy mógł wyjąć z kałamarza potrzebny mu nabój?

— Rozmawiając z dyrektorem siedzącym naprzeciwko trudno było grzebać w kałamarzu.

— No, ale zdarzało się, że w czasie takich rozmów pan Hołobla odwracał się lub telefonował czy też wyjmował jakieś papiery z szafy? Tam chyba jest szafa?

— Jest. Oszklona biblioteczka. Dokumenty dyrektor trzyma w biurku. Możliwość wyjęcia naboju w czasie obecności dyrektora w pokoju uważam za bardzo niewielką. Hołobla jest człowiekiem energicznym, o szybkiej decyzji. Wiele osób przewijało się codziennie przez jego gabinet, ale nikt tam długo nie popasał. Parę słów rozmowy, błyskawiczna decyzja dyrektora i petent opuszczał progi tego pokoju. Za drzwiami zazwyczaj czekał już następny interesant.

— Czy wychodząc z pokoju dyrektor zamykał drzwi na klucz?

— Tak. Po odejściu dyrektora Derbicza Hołobla kazał założyć w drzwiach nowy zamek. Wychodząc z teatru zamykał gabinet własnym kluczem i zawsze miał go przy sobie.

— Jeżeli kupuje się zamek, to otrzymuje się trzy klucze. Co się stało z pozostałymi?

— Jeden klucz jest w sekretariacie na dole, tuż przy wejściu do teatru. Zdarza się, że trzeba wejść do gabinetu dyrektora w czasie jego nieobecności. Sekretariat na dole czynny jest od rana aż do końca przedstawienia. Klucz wisi na gwoźdźniku wbitym w ramę okienną. O trzecim kluczu nic nie wiem, może ma go również dyrektor Hołobla?

— Widzę, że pan posługiwał się kluczem do jego gabinetu, inaczej nie wiedziałby pan, gdzie jest jego stałe miejsce.

Pawelski uśmiechnął się lekko.

— To jest tak zwane „podchwytliwe pytanie”. Mogę jednak odpowiedzieć na nie panu prokuratorowi, nieraz się posługiwałem. Ale urzędujące na zmianę sekretarki administracji poświadczą, że w czasie, kiedy na afisze weszła „Marie Octobre”, klucza nie brałem ani razu. A przedtem naboi nie było w kałamarzu.

— Kto najczęściej wypożyczał klucz w sekretariacie?

— Na to pytanie najlepiej odpowiedzą sekretarki. Przypuszczam, że dyrektor administracyjny i sekretarz teatru.

Prokurator spojrzął na oficera MO.

— Sprawdźmy — kapitan Łapiński zanotował coś w swoim notesie.

— Jeszcze jedno — rzekł Jasioła. — Powiedział pan, że wychodząc z teatru dyrektor Hołobla zamykał drzwi na klucz. A jeżeli wychodził z gabinetu, aby pójść do sekretarza,

dyrektora administracyjnego lub po prostu załatwiał coś w gmachu teatru? Czy wtedy przekręcał klucz w zamku?

— Czy to był zamek z typu samozatrzasekujących się? — uzupełnił pytanie kapitan.

— Nie. Zamek był marki Łucznik. To pamiętam doskonale, bo ile razy otwierałem i zamykałem drzwi gabinetu dyrektora, zawsze odczytywałem napis na kółku do spuszczenia zasuwki.

— Chcąc więc zamknąć gabinet od zewnątrz, trzeba użyć klucza?

— Tak.

— Wracając do mojego pierwszego pytania, pan nie odpowiedział na nie, bo zajęliśmy się konstrukcją zamku. Czy opuszczając na krótko gabinet dyrektor przekręcał klucz w zamku?

— Nie. Wtedy gabinet był otwarty.

— Mógł pan zatem wejść do gabinetu w czasie nieobecności dyrektora i wyjąć nabój z kałamarza?

— Tak jak każdy ze znajdujących się na pańskiej liście, panie prokuratorze. Ale nie zrobiłem tego.

— A skąd pan wziął ostry nabój?

— Nie zrobię panom przyjemności i nie przyznam się do zabójstwa ani bezpośrednio, ani pośrednio. Nie złapiecie mnie na takie pytania, bo po prostu nie jestem mordercą. Proszę zaniechać tej metody przesłuchania. Panowie tracą czas na próżno.

— No dobrze — prokurator położył kres przesłuchaniu. — Na upór nie ma lekarstwa, chociaż pan szkodzi tylko sobie. Jeżeli pan coś sobie jeszcze przypomni, ma pan papier i ołówek. Proszę teraz przeczytać dokładnie protokół i podpisać u dołu na każdej stronie.

ROZDZIAŁ VII

Panie Prokuratorze

„Panie Prokuratorze,
mijają już trzy tygodnie od dnia mojego uwięzienia. Trzy tygodnie, zaledwie dwadzieścia jeden dni, a moje życie zupełnie się odmieniło. Zamiast domu i dzieci pozostała mi tylko więzienna cela oznaczona numerem 38. I to nie wiadomo jeszcze, na jak długo. Być może, mógłbym uratować moją głowę za cenę przyznania się do niepełnionej zbrodni. Mimo wszystko uważam stawkę za zbyt wysoką i nie zapłacę jej. Nie przyznam się do zabicia Zaremby, bo nie popełniłem tego czynu.

Lista, którą dał mi Pan Prokurator, stale leży na małym więziennym stoliku. Chociaż znam ją na pamięć, każdego dnia wielokrotnie biorę ją do ręki i wpatruję się w te szesnaście nazwisk, aż mi oczy łzami zachodzą. Pytam: „który z was?”, i nie dostaję odpowiedzi. Kartka papieru milczy.

Postanowiłem napisać o każdym z tych ludzi wszystko, co wiem. Może w trakcie tej pracy wyciągnę z mroków pamięci coś, co mogłoby być motywem zbrodni. Do omówienia pozostało mi dwanaście osób. Bo już poprzednio skreśliłem siebie, moją żonę i rekwizytora. Po wyjaśnieniach

ubyła postać dyrektora Hołobli. Dwunastu ludzi, jak dwunastu apostołów, który z nich jest Judaszem? Czy zabił Zarembe, bo był jego wrogiem, czy też usunął ze świata popularnego aktora, aby mnie posłać na szubienicę? Jak go znaleźć?

Pierwsza na liście pana prokuratora jest Barbara Pawelska. Opuszczam ją i zatrzymuję się przy drugim nazwisku, pani Ireny Skalskiej.

Starsza pani, ongiś znana i lubiana aktorka charakterystyczna. Czas i nadmiar kobiet w teatrze robią swoje, więc i o pani Skalskiej nie pisze się tyle co przed laty. Nowa publiczność też nie zawsze pamięta ulubienicę scen z dawnych lat. Niestety, taki jest często los starzejącego się aktora. Sztuk z głównymi rolami dla pań pod sześćdziesiątkę jest niewiele. Ostatnio pani Irena długo pauzowała. Przedtem grała jakieś ogony.

Reżyser »Marie Octobre«, pan Henryk Letyński, obsadził ją w sztuce w roli starej służącej Victorine. Bogiem a prawdą, mógł do tej roli wziąć prawie każdą z naszych aktorek, poza tymi najmłodszymi. Przy wyborze reżyser kierował się raczej dawną znajomością i przyjaźnią niż innymi względami. Chciał po prostu, aby pani Skalska pograła i trochę zarobiła, bo jasne było, że sensacyjna sztuka francuska ma zapewnione przynajmniej sto pięćdziesiąt przedstawień pod rząd. Aktor ma ściśle określoną normę występów miesięcznie. Co ponadto, jest płacone dodatkowo.

Co panią Irenę Skalską, kobietę około sześćdziesiątki, mogło łączyć z młodym, dobiegającym trzydziestki aktorem filmowym? Gdyby nawet przyjąć, że w sercu starszej

pani rozszalała się spóźniona wiosna, byłoby nonsensem posądzać ją o to, że chciała usunąć z grona żywych swój ideał. Nigdy jednak nie zauważyłem, aby pani Skalska okazywała jakiegokolwiek zainteresowanie Zarembą. Traktowała go na równi z pozostałymi młodymi ludźmi, z uprzejmością zaprawioną odcieniem ironii i własnej wyższości.

Andrzej Cichosz, zdolny aktor, któremu w życiu niezbyt się wiodło. Nieustanne kłopoty materialne. Najpierw długo chorowała mu żona. Chyba coś z płucami, bo miesiącami trzymał ją w górach. Potem kłopoty z dziećmi. Starszy o prawie dziesięć lat od Zaremby. Poznali się przedtem, nim Marian zaczął pracować w naszym teatrze. Wiem, że dyrektor Hołobla usiłując skaptować popularnego gwiazdora na scenę »Colosseum«, korzystał również z pośrednictwa Cichosza. Wiadome mi jest, że Zaremba, który jak na nasze stosunki zarabiał bardzo dużo, nie raz i nie dwa służył Andrzejowi poważniejszymi pożyczkami. Cichosz spłacał je różnymi ratami, ale te długi miały tendencję nie do maleńia, lecz przeciwnie, do wzrostu. Zaremba nie przejmował się tym i zawsze otwierał swoją kieszeń przyjacielowi będącemu w potrzebie. Sam Cichosz mi się przyznał, że właśnie dzięki poparciu Zaremby udało mu się dostać dubbing w jakimś angielskim filmie. Chwalił się, że otrzyma za to około pięciu tysięcy złotych, co mu pozwoli wysłać żonę i dzieci na całe wakacje do Rabki.

Nie wiem, ile w końcu Cichosz był winien Zarembie. Oczywiście były to długi na słowo honoru, nie potwierdzone

wekslami ani skryptami dłużnymi. Nie przypuszczam, żeby suma tych pożyczek przekraczała dziesięć tysięcy złotych. Raczej mniej, bo ostatnio sytuacja finansowa Cichosza znacznie się poprawiła. Najpierw ten dubbing, potem w lecie jakiś objazd po miejscowościach wypoczynkowych, ostatnio przygotowywał coś dla telewizji. Słowem, chłop kręcił się jak wentylator, żeby wyjść z tarapatów.

Gdyby przyjąć, że Zaremba pokłócił się z Cichoszem i zażądał natychmiastowego zwrotu pieniędzy, byłoby rzeczą bezsensowną uważać ten fakt jako motyw zabójstwa. Ostatecznie Andrzej znalazłby ratunek w naszej teatralnej kasie zapomogowo-pożyczkowej bądź dostał pomoc ze SPATIF-u. Nic mi nie wiadomo o nieporozumieniach między tymi dwoma mężczyznami. O długach wiem tylko od Cichosza, bo ten znajdując się w kłopotach często o nich mi mówił. Natomiast Marian Zaremba, nawet przed rozpoczęciem flirtu z moją żoną, najmniejszym słowem nigdy nie wspominał, że jest wierzycielem Andrzeja.

Sprawiedliwie przyznaję, że wiele rzeczy można by zarzucić zmarłemu, ale nigdy małostkowości i chciwości.

Adam Lisowski zajmuje następne miejsce na liście pana prokuratora. To również aktor nieco starszy od Zaremby. Przedtem chyba się nie znali. Lisowski niedawno się ożenił. Z lekarką. Bardzo zakochana para. Ona, jeżeli nie ma dyżuru w szpitalu, przychodzi na każde przedstawienie, aby popatrzeć na grę męża. Zaremba parę razy zabrał ich po spektaklu do knajpy czy też na dansing. Przypuszczam, że

zapłacił za nich, bo on zawsze płacił za uboższych kolegów. Znany był z tego. Na pewno zachowywał się bardzo mile wobec pani Lisowskiej, robił do niej słodkie oczy, ponieważ tak się zachowywał wobec wszystkich młodych i przystojnych kobiet. Ale o żadnym flircie nie mogło być mowy. Ona zakochana w swoim mężu, a Marian zajęty właśnie... moją żoną.

Z którejkolwiek strony spojrzelibyśmy na Adama Lisowskiego, w żaden sposób nie można w nim widzieć mordercy.

Wacław Dudziński. Jeden z dwóch najmłodszych naszych aktorów. Zaledwie dwa lata po szkole. Po otrzymaniu dyplomu z miejsca zaangażowany został przez dyrektora Hołobłą, ponieważ jest synem sędziego z Radomska. Po powstaniu Hołobla wylądował w Radomsku, gdzie znalazł kąpielnicę i łyżkę strawy właśnie u sędziego Dudzińskiego, prowadzącego wówczas mały sklepik spożywczy na Rynku. Ten angaż młodego aktora od razu na warszawską scenę był po prostu spłaceniem starego długu. Niemniej okazał się dobrym interesem, bo chłopak jest zdolny i zajdzie daleko.

Jego stosunki z Zarembą? Niewątpliwie gwiazdor filmowy imponował młodemu człowiekowi, jeżeli nie talentem, to swoją błyskawiczną karierą i pięknym samochodem. Dudziński kupił sobie jakiegoś używanego grata, którego remontom i czyszczeniu poświęcał wszystkie wolne chwile. Zaremba, jako starszy i bardziej doświadczony automobilista, służył mu swoją wiedzą w tej dziedzinie. Nieraz widziałem, jak na podwórzu teatralnym obaj leżeli

pod tym wiekowym gruchotem. Potem usmarowani jak nieboskie stworzenia śpieszyli się, aby zdążyć na próbę.

Nie, to wykluczone, żeby Dudziński mógł zamienić pistolet. Po co?

Im bardziej się zastanawiam nad tą całą sprawą, tym mniej ją rozumiem. Coraz jaśniej widzę, że jedynym człowiekiem mającym motyw i to motyw poważny, który nie raz i nie tysiąc razy był powodem zabójstwa, jestem tylko ja. Zabiłem kochankę żony. Odwieczny temat zazdrości, ambicji, zranionego honoru i żądzy władzy oraz posiadania. A przecież nikt nie wie lepiej ode mnie, że nigdy mi nawet przez myśl nie przeszedł pomysł zbrodni.

Pan Ludomir Janecki to znany aktor. Często występuje w telewizji, stale gra w teatrze radiowym i w ogóle bardziej związany jest z radiem, niż z deskami sceny. Należy do tych osób, których dyrektor Hołobla ściągnął do »Colosseum«, aby nasz teatr uczynić rewią najpopularniejszych gwiazd. Przyszedł do nas na rok przed Zarembą. Człowiek spokojny, dbający o swój wygląd zewnętrzny. Ubrany zawsze tak, jak gdyby wyszedł prosto z kart ostatniego żurnalu mody męskiej. Nader akuratny, powiedziałbym nawet pedant. O jego życiu prywatnym niewiele mogę powiedzieć, bo raczej nie udzielał się w naszym środowisku. Przez tyle lat związany pracą z ludźmi radia, tam miał przyjaciół i kontakty towarzyskie. W »Colosseum« starał się uchodzić za dobrego kolegę, ale wyraźnie nie chciał przekraczać tej granicy. Z większością aktorów i całym personelem technicznym był

na pan. W tym także z Zarembą. Jeżeli po przedstawieniu aktorzy organizowali jakieś »pójście w Polskę«, nigdy Jannecki od tego się nie wykręcał, szedł z nimi, lecz pił mało i ulatniał się przy najbliższej, nadarzającej się sposobności. Podobnie bywało na przyjęciach urządzanych przez dyrektora z okazji premiery. Pan Ludomir brał wprawdzie udział w Powstaniu Warszawskim, a zatem mógł z tamtych czasów zamelinować pistolet marki Walter, ale motywy, gdzie są motywy?

Naszym beniaminkiem jest Piotr Marski. Młodszy od Dudzińskiego. Nie wiem, za czyją protekcją zaangażowany do »Colosseum«, bo nie przypuszczam, żeby się obyło bez protekcji. Talent raczej przeciętny. Złośliwi powiadają o nim, że może śmiało siedzieć przy otwartym oknie, nie orzeł, nie wyfrunie. Ale przemiły chłopak. Uczynny, grzeczny, zawsze pamiętający o zrobieniu jakiejś drobnej przyjemności naszym paniom. Bukieciak fiołków, jakiś drobiażdżek, maleńka, czekoladka czy papierosy ulubionej marki, które aktualnie trudno dostać. Nie tylko dla tych najmłodszych i najprzystojniejszych, lecz również i dla starszych pań, jak na przykład Irena Skalska. Nic dziwnego, że ten młody aktor jest ulubieńcem żeńskiej połowy teatru. Mężczyźni też go lubią za jego usługowość, pozbawioną zresztą cienia lizusostwa. Ile razy ten chłopak biegał do bufetu po papierosy dla mnie lub do magazynu po dodatkowy rekwizyt? Broń Boże, nigdy tego nie wymagałem ani nawet o to nie prosiłem. Po prostu Marski ma grzeczność i uczynność we krwi. To mu bardzo pomaga i w teatrze,

i w życiu. W dużej mierze zastępuje talent. Przypuszczam, że z tymi zaletami i niesłychaną łatwością bycia nasz Piotruś — inaczej go tu nikt nie nazywa, także maszyniści i elektrycy — nie zrobi zawrotnej kariery, lecz zawsze będzie miał dobre engagement i zawsze będzie dostawał niezłe role. Może zresztą i talent rozwinie się w tym chłopcu?

On miałby być zabójcą Zaremby? Chybaby przedtem uprzedził go i przeprosił, że zamierza uczynić mu krzywdę. Posługując się mikroskopem, nie zdołałbym doszukać się najmniejszego powodu do zbrodni.

Jan Szafar i Janusz Banach, to stara gwardia teatru »Colosseum«. Na nowo przybyłych spoglądają nieco krzywym okiem. Dyrektor Hołobla, prowadząc swoją politykę ściągania do teatru głośnych gwiazd filmu i telewizji, musiał zrobić dla nich miejsce. Plan etatów obowiązuje i w teatrze. Dlatego też opuściło naszą scenę sporo dobrych aktorów. Na pewno Banach i Szafar niezbyt pewnie czują się na swoich stołkach. Jeżeli panu Hołobli przyjdzie do głowy dalej prowadzić swoją politykę, oni będą pierwszymi, którzy dostaną wymówienie. Mężczyźni mają wprawdzie znacznie większe możliwości urzędzenia się gdzie indziej, i wśród aktorów nie ma bezrobocia, jak to bywa z kobietami, ale o dobry kontrakt nie jest i aktorowi łatwo. A »Colosseum« uchodzi za jedną z lepszych scen stolicy. Można się tu wygrać i zarobić lepiej niż w innym zespole.

Gdyby zabito dyrektora Hołoblę, w stosunku do tych dwóch aktorów miałbym chociaż cień motywu. Obaj

starali się jak najrzadziej wchodzić w drogę dyrektorowi i jak najsumiennie wypełniali swoje obowiązki. Widziało się to bardzo wyraźnie, zwłaszcza na wiosnę, kiedy sprawa podpisania kontraktu na dalszy sezon była otwarta. Dyrektor Hołobla słusznie zrobił, że zatrzymał ich w »Colosseum«. Nie można zmieniać całego garnituru obsady sceny. A to są dobrzy, rutynowani aktorzy, świetnie znający swoje rzemiosło.

Toteż ci dwaj przedstawiciele starej gwardii »Colosseum« nieco się boczyli na nowych. Uważali ich za spychaczy. Czy który z nich byłby zdolny zamordować Zarembę? Oczywiście nie. Dlaczego właśnie Zarembę, a nie Janeckiego czy Masonia? Na szczęście dla posady ludzie w Polsce się nie mordują. Zresztą jeżeli nawet przyjąć tak absurdalny motyw, to ofiarami Szafara i Banacha byłiby właśnie Janecki lub Mason, jako mniej więcej równi wiekiem. Zarembo był natomiast dużo młodszy i dlatego nie stanowił takiej konkurencji.

Przechodzę teraz do ostatniego nazwiska aktorskiego na liście pana prokuratora. Jest nim Bronisław Mason. Również znany aktor, który przed kilku laty przeszedł z teatru do filmu. Wtedy nie grał w Warszawie, lecz w Łodzi i tam też kręcił swoje pierwsze role na srebrnym ekranie. Aktor starszy od Zaremby specjalizował się w kinie w rolach czarnych charakterów. Przeważnie występował w filmach kryminalnych, wcielając się w szefa gangu. Dziwiliśmy się, że reżyser Letyński obsadzając role w »Marie Octobre« nie powierzył właśnie jemu odtworzenia postaci zdrajcy

Rougiera, tylko dał ją Zarembie.

Po zaangażowaniu do »Colosseum« Mason nie zerwał z filmem. Nie zależało mu specjalnie, aby dużo grać na scenie naszego teatru. Nie obrażał się, kiedy pomijano go przy obsadzie jakiejś sztuki i musiał pauzować. Był z tego raczej zadowolony, bo uwalniało go to od prawdziwej gimnastyki — pogodzenia gry w teatrze z nakręcaniem kolejnego filmu. Jako człowiek nowy w Warszawie — dyrektor Hołobla ściągnął go z Łodzi i miał duże kłopoty ze znalezieniem Masonowi mieszkania i zameldowania przybywszy w stolicy — szybko się dopasował do atmosfery panującej w »Colosseum«. Uważano go za porządnego chłopca.

Prywatnie, wzorowy mąż i ojciec dzieciom. Na inne kobiety nawet nie patrzył, choć jako popularny aktor filmowy miałby duże powodzenie. Jedną z naszych młodych aktoreczek, Marysia Rego, usiłowała go skokietować, ale bez najmniejszego sukcesu.

Czyta się nieraz o wzajemnej nienawiści wielkich gwiazd filmowych. O tym, że na rautach lub uroczystych premierach dochodzi czasami i do puszczania w ruch pięści lub, jeśli chodzi o panie, pazurków. Ale nie słyszałem, żeby nawet w Hollywood ktoś z tego powodu posunął się aż do zabójstwa. A Warszawa to przecież nie Ameryka. Nasze gwiazdy nie mają popularności światowej, nie zarabiają milionów dolarów i nie muszą walczyć wszystkimi środkami, aby za wszelką cenę utrzymać się na szczycie. Poza tym Zaremba i Mason nie byli dla siebie filmowymi konkurentami.

Marian grywał role przystojnych amantów w filmach psychologicznych lub w komediach. Bronisław Mason występował wyłącznie w sztukach sensacyjnych lub kryminalnych, i to zawsze w roli szwarccharakteru.

Moim zdaniem, stosunki między tymi dwoma były poprawne, bez poufałości, ale i bez niechęci.

A więc nikt! Żaden z aktorów występujących w »Marie Octobre« nie jest zabójcą.

Gdyby piorun strzelił i zabił Zarembę na scenie w czasie przedstawienia, uważałbym to za bardziej proste, niż ta kula wystrzelona przez Baškę z zamienionego pistoletu. Wtedy były to tylko cud, słuszna kara dla kochanka mojej żony. Niekiedy cuda są bardziej zrozumiałe niż fakty osadzone w twardej rzeczywistości.

Na liście pana prokuratora jest jeszcze sześć nazwisk pracowników technicznych, a właściwie nie sześć, tylko cztery, bo trudno dyrektora teatru i reżysera sztuki zaliczyć do pracowników technicznych. Zajmę się przede wszystkim nimi, a później omówię pozostałych.

Dyrektora Hołoblę uważałem początkowo za głównego podejrzanego. Teraz cieszę się, iż moje zarzuty okazały się bezpodstawne. Cieszę się, bo jest to człowiek na swój sposób porządny, chociaż może trochę ciężki w codziennych stosunkach służbowych. Trzeba mu przyznać, że dla »Colosseum« zrobił bardzo wiele. Dużo więcej niż poprzedni dyrektor, mój serdeczny druh Derbicz. Powiem więcej, jestem rad, chociaż zdaję sobie sprawę, że to przybliży pętlę do mojej głowy.

Ponieważ rola dyrektora Hołobli w dramacie została przez milicję całkowicie wyjaśniona, nie będę się nim zajmował ponownie, a przejdę do osoby reżysera sztuki, pana Henryka Letyńskiego.

Henryk Letyński należy do najbardziej znanych reżyserów i aktorów starszego pokolenia. Człowiek dużej wiedzy teatralnej, profesor PIST-u. Nie wchodzi w skład zespołu »Colosseum«, lecz dyrektor Hołobla zaprosił go do reżyserowania »Marie Octobre«. Dlatego też pan Henryk nie bywa codziennie na spektaklach, wpada do teatru raz na kilka dni, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku, i poprowadzić grę aktorów. Kiedy sztuką idzie dłużej, to występujący w niej artyści mimo woli odchylają się od koncepcji reżysera. Dlatego też taka korekta jest konieczna. Czasami nawet robi się kostiumową próbę sztuki, która codziennie figuruje na afiszu. Aktorzy bardzo tego nie lubią.

Letyński jako reżyser jest niezmiernie wymagający. Potrafi na próbach po kilkanaście razy powtarzać tę samą scenę, aż uzna ją za dobrą. Poza tym przemily starszy pan, doskonały gawędziarz i bardzo uczynny człowiek. Niejednemu aktorowi pomógł w znalezieniu dobrego kontraktu lub w żrebieniu kariery. Letyński dużo czasu poświęca pracy społecznej. O ile się nie mylę, jest lub był członkiem Stołecznej Rady Narodowej, bierze udział w pracach Frontu Jedności Narodowej i organizacjach zawodowych.

Pan Henryk jest człowiekiem roztargnionym. Stale coś gubi i czegoś szuka. Pozornie wygląda na nieco niezaradnego, ale to tylko pozory. Zarówno w czasie reżyserowania

jak i przy obserwowaniu sztuki i jej korygowaniu jest żywy i pelen temperamentu. Pełno go wtedy we wszystkich zakamarkach teatru. Biega od jednej kulisy do drugiej, nie zważając na znajdujące się na drodze przeszkody. Raz, pamiętam, omal nie wywrócił dekoracji. Na szczęście któryś z maszynistów podbiegł w porę i podparł chwiejące się płótno, bo reżyser, przebiegając z prawej kulisy za horyzont, zawadził w pośpiechu nogą o wystającą nieco podporę dekoracji. Innym razem, już na »Marie Octobre«, pan Letyński połą rozwianej marynarki strącił kieliszki ustawione na stoliku z rekwizytami. Ledwie udało mi się uzupełnić braki przed wniesieniem ich na scenę. Przy »Marie Octobre« stale zwalniam rekwizytora jeszcze przed początkiem przedstawienia, bo uważam, że nie ma najmniejszego sensu, aby ten człowiek siedział trzy godziny nie mając absolutnie nic do roboty. W tej sztuce są tylko cztery rekwizyty: kieliszki z szampanem, filiżanka z czarną kawą, talerzyk z udkiem kaczki i pistolet. Na wszelki wypadek mam klucz do magazynu rekwizytów. Zdążyłem więc pobiec i przynieść nowe kieliszki. Po przedstawieniu chowam w magazynku wszystkie rekwizyty, łącznie z pistoletem dyrektora Hołobli, i zamykam pomieszczenie, zostawiając klucz na tablicy w portierni.

Złośliwi, a tych nigdzie nie brakuje, zwłaszcza w teatrze, o panu Henryku Letyńskim powiadają, że lubi otaczać swoją opieką młodziutki, ładne aktoreczki. Ile w tym prawdy, nie wiem, ponieważ nigdy nie bawiłem się w plotki krążące

po teatrze. Gdyby nawet to było prawdą i gdyby ta opieka nie była bynajmniej platoniczna, to i tak nie widzę żadnego związku pana Henryka z morderstwem Zaremby. Wprawdzie Zaremba był, jak to się mówi, pies na kobiety — te młode i ładne — ale ostatnio, od dłuższego czasu, interesował się tylko jedną. Pan, panie prokuratorze, wie, o kim mówię.

Zresztą Zaremba był za sprytny i za dobry był z niego polityk, aby podrywać dziewczynę znanego reżysera, człowieka dużo mogącego w teatrze, nawet gdybyśmy ustalili, że ta dziewczyna istnieje naprawdę, a nie wyłącznie w wyobraźni plotkarzy. Co innego sprzątnąć babkę wpływowemu reżyserowi, a co innego zabrać żonę zwykłemu inspijentowi.

Rozpatrując morderstwo od strony technicznej, to pan Letyński miał chyba najwięcej okazji ze wszystkich osób, figurujących na liście prokuratora, do zamiany pistoletów, ale motyw? Letyński w czasie okupacji siedział po uszy w robocie konspiracyjnej. Przez ostatnie dwa lata wojny ukrywał się. Podobno utlenił sobie wtedy włosy i zupełnie zmienił wyraz twarzy. Pracował bodaj jako inkasent elektrowni pruszkowskiej. Tego rodzaju człowiek na pewno miał broń w czasie okupacji. Być może nawet pistolet marki Walter. Ale gdyby go chciał zachować na pamiątkę, to nie ukryłby tej broni, bo bez żadnych trudności otrzymałby na nią zezwolenie. A wówczas jego Walter byłby nie do użycia dla zamordowania Zaremby.

Sama myśl, że zabójcą mógłby być Henryk Letyński, jest absurdem.

W ten sposób lista kandydatów na mordercę kurczy się. Wciąż odpadają z niej kolejne nazwiska, jak na jesieni liście z drzewa, które w końcu pozostaje gołe. W tej chwili na kartce papieru pozostały nazwiska czterech osób: Jerzy Pawelski, Stefan Piotrowski, kurtyniarz Piotr Adamek i elektryk Witold Ciesielski.

Dwa pierwsze nazwiska znowu wykreślam. Siebie dlatego, ponieważ wiem, że nie jestem mordercą, zaś rekwizytorą Stefana Piotrowskiego osobiście zwolniłem do domu wtedy, kiedy na stoliku z rekwizytami leżał jeszcze pistolet dyrektora Hołobli ze ślepym nabojem w lufie. Kiedy ktoś zamieniał pistolety, Piotrowskiego nie było już w gmachu teatru. Rekwizytor nie brał udziału w tej tragedii.

W swoich poprzednich rozważaniach również poświęciłem sporo miejsca głównemu elektrykowi, Witoldowi Ciesielskiemu. Uważam go za bardzo porządnego człowieka, dobrego fachowca, a przede wszystkim za kogoś, kto absolutnie nie miał nic wspólnego z Zarembą. A więc nie mógł go zamordować. Tak więc na motywie zbrodni przewracają się wszystkie moje podejrzenia. Gdybym znalazł człowieka, który miał powód życzenia Marianowi śmierci, znalazłbym mordercę i łatwo dowiodł, że ten człowiek mógł zamienić pistolety. Ale motyw pasuje wyłącznie do mnie, zdradzonego męża.

Mechanik od kurtyny, Piotr Adamek! Długoletni pracownik teatru »Colosseum«. Poza tym nie mogę o nim niczego powiedzieć. Małomówny, spokojny. Przez całe lata widziałem go siedzącego na swoim krzeselku koło mechanizmu do podnoszenia kurtyny. Przed przedstawieniem

spokojnie coś czytał, przeważnie popołudniówki. Rzadziej jakąś książkę. W czasie spektaklu z uwagą śledził akcję na scenie i pilnował, aby na pierwszy mój gest uruchomić swoją maszynę. Dobrze podnosić i spuszczać kurtynę to wbrew pozorom nie jest wcale łatwe. Tym bardziej w tak dużym teatrze. Pan Adamek wywiązywał się z tego bez zarzutu. Nic więcej o nim nie wiem. Nasza znajomość, choć trwająca od lat, ograniczała się jedynie do wymiany ukłonów i krótkich rozmów na tematy techniczne.

Jeżeli dobrze pamiętam, Adamek nigdy nie rozmawiał z aktorami. Czasami prosił dyrektora Hołobłą lub sekretarza teatru o kartkę — bezpłatny bilet dla kogoś z rodziny. Z innymi mechanikami i elektrykami zbyt się nie przyjaźnił. Żył w teatrze obok nas, niezauważalny. Robił swoje, nic innego go nie interesowało.

Mógłbym się nawet założyć, że przez cały czas pracy w »Colosseum« ten człowiek nie zamienił i stu słów z Zarembą. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek z nim rozmawiał. Jak więc można przypisywać mu udział w morderstwie?

Ciągle myślę o tym dramacie. Zdaję sobie doskonale sprawę ze straszego położenia, w jakim się znalazłem. Czasu w celi więziennej mam przecież dużo. Czasu, który coraz bardziej się dłuży, a który jednocześnie chciałoby się powstrzymać. Im więcej go upływa, tym bliżej do rozprawy i do wyroku. A wiem, że nie mam żadnych szans w tej rozgrywce. Nawet najbliżsi, nawet żona, a bądź co bądź łączy nas cała przeszłość i dzieci, nie wątpi w moją winę. Miałby

w nią nie uwierzyć prokurator i trzech sędziów, którzy mnie nie znają i nigdy w życiu mnie nie widzieli? Po rozprawie i po zapoznaniu się ze wszystkimi poszlakami, tak skrzętnie nagromadzonymi przez milicję i prokuraturę, ci trzej sędziowie z czystym sumieniem wydadzą swój wyrok. Domyślam się, jestem nawet pewien jaki. Skażą niewinnego człowieka.

Papier i ołówek, Panie Prokuratorze, nie jest mi już potrzebny. Wszystko, co było mi wiadome w tej sprawie, szczegółowo opisałem”.

ROZDZIAŁ VIII

Głos zza grobu

Znowu więzień celi 38, Jerzy Pawelski, wprowadzony został do pokoju prokuratora Ryszarda Jasioły. Tym razem tylko maszynistka siedziała przy stoliku i pilnie coś przepisywała.

— Pan prokurator zaraz nadejdzie — poinformowała milicjanta, który towarzyszył więźniowi. — Obywatel Pawelski może tu poczekać.

— To lepiej obaj zaczekamy w korytarzu — milicjant był ostrożny i wołał nie ryzykować. Samotna dziewczyna i więzień mający w perspektywie karę śmierci. Uciec wprawdzie by nie mógł, bo z pokoju prowadziły jedne drzwi, właśnie na korytarz, ale pozostawało okno i wysokość pięciu pięter do bruku ulicy. Na ucieczkę droga nie nadaje się, dla samobójstwa jest doskonała. I w jednym, i drugim przypadku konwojent miałby masę nieprzyjemności, stawianie do karnego raportu, pisanie wyjaśnień. Lepiej mieć więźnia przy sobie, w zasięgu ręki. Wygląda na spokojnego, ale kto go tam wie?

— Dobrze, zaczekajcie na korytarzu — zgodziła się maszynistka. — Pan prokurator jest u szefa i lada moment

będzie. Są w pańskiej sprawie nowe materiały — dziewczyna uśmiechnęła się do aresztowanego, którego знаła już z poprzednich przesłuchań.

— Pomyślnie dla mnie? — zapytał Pawelski.

— Nie wiem. Pan prokurator wszystko wyjaśni — dziewczyna pochyliła się nad maszyną i zaczęła ponownie stuknąć w klawisze na znak, że więcej nie powie.

Milicjant wyprowadził więźnia na korytarz. Świecił on dzisiaj pustkami, ponieważ nie był to dzień przyjmowania interesantów. Usiedli na ławce.

— Chcecie zapalić? — zaproponował konwojent, wyciągając paczkę sportów.

— Dziękuję, nie palę.

Milicjant schował papierosy. On wprawdzie palił, lecz w czasie służby przy pilnowaniu aresztowanego nie mógł tego zrobić.

— Dawno już siedzicie?

— Przeszło sześć tygodni.

— Za tego aktora, Zarembę?

Pawelski kiwnął głową. Uważał, że nie było żadnego sensu wdawać się w dyskusję z konwojentem i z kolei jemu dowodzić swojej niewinności.

— Akt oskarżenia już macie?

— Nie.

— To pewnie prokurator wzywa was na ostatnio przesłuchanie przed doręczeniem aktu oskarżenia. Tak się zwykle robi — informował z miną człowieka obeznanego z tajnikami prawa.

— Możliwe — zgodził się inspicjent.

— Żeby tylko nie puścili sprawy w doraźniaku, bo wtedy bieda. Nie ma rewizji w Sądzie Najwyższym. Pozostaje

jedynie prosić o łaskę Radę Państwa. A przy poszlakówkach Sąd Najwyższy prawie nigdy nie daje czapy.

— Może i lepiej w doraźnym. Krócej człowiek będzie się męczył.

— Nie gadajcie głupstw — obruszył się milicjant.

W tej chwili na korytarzu ukazał się prokurator Jasioła.

— Zaraz was wezwę — powiedział przechodząc koło Pawelskiego i wszedł do swojego pokoju. Rzeczywiście nie upłynęło i pięć minut, kiedy drzwi do gabinetu otworzyły się i maszynistka poprosiła więźnia do środka. Dzisiaj nie było już pytań dotyczących danych personalnych przesłuchiwanego. Widocznie urzędniczka przepisała je z poprzedniego protokołu. Toteż kiedy Pawelski zajął miejsce naprzeciwko prokuratora siedzącego za biurkiem, od razu padły pytania.

— Czy pan zna Danutę Malinowską?

— Malinowska? Malinowska? — przypominał sobie aresztowany. — Nazwisko nie jest mi obce. Ale Malinowskich jest dużo. Chyba znam.

— A co ona robi?

— Jest ekspedientką w sklepie spożywczym WSS. Najbliższym naszego mieszkania na Ochocie. Nie wiedziałem, że ma na imię Danuta.

— Nie o tę osobę mi chodzi. Danuta Malinowska. Lat dwadzieścia siedem. Z zawodu lekarka. Zatrudniona w szpitalu na Solcu.

— Nie znam tej pani.

— Na pewno?

— Z całą pewnością. Cóż by mi zależało, żeby się nie

przyznawać? Może to jakaś znajoma żony, ale nigdy o niej nie slyszalem.

— A Marię Wartecką pan zna?

— Nie. Kto to taki?

— Ma dwadzieścia trzy lata. Z zawodu pielęgniarka.

— Też znajoma mojej żony?

— Nie. Przesłuchiwalismy pańską żonę. Nie zna żadnej z tych kobiet.

— To kochanki Zaremby?

— Też nie. Obydwie, zarówno lekarka, jak i pielęgniarka, pracują w szpitalu na Solcu. Odczytam panu ich zeznania. Ujawniły one bardzo ciekawy fakt i co ważniejsze, przemawiający za panem.

Jerzy Pawelski był wyraźnie zaintrygowany i lekko podniecony. Prokurator Jasioła wydobyl z akt arkusz papieru zatytułowany „protokół przesłuchania świadka” i powiedział:

— Chyba mogę opuścić dane personalne pani Danuty Malinowskiej, bo o nich wspomniałem.

— Jak pan uważa, panie prokuratorze.

— A zatem czytam:

...”uprzedzona o obowiązku mówienia prawdy i że za składanie fałszywych zeznań grozi surowa kara, wyjaśniam: jestem lekarką w Miejskim Szpitalu nr 8 przy ulicy Solec. W dniu dwudziestego ósmego września tego roku szpital miał ostry dyżur. Pamiętam, że wieczorem około godziny dziesiątej karetka pogotowia przywiozła znanego aktora Mariana Zarembe. Był on ciężko ranny w lewą pierś. Kula uszkodziła osierdzie i naruszyła mięsień sercowy.

Chory był nieprzytomny. Do moich obowiązków należało przygotowanie pacjenta do operacji. Pomagała mi w tym pielęgniarka, siostra Maria Wartecka.”

— To jednak operowali go. Myślałem, że umarł jeszcze w teatrze, kiedy go wynosili. Wyglądał jak martwy.

„Stan chorego był agonalny. W tej sytuacji operacja była tylko beznadziejnym wysiłkiem lekarzy dla ratowania życia, ale jak długo człowiek żyje, lekarz ma obowiązek ratowania. Kiedy ranny został już rozebrany i ułożony na wózku, mającym zawieźć go na salę operacyjną, w pewnym momencie zaczął wypowiadać jakieś słowa.

Początkowo były to zupełnie nieartykułowane dźwięki. Później można było rozróżnić poszczególne słowa. Pamiętam, powtarzał wielokrotnie: Baśka, Baśka. Wymieniał również inne imiona kobiece, ale Baśka powtarzało się najczęściej. W pewnej chwili powiedział zupełnie wyraźnie: Zabił mnie. Więc jednak odważył się. Znowu z ust rannego wydobywały się jęki i bezładne dźwięki, aby za chwilę głośno zawołać: Nie Baśka, nie Pawelski. Słowa: Nie Pawelski — powtórzył wielokrotnie.

Spytałam się: kto pana zranił? Kto to zrobił? Nie otrzymałam odpowiedzi. Wreszcie wydało mi się, że zrozumiał moje pytania, bo znowu wymówił: Milicja, niech go milicja sama szuka... Ja wiem... Zabił... Nienawidził... Nie Pawelski... Baśka strzeliła... Nie Baśka... Ja wiem... On... Nie Pawelski... Baśka... — Słowa te słyszała i zapamiętała również siostra Wartecka.

Chory, wyraźnie zmęczony tym wysiłkiem, zamilkł i w czasie przewożenia na salę operacyjną nie wymówił ani słowa. Kiedy zaczęła się operacja, Zaremba żył jeszcze, lecz zmarł w czasie trwania zabiegu.

Na pytanie prokuratora wyjaśniam, że ranny był nieprzytomny i wypowiedziane przez niego słowa były majączeniem człowieka znajdującego się w agonii. Nie mogę również stwierdzić, czy w czasie zadawania umierającemu pytań nastąpiło chwilowe odzyskanie przytomności — lucidum intervalum — czy zrozumiał sens moich pytań i czy świadomie na nie odpowiadał. W każdym razie zaraz potem umilkł i nie odpowiadał, mimo że ponawiałam pytania: Kto zabił? Powiedz nazwisko zabójcy! — O ile sobie przypominam, sporządziliśmy na żądanie milicji kartę z opisem wszelkich zabiegów dokonywanych dla ratowania życia Zaremby. Na tej karcie odnotowany jest czas przywiezienia rannego do naszego szpitala i dokładny czas zgonu na stole operacyjnym. Bezpośrednią przyczyną zgonu była rana osierdza i krwotok wewnętrzny.

Na pytanie prokuratora, dlaczego dopiero teraz zgłosiłam się do prokuratury stołecznej i ujawniłam wypowiedziane przez umierającego słowa, wyjaśniam, że nie przywiązywałam do tych wypowiedzi żadnego znaczenia. Ludzie będący w agonii niekiedy wypowiadają słowa i zdania bez związku. W dwa dni później wyjechałam na urlop do Bułgarii. Nie czytałam polskich gazet i nie wiedziałam, że po zabójstwie został aresztowany i podejrzany o ten czyn człowiek noszący nazwisko Pawelski. Dopiero w parę

tygodni po powrocie do kraju, podczas jakiejś rozmowy ktoś przypadkowo poruszył temat zbrodni w teatrze i wtedy wymienił nazwisko domniemanego mordercy. Skojarzyłam sobie to nazwisko ze słowami wypowiedzianymi przez umierającego i po radzie z ordynatorem szpitala, który uznał, że należy okoliczności zgonu ujawnić władzom, zgłosiłam się do prokuratury.

Wyjaśniam, że nie znam żadnego mężczyzny o nazwisku Pawelski, w szczególności nie znam inspicjenta teatru »Colosseum«, Jerzego Pawelskiego.

Na pytanie prokuratora stwierdzam, że ranny bardzo wyraźnie wymawiał »Nie Pawelski« i pomiędzy przeczeniem i nazwiskiem nie robił żadnej przerwy. Brzmiało to bezwątpienia jako zaprzeczenie, jakoby sprawcą zabójstwa był wspomniany Pawelski. Żadnych innych nazwisk chory nie wymieniał. Wymawianych imion kobiecych nie przypominam sobie, bo było ich dużo. Imię Baśka powtarzało się kilkakrotnie i dlatego je zapamiętałam.

Nie, nie notowałam wówczas słów wypowiedzianych przez konającego. Cytuję je z pamięci, jednakże doskonale sobie przypominam, że nazwisko wypowiedziane wówczas brzmiało Pawelski. Również było dla mnie jasne, że umierający nie chciał czy też nie mógł wymienić nazwiska mordercy. Wyraźnie powiedział: Niech go milicja sama szuka. — Powtarzam jednak, że nie mogę stwierdzić, czy ranny był w tyra momencie przytomny i zdawał sobie sprawę z treści swoich słów.

Nic więcej w tej sprawie nie jest mi wiadome.”

Prokurator przestał czytać. Jerzy Pawelski wysłuchał

treści protokołu w najwyższym podnieceniu, a teraz powiedział:

— Więc jednak znalazł się dowód mojej niewinności.

— Muszę pana zmartwić, ale ani ja, ani sąd nie mogą tego traktować jako dowodu, że pan nie jest zabójcą Zaremby. Gdyby nawet można było ustalić, że wypowiadając te słowa aktor był całkowicie przytomny, również nie stanowiłoby to przekonującego dowodu.

— Dlaczego?!

— Umierający nie wymienił nazwiska zbrodniarza ani w inny sposób nie ujawnił swoich podejrzeń. Gdybyśmy nawet uznali, że słowa „Nie Pawelski” mają oznaczać „Nie Pawelski jest moim zabójcą”, świadczyłyby to o tym, że chce pana osłonić. Umierającemu człowiekowi nie zawsze zależy na zemście na swoim mordercy. Jest to możliwe tym bardziej, że Zaremba nie czuł się w porządku wobec pana. Zabrał przecież panu żonę, rozbił ognisko rodzinne. Może umierając chciał za to zapłacić? Rycerskim gestem zaprzeczył pańskiemu udziałowi w zbrodni. Dla prokuratora to jedynie piękny, szlachetny gest, a nie dowód. Go innego, gdyby Zaremba wymienił przypuszczalne nazwisko sprawcy zbrodni. Wtedy szukalibyśmy motywu, który domniemanego zabójcę mógł doprowadzić do zamiany pistoletów. To byłoby dla sądu pewnym dowodem pańskiej niewinności. W obecnej sytuacji może być najwyżej okolicznością łagodzącą — ofiara przebaczyła w godzinie śmierci swojemu mordercy i chciała go osłonić przed wymiarem sprawiedliwości. W takiej sprawie jak pańska niewinności

można dowieść tylko drogą wskazania zabójcy.

— To, co pan mówi, jest właśnie niesprawiedliwe.

— Będąc rzecznikiem sprawiedliwości, nie mogę zająć innego stanowiska. Nie mam żadnego dowodu, że były to słowa wypowiedziane w pełni świadomości, a nie majaki konającego. Oczywiście na zeznania doktor Malinowskiej pański adwokat będzie kładł największy nacisk. Czy pan już się zdecydował na jakiegoś obrońcę?

— Nie. Nie chcę żadnego.

— Znowu niepotrzebny upór. Rola adwokata w procesie karnym to również pomoc dla sądu przy wydaniu wyroku. Umiejętne wskazanie wszystkich okoliczności łagodzących ma ogromne znaczenie.

— Nie potrzebuję żadnych okoliczności łagodzących. Jestem niewinny. Zaremba o tym wiedział.

— Szkoda, że przed śmiercią nie umiał czy nie chciał ujawnić mordercy, jeżeli pan nim nie jest. Wracając do sprawy, mogę panu przeczytać także zeznania pielęgniarki. Potwierdzają one w zasadzie to, co powiedziała lekarka. W relacji Warteckiej jedynie kolejność wypowiedzianych przez umierającego słów jest nieco inna. Nie ma to większego znaczenia i jest zrozumiałe, bo obydwie kobiety składały swoje zeznania po upływie dłuższego czasu, a nie notowały wypowiedzi Zaremby, nie przywiązując do nich wagi. Może było błędem, że karetką pogotowia zabierającego z teatru rannego aktora nie pojechał jeden z milicjantów, aby czuwać przy jego łóżku i przesłuchać go, jeżeli umierający odzyskałby przytomność. Sprawdziliśmy, dlaczego tego

zaniedbano. Otóż zabierając rannego lekarz pogotowia oświadczył oficerowi prowadzącemu wstępne śledztwo, że nie ma żadnych szans, aby aktor mógł odzyskać przytomność. Lekarz twierdził, że samochód nie dowiezie Zarembę żywego do najbliższego szpitala. Niewiele się zresztą pomylił. Biedak zmarł w niecałe półtorej godziny po strzale. Wracając do sprawy pańskiego obrońcy, jeżeli nie dokona pan wyboru adwokata, wystąpię do sądu z wnioskiem o wyznaczenie go z urzędu.

— Skoro panu prokuratorowi na tym zależy...

— Taki jest przepis prawa. Zależać to przede wszystkim musi panu. Gdybyśmy przyjęli pańską tezę o jego niewinności, to chyba ważne jest dla pana, czy sąd popełniając omyłkę sprawiedliwości skaze go na karę śmierci, czy też na karę więzienia. Jeżeli człowiek żyje, a jedynie siedzi w więzieniu, to ewentualny błąd można naprawić. Wykonanie wyroku kary śmierci stwarza stan nieodwracalny.

— Ale pan prokurator będzie żądał kary śmierci.

— Przypuszczalnie tak. Moim zdaniem te okoliczności łagodzące, jakie dostrzegam, nie usprawiedliwiają morderstwa dokonanego na zimno i w tak perfidny sposób. Sąd nie jest jednak związany wnioskami prokuratora, a obrona będzie się starała wydobyć na światło dzienne wszystko to, co może przemawiać za panem.

— Pan prokurator będzie stawiał wniosek o rozpatrzenie sprawy w trybie doraźnym? Jak pan zapowiadał na poprzednich przesłuchaniach?

— Nie wiem. Jeszcze nie padło ostatecznie zdanie. Być może, mając zeznania pracownic szpitala, prokuratura

dojdzie do wniosku, że tryb doraźny nie jest konieczny. O wniosku decyduje szef prokuratury.

Pawelski milczał. Prokurator zmienił temat.

— Przestudiowałem uważnie kolejne pana pismo z charakterystykami osób, które, teoretycznie biorąc, miały możliwość dokonania zamiany pistoletów. Mówiąc prawdę, ten list wystawia panu pochlebne świadectwo.

— Dziękuję panu prokuratorowi.

— Będąc w trudnym położeniu, zdobył się pan na daleko posunięty obiektywizm. Nie próbuje pan matactwa i przedłużania śledztwa, nie usiłuje rzucić podejrzenia na innych, operując kłamiwymi zarzutami. Milicja naturalnie również nie była bezczynna i dokładnie badała sprawę. Każda z osób na mojej liście była szczegółowo sprawdzana. Ich przeszłość i sposób życia są nam znane. Przyznaję, rezultaty są prawie identyczne ze spostrzeżeniami zawartymi w liście. Słusznie też pan stwierdza, że chociaż każdy z tego spisu mógłby być zabójcą, to u nikogo nie można znaleźć motywu zbrodni. Nikomu nie potrafiłoby się dowieść, że miał jakikolwiek interes lub odnosił korzyść ze śmierci Zaremby. Dlatego właśnie pan jest dla mnie jedynym podejrzany.

— Są zbrodnie popełniane bez motywów.

— Bywają — zgodził się prokurator. — Takie przestępstwa są najtrudniejsze do wykrycia. Popelnia je zazwyczaj człowiek nienormalny, o wynaturzonej psychice. Żeby daleko nie szukać, przykładem takich zbrodni były napady

na kobiety w Krakowie. Morderca podchodził do nieznanym kobiet lub do dziewczynek i bez słowa uderzał nożem. Pomimo trudności śledztwa, sprawca został wykryty i ujęty. Casus zabójstwa Zaremby to nie zbrodnia bez motywów. Grono podejrzanych jest ściśle zamknięte, obejmuje szesnaście nazwisk. Wszyscy są zupełnie normalni. Pan sam uznał to w swoim liście. Trzeba wykluczyć, że ktoś z nich mógł działać bez motywu.

— Tak jest.

— Zostawiłem panu papier i ołówek. Niech pan usiłuje coś jeszcze sobie przypomnieć. Niech pan notuje swoje myśli, wrażenia. Pisze coś w rodzaju pamiętnika. Każdy drobiazg może być ważny. Mogą się nasunąć panu jakieś nowe wnioski. Jakiś szczegół, którego my nie znamy, a pan dotychczas nie dostrzegął jego znaczenia. Moja całkiem prywatna rada — niech pan dużo pisze. Jak najwięcej. Niekoniecznie, aby przesłać to prokuraturze, lecz dla własnej pamięci. To może się przydać.

— Przez ostatni miesiąc nie robię nic innego, tylko myślę o tych ludziach. Ważę w myślach każdy ich czyn, każde słowo, ale poza tym, co już napisałem, nie widzę niczego więcej.

— Sprawdziliśmy fakty podane przez pana. Dwie osoby mogłyby mieć, jak pan to słusznie zauważył, „cień motywu”. Pierwszy z nich to Cichosz. Zaremba ratował go w nie kończących się tarapatach finansowych. Cichosz, o czym pan nie wiedział, podpisał zlecenie na jeszcze dwa dubbingi. Wobec tego wziął pożyczkę w kasie koleżeńskiej i cały dług oddał Marianowi. Wprawdzie Zaremba był jednym

z żyrantów tego zobowiązania, ale nikt nie zabija swojego żyranta.

— Nie wiedziałem ani o nowych dubbingach, ani o pożyczce. W ogóle o długach mówił mi tylko Cichosz. Zaremba nigdy nie wspominał, że komuś pożycza pieniądze.

— Nie tylko jednemu Cichoszowi. Innych także ratował w potrzebie. Zarabiał przecież dobrze i paręset złotych nie stanowiło dla aktora filmowego żadnej różnicy. Wielu skorzystało z tej śmierci i nigdy się nie przyznają, że byli jego dłużnikami.

— Niewątpliwie. Nie zaprzeczam, że zmarły był dobrym kolegą.

— Również wyjaśniliśmy pewne, jak pan to nazwał, plotki dotyczące osoby reżysera i tej młodej aktoreczki. Cała historia skończyła się jeszcze przed przeprowadzeniem się Zaremby do Warszawy i, Bogiem a prawdą, więcej w tych opowiadaniach było złośliwości kolegów i ich fantazji niż rzeczywistości. Ta pani w ogóle nie знаła osobiście gwiazdora filmowego, a od nowego sezonu pracuje w Krakowie. Jak pan widzi, milicja nie spała i starała się mu dopomóc, sprawdzając podane fakty.

— Dziękuję.

— Mam dla pana wiadomości dotyczące go osobiście. Dzieci i żona czują się dobrze, w domu wszystko w porządku. Ze szkołą żadnych kłopotów.

Bolesny skurcz przeleciał przez twarz więźnia. Opanował się szybko.

— Bardzo dziękuję panu prokuratorowi. W takich sprawach najbardziej poszkodowane są zawsze dzieci. Będą musiały żyć z piętnem ojca-mordercy.

— Pana żona — ciągnął dalej prokurator — złożyła do prokuratury podanie z prośbą o widzenie się z panem.

— Nie! Nie chcę nikogo widzieć.

— W tym stanie dochodzenia myśmy zajęli podobne stanowisko, udzielimy tylko pozwolenia na widzenie z pana obrońcą. Toteż pani Pawelska otrzymała odmowną odpowiedź. Poza tym pani Pawelska oświadczyła, że odwołuje poprzednie zarzuty. Tłumaczy je wstrząsem, wywołanym bezpośrednim udziałem w tragedii, w dniu dwudziestego ósmego września. Ma również zamiar skorzystać z prawa odmowy składania zeznań na pańskim procesie.

— Tego nie rozumiem.

— Zgodnie z przepisami kodeksu, najbliższa rodzina oskarżonego ma prawo odmówić zeznań. Właśnie pańska żona oświadczyła nam, że skorzysta z tego prawa.

— Niech jej pan powie, że jeżeli chce, może zeznawać. Więcej mi nie zaszkodzi. Zdaję sobie dobrze sprawę z mojego położenia i wiem, że brak jednego świadka nie zmienia sytuacji.

— Muszę pana także poinformować — dorzucił prokurator — że zapoznałem panią Barbarę Pawelską z pańskimi zeznaniami, a przede wszystkim z pismem zatytułowanym „Mój życiorys”. Była wstrząśnięta.

Pawelski aż się zachnął.

— Dlaczego pan to zrobił? Bez mojego upoważnienia?

— To są materiały dochodzenia — sucho zauważył Jasioła — i prokurator decyduje, czy i komu można je dać do

wglądu. Ponieważ dążymy do wyjaśnienia prawdy i tylko całej prawdy, doszedłem do wniosku, że najsluszniej będzie udostępnić ten dokument osobie, która w tragedii odegrała jedną z głównych ról. Uważam, że debrze się stało dla was obojga. Teraz znacie swoje zeznania i wzajemne o sobie sądy. Gdybyście tak szczerze wymienili swoje poglądy przed kilku laty, a choćby kilka miesięcy temu, na pewno nie doszłoby do tragedii na scenie teatru „Colosseum”. I to bez względu na to, czy pan, czy też ktoś inny zamienił pistolety.

— Nie rozumiem.

— Właśnie o to chodzi, abyśmy w tej sprawie mogli nareszcie wszystko zrozumieć — tymi słowami prokurator zakończył kolejne przesłuchanie Jerzego Pawelskiego.

Po załatwieniu zwykłych formalności z protokołem i transportem, więźnia odstawiono z powrotem do celi.

ROZDZIAŁ IX

Drugi pistolet

Następne przesłuchanie więźnia śledczego, Jerzego Pawelskiego, odbyło się w cztery dni później. Inspicjent wchodząc do dobrze mu znanego gabinetu prokuratora Ryszarda Jasioły od razu zorientował się, że w jego sprawie zaszło coś nowego i to na jego niekorzyść.

Maszynistka spoglądała na aresztowanego zupełnie innym wzrokiem. Prokurator na ukłon odpowiedział tylko lekkim kiwnięciem głowy i oschłym tonem rzucił:

— Siadajcie.

Dotychczas w czasie przesłuchań zwracano się do inspicjenta per pan. I nigdy nie tak ostro.

Kapitan MO, Witold Łapiński, jak zwykle siedział pod oknem, tak aby mieć twarz więźnia w pełnym świetle. Dzisiaj oficer śledczy nie krył tryumfującego uśmiechu. Pawełski był zaskoczony nieprzychylnym zachowaniem się osób, które w czasie poprzednich przesłuchań, miał wrażenie, zaczynały po trochu mieć wątpliwości, czy sprawa jest tak prosta i nieskomplikowana, jak im się początkowo wydawało. Przecież podczas ostatniej rozmowy prokurator był uprzejmy, nawet życzliwy, w każdym razie tak odczuł jego

zachowanie Pawelski. Mówił mu o domu, o dzieciach, usiłował wyjaśnić niesnaski z żoną. Dzisiaj zachowywał się zupełnie inaczej. Toteż Pawelski siedział na brzegu krzeselka wyprostowany i skupiony. Czekał, kiedy i z której strony spadnie nań nowy cios. Nie omylił się w swoich obawach.

— Pytam was oficjalnie — głos prokuratora miał ostre brzmienie — czy przyznajecie się do zabójstwa Mariana Zaremby w dniu dwudziestego ósmego września? W szczególności pytam, czy przyznajecie się, że dążąc do zabicia Mariana Zaremby zamieniliście pistolet marki Walter nabity ślepym nabojem na taki sam pistolet Waltera z ostrym pociskiem w lufie? Następnie wiedząc, że wasza żona, Barbara Pawelska, zgodnie z treścią sztuki „Marie Octobre”, strzela do Zaremby, wręczyliście jej pistolet z kulą w lufie w celu doprowadzenia do śmierci Mariana Zaremby?

— Już tyle razy mówiłem panu prokuratorowi, że się nie przyznaję.

— Tak, słyszałem. Pomimo to damę wam w tej chwili ostatnią szansę. Wasze przyznanie się do winy i szczere wyjaśnienie wszystkiego gotów jestem uznać za krok z waszej strony całkowicie dobrowolny, podjęty z waszej inicjatywy i uważać takie przyznanie się za coś w rodzaju skruchy, co zarówno ja, jak i prawdopodobnie sąd, ocenilibyśmy jako okoliczność łagodzącą. Ja — przy formułowaniu wniosku o wymiar kary, sąd — przy wyroku. Już nie jako prokurator, lecz jako człowiek i prawnik radzę się namyślić.

— Jestem niewinny.

- To wasza ostateczna odpowiedź?
- Jestem niewinny.
- Dobrze! Róbcie, jak uważacie. Konsekwencje waszego postępowania poniesiecie przede wszystkim wy sami.

Jasioła zwrócił się teraz do maszynistki i podyktował jej zdanie do protokołu, zmieniając nieco treść odpowiedzi więźnia.

— Pani Janeczko, proszę napisać: „Na pytanie prokuratora odpowiadam, że jestem niewinny i nie zrobiłem niczego dla pozbawienia życia Mariana Zaremby. W szczególności nie zamieniłem pistoletu ze ślepym nabojem na inny pistolet z ostrym pociskiem i nie wręczyłem mojej żonie pistoletu z kulą w lufie, wskutek czego na scenie padł strzał, który doprowadził do zgonu Mariana Zaremby”.

Maszynistka szybko wystukała podyktowane jej słowa.

— Takie ujęcie odpowiedzi w protokole odpowiada waszej intencji?

— Tak jest, panie prokuratorze.

— W waszej sprawie zaszły nowe, ważne okoliczności, kapitan Łapiński poinformuje was o najnowszych wynikach śledztwa.

Pawelski zwrócił twarz w stronę siedzącego z boku oficera dochodzeniowego. Kapitan poprawił się na krzeselku, sięgnął do stołu i wziął teczkę-aktówkę. Nie otwierając jej, położył sobie na kolanach.

— Muszę przyznać, panie Pawelski, że postępował pan z żelazną konsekwencją. Wbrew poważnym poszlakom, wbrew temu, że spośród wszystkich, którzy mieli możliwość zamiany broni, tylko pan jeden mógł czuć do

Zaremby nienawiść i pragnąć jego śmierci, stale powtarzał pan twierdzenie o swojej niewinności. Doprowadził pan do tego, że ja, doświadczony w tego rodzaju sprawach człowiek, zacząłem zadawać sobie pytanie, czy w tym uporze nie ma prawdy. Liczył pan, może słusznie, że w Polsce sądy nie chcą wydawać wyroków śmierci w sprawach poszlakowych. Zwłaszcza tego rodzaju praktykę stosuje Sąd Najwyższy, który z reguły przy poszlakówkach łagodzi wyroki sądów wojewódzkich, zamieniając najwyższy wymiar kary na dożywocie lub na piętnastoletnie więzienie. Był pan bardzo sprytny, piekielnie sprytny. Ale ta taktyka zawiodła.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi, panie kapitanie — Pawelski przerwał wywody przedstawiciela milicji.

— O całym pańskim zachowaniu zarówno w śledztwie, jak i później, podczas dochodzenia prokuratorskiego.

— Nie prowadziłem żadnej gry. Jestem niewinny, nie zabiłem Mariana Zaremby. Powtarzałem to i będę powtarzał.

— Może pan powtarzać. Jednakże teraz nie znajdzie pan nikogo, kto by w to choć na sekundę uwierzył. Mamy obecnie dowody stwierdzające ponad wszelką wątpliwość pańską winę. Nie poszlaki, panie Pawelski, lecz nieodparte dowody.

— Ciekawe jakie? Pan ma bardzo intrygujący sposób mówienia zagadkami.

— Niech pan nie sili się na ironię. Był pan bardzo zręczny i przewidujący, lecz jednego nie uwzględnił pan w swojej kalkulacji.

— Pan mnie coraz bardziej zaciekawia, panie kapitanie — Pawelski był czujny i napięty, chociaż słowa oficera MO nie zdołały wytrącić go z równowagi. — Czego to nie uwzględniłem?

— Zwykłego przypadku. Nie wziął pan pod uwagę, że sprzątaczką teatralną, Janina Majowa, jest osobą bardzo dokładną i sumiennie wywiązuje się ze swoich obowiązków. To właśnie pana zgubiło.

— Pan mówi jak Pytia — więzień wyraźnie miał dosyć niezrozumiałych dlań słów przedstawiciela MO. — Cieszę się, że pani Majowa tak się panu spodobała. Możecie ją zaangażować do sprzątania Komendy Milicji.

— Raczej jako funkcjonariusza MO, specjalistę do przeprowadzania rewizji.

— Zdaje się, że jestem w domu. Pani Janina znalazła coś przy sprzątaniu. I to coś rzekomo jest dowodem mojej winy. Może wreszcie dowiem się, co to takiego?

— W czasie jednego z przesłuchań, przy którym asystowałem, prokurator poinformował pana, że śmiertelny strzał do Zaremby padł nie z pistoletu będącego własnością dyrektora Stanisława Hołobli, lecz z innego, tej samej marki Walter. Prokurator wspomniał również, że poszukiwania pierwszej broni nie dały żadnego rezultatu i że w całym teatrze przeprowadzono bardzo dokładną rewizję.

— Doskonale sobie przypominam.

— Właśnie. Powiedział pan wtedy, cytując: „Pistolet dyrektora na pewno leży już na dnie Wisły lub został porzucony w takim miejscu, gdzie go nikt do końca świata nie znajdzie”.

— Być może, powiedziałem coś takiego. W każdym razie taka jest moja o tym opinia.

— Pan jest optymistą, panie Pawelski.

— Znaleźliście broń dyrektora Hołobli? — w głosie aresztowanego nie było specjalnego zainteresowania. — Winszuję.

— Przyznaję, że nie myśmy znaleźli. Pistolet odkryła Janina Majowa w czasie sprząwania. Pan go bardzo sprytnie schował.

— Ooo!

— Od początku było dla nas jasne, że jeżeli pan jest zabójcą, pistolet musi znajdować się w teatrze. Jeżeli mordercą jest inna osoba, broń została wyniesiona z budynku „Colosseum”. Z całej szesnastki ludzi, którzy teoretycznie biorąc mogli dokonać zamiany pistoletów, tylko pan nie mógł wynieść broni z teatru. Po zamianie pistoletów nie wychodził pan ani na krok z teatru. Po morderstwie został pan od razu zatrzymany przez milicję i osadzony w tymczasowym areszcie. Był pan na tyle przewidujący, że w swoich obliczeniach uwzględnił i tę możliwość. Dlatego też wstępna rewizja nie wykryła broni ani przy panu, ani w pańskich rzeczach. Inni aktorzy i pracownicy techniczni teatru nie byli ani zatrzymani, ani rewidowani. Mogli zatem spokojnie wynieść pistolet poza obręb „Colosseum” albo bezpośrednio po przedstawieniu, albo ukryć go chwilowo w teatrze i wynieść nazajutrz. Pan tej szansy nie miał. Dlatego też z góry musiał pan obmyślić taki schowek w gmachu teatru, żeby podczas rewizji nie znaleziono tej broni. Przyznaję, udało się to panu. Cała liczna grupa funkcjonariuszy

MO, złożona z najlepszych specjalistów, przez wiele godzin przeszukiwała teatr, poczynając od piwnic i kończąc na strychu. Wszystko bez najmniejszego rezultatu. Broni nie znaleźliśmy. Dopiero przypadek pana zgubił. Posługaczka Majowa odkryła pańską skrytkę i znalazła pistolet. Oto on.

To mówiąc kapitan Łapiński otworzył aktówkę i wyjął czarny, oksydowany pistolet. Z tryumfującym uśmiechem położył go na biurku.

— W lufie tkwi jeszcze ślepy nabój, którym broń nabił rekwizytor teatralny. Chce pan obejrzeć? Proszę.

— Dziękuję, To mnie nie interesuje. Nie mam też zamiaru negocjować, że istotnie ta broń stanowi własność dyrektora Hołobli. Przecież ma numery i jeśli one zgadzają się z tymi na pozwoleniu, rzecz jest bezsporna.

— Zgadzą się.

— W porządku. Wierzę panu na słowo.

— Nawet pan nie pyta, gdzie znaleźliśmy pistolet? — teraz z kolei w głosie oficera MO zabrzmiała wyraźna nutka ironii.

— Przypuszczam, że pan sam poinformuje mnie o tym. Nie widzę też żadnych podstaw do wyciągania wniosków, że znalezienie pistoletu w gmachu teatru obciąża mnie więcej niż inne osoby. Przyznaję, nie miałbym możliwości wyniesienia broni poza budynek „Colosseum”, ale i morderca mógł jej nie wynieść. Może bał się ryzykować, nie był pewien, czy nie jest śledzony? Albo obawiał się, że przy wyjmowaniu pistoletu ze skrytki ktoś go zobaczy, względnie uważał schowek za tak dobry, iż uznał za najbardziej

bezpieczne pozostawienie tam narzędzia morderstwa.

— Pańskie rozumowanie nie trzyma się kupy. Schowek rzeczywiście był bardzo sprytnie pomyślany, ale na dłuższą metę nie nadawał się do przechowywania tak kompromitującego dowodu. Prędzej czy później broń musiała by zostać wykryta. Wprawdzie milicja jej nie znalazła, ale przy okazji generalnego sprzątnięcia teatru czy też jego remontu, co, jak wiem, ma się niedługo rozpocząć, pistolet zostałby wykryty. Dlatego morderca nie mógł ryzykować i musiał podjąć próbę wyniesienia pistoletu poza teatr. Mógł się obawiać, że jest śledzony, jak pan to twierdzi, lecz po paru dniach i po rewizji przeprowadzonej w „Colosseum” z wynikiem negatywnym, nic nie stało na przeszkodzie wyniesienia broni i ukryciu gdzie indziej lub po prostu, jak pan sugerował, wrzuceniu jej do Wisły. Natomiast pan nie mógł tego zrobić. Wprawdzie ukrył pan broń w genialnym w swojej prostocie miejscu, ale nie zdążył jej stamtąd usunąć. Bezpośrednie aresztowanie po spektaklu stanęło temu na przeszkodzie. Dlatego pistolet dyrektora Hołobli został znaleziony.

— Takie rozumowanie, chociaż logiczne, nie może być jednak dowodem przeciwko mnie. Czy ktoś widział, że miałem drugi pistolet i schowałem go?

— Nie. Rzeczywiście, tego nikt nie widział.

— Pan kapitan opowiada mi to wszystko głosem pełnym zadowolenia. Nie widzę żadnego powodu do tej radości. Znaleziono pistolet, bardzo dobrze, ale nie znaleziono tego, kto go schował. Twierdzenie, że ja to uczyniłem, jest całkowicie bezpodstawne.

— Pan doskonale wie, gdzie broń była schowana, lecz przypomnę to panu. Posługaczka Janina Majowa, sprzątając za kulisami, zauważyła, że stolik na rekwizyty jest trochę zakurzony. To taki zwykły stolik, dość nieduży, z jedną szufladą pośrodku.

Tego rodzaju meble mają pod blatem coś w rodzaju ramki z czterech desek łączących nogi stołu, wzmacniających jego konstrukcję i zasłaniających szufladę. Sprzątaczką wytarła blat i zaczęła wycierać dolną część stolika. Zrobiła to bez trudności z trzech stron. Z czwartej było to niemożliwe, gdyż właśnie tą przeciwległą stroną do szuflady mebel był oparty o ścianę kulisy. Wobec tego Majowa odsunęła nieco stolik i włożywszy rękę w powstałą w ten sposób szparę, dotarła ściereczką do czwartego boku. Jej ręka prawie natychmiast natrafiła na metalowy przedmiot zawieszony na desce.

Jerzy Pawelski słuchał opowiadania kapitana. Ani jeden mięsień nie drgnął w twarzy inspicjenta.

— Posługaczka — mówił dalej oficer milicji — odsunęła stolik bardziej od ściany i zajrzała pod blat. Zobaczyła wtedy, że w deskę wbity jest mały, metalowy gwoździć, a na nim wisi pistolet, powieszony za osłonę spustu.

To mówiąc kapitan Łapiński wziął leżący na biurku Walter i zademonstrował, w jaki sposób zawieszono broń. Zamiast gwoździa użył wskazującego palca lewej ręki. Jednocześnie cały czas bacznie wpatrywał się w twarz więźnia. To samo zresztą robił i prokurator Jasioła.

Pawelski pozostał niewzruszony.

— Dalszy ciąg historii jest zupełnie prosty. Majowa

natychmiast pobiegła do dyrektora Hołobli, ten zaś zawiadomił o odkryciu komendę milicji. Przyjechaliśmy i zabraliśmy pistolet. Fotograf milicyjny dokonał przedtem kilku zdjęć. Jeśli pan chce, mogę je mu pokazać.

— Dziękuję. Nie jestem ciekawy — głos aresztowanego brzmiał spokojnie. Uszy przedstawicieli władzy nie mogły doszukać się w nim cienia obawy.

— Jak pan sobie życzy. W każdym razie pistolet wisiał na gwoździu niewidocznym dla przechodzących obok stolika z rekwizytami. Morderca przygotował sobie z góry schowek na broń. Tego rodzaju zbrodnie planowane są na długo naprzód. Na tygodnie, jeżeli nie na miesiące.

Po raz pierwszy po twarzy Pawelskiego przeleciał cień.

— Tak więc — zakończył oficer milicji swoją relację — znalezienie człowieka, który przybił gwóźdź, aby później zawiesić nań pistolet, jest jednocześnie zdemaskowaniem mordercy.

— To nieprawda! — wybuchnął więzień.

— Jednakże zainteresował się pan w końcu odkryciem pani Majowej — stwierdził z satysfakcją kapitan Łapiński. — Otóż mamy zeznania wiarygodnego świadka, pan sam podkreśla jego bezstronność, który widział, jak ten gwóźdź przybity został własnoręcznie przez inspicjenta teatru „Colosseum”, Jerzego Pawelskiego.

— Nie zaprzeczyłbym — przesłuchiwany mówił to tonem człowieka bardzo zdenerwowanego — gdyby pan na samym początku mnie zapytał, czy wbijałem gwóźdź w

boczną ściankę stolika. Nie musiał pan na to szukać świadka. Powiem panu nawet, kiedy to zrobiłem. W drugiej połowie sierpnia, kiedy sztuka weszła już w stadium prób kostiumowych. Chce pan wiedzieć, dlaczego to zrobiłem?

— Owszem, jestem ciekaw, co pan wymyślił. — W tonie kapitana wyczuwało się wyraźną drwinę.

— Po prostu, to łatwo sprawdzić, choćby przy pomocy gazet, koniec sierpnia był bardzo upalny. Inspicjent ma ciężką pracę. Biega od kulisy do kulisy, ustawia aktorów do wyjścia na scenę, pilnuje rekwizytów. Pracując w takim upale, byłem spocony jak mysz. Doszedłem wtedy do wniosku, że dobrze byłoby mieć pod ręką ręcznik dla otarcia twarzy i rąk z potu. Jedni ludzie nie pocą się prawie wcale, z innych pot spływa strumieniami. Należę do tej drugiej kategorii. Dlatego też wbiłem gwoździć w ścianę stolika z rekwizytami i wieszałem tam ręcznik.

— Dlaczego w tę tylną ściankę, a nie w którąś z bocznych lub tę, gdzie jest szufladka? — zapytał prokurator.

— Po prostu dlatego, że każdy przechodzący koło stolika zawadzałby o mój ręcznik. W kulisie jest dość wąsko, a stolik jeszcze bardziej utrudnia przejście. A tak ręcznik wisiał z tyłu stolika, tuż przy jego nóżce. Wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby go mieć.

— Niech pan te bajeczki opowiada swojej babci — roześmiał się oficer MO. — Dlaczego, kiedy przyjechaliśmy do teatru zaraz po wypadku, ręcznika nie było na tym miejscu? Ani jeden ze świadków nie wspomniał słówkiem, że

coś tam wisiało.

— A pan o to ich pytał? Kiedy? Czy po znalezieniu pistoletu?

Kapitan umilkł. Przyznał w duchu, że przesłuchiwany facet jest piekielnie inteligentny i wybiera najlepszą formę obrony — atak. Rzeczywiście, nikt nikogo nie pytał o ręcznik, wyłącznie o broń i ewentualnego sprawcę morderstwa. Nikomu to do głowy nie przyszło, zwłaszcza przed znalezieniem pistoletu.

— Dlaczego ręcznik nie wisiał na gwoźdźniku w dniu wypadku? — prokurator widząc, że inspicjent celnie trafił kapitana, postanowił wydobyć go z opresji i jeszcze raz powtórzył to samo pytanie.

— To proste — Pawelski z powrotem był już zupełnie spokojny. — Wyjaśniłem przecież przed chwilą, że używałem ręcznika w czasie upałów sierpniowych. Na początku września nastąpiła gwałtowna zmiana pogody. Ten miesiąc był w tym roku bodaj najzimniejszym z wrześni od pięćdziesięciu lat. Trzeba było uruchomić centralne ogrzewanie grubo przed terminem. Dopiero później przyszły październikowe upały. Kredy więc oziębiło się, nie tylko przestałem się pocić, ale za kulisami było tak zimno, że włożyłem serdak podbity futerkiem. Wtedy ręcznik nie był mi potrzebny. Gdybyście panowie aresztowali mnie nie w dniu dwudziestego ósmego września, ale w tydzień później, wtedy być może znowu używałbym ręcznika zawieszzonego na przygotowanym uprzednio gwoźdźniku. Wtedy to ja, a nie Majowa, znalazłbym ukrytą za stolikiem broń.

— Tylko my nigdy nie dowiedzielibyśmy się o niej

– mina kapitana świadczyła o tym, że nie wierzy ani jednemu słowu Pawelskiego.

– Chciałbym dodać jeszcze jedno do tego, co powiedziałem.

– Proszę – zgodził się prokurator.

– Gdybym był mordercą, przybiłbym gwoźdź tak, aby nikt tego nie widział. Nie sprawiłoby mi to trudności. Miałem wstęp do teatru zarówno w dzień, jak i w nocy. Mogłem przyjść któregoś poranka na dwie godziny przed próbą. Wtedy w „Colosseum” prócz portiera i pracowników sekretariatu, a ich pomieszczenia znajdują się w części frontowej gmachu, nie ma nikogo. Na scenie mógłbym robić, co zechcę. Wbić sto gwoździ. I to nie takich malutkich, ale wielkich hufnali. Nikt by nic nie widział i nie słyszał. Tymczasem ja mój lilipuci świeczek wbijałem tuż przed jedną z prób kostiumowych, kiedy aktorzy znajdowali się na scenie, a maszyniści byli również na stanowiskach. Co więcej, młotek i gwoździki wziąłem od stolarza teatralnego. Po wbiciu jednego świeka zwróciłem mu od razu resztę niepotrzebnych gwoździ i młotek. Gdybym planował morderstwo z premedytacją, nie zrobiłbym tak podstawowych błędów. Przybory przyniosłbym z domu lub kupił w sklepie z 1001 drobiazgami, a potem nie zużyte wyrzucił. Nie wieszalbym też na tym gwoździu ręcznika, aby wszyscy widzieli lub mogli się domyślić, że między stołem a ścianą jest jakaś skrytka. Proszę przesłuchać tego stolarza.

Kapitan Łapiński wyraźnie zignorował wyjaśnienia przesłuchiwanego i powrócił do historii odnalezienia pistoletu.

— Zdjęliśmy pistolet z gwoźdźca z zachowaniem wszelkich ostrożności. Postawa sprzątaczkii jest godna pochwały. Nie wzięła broni do ręki, co na jej miejscu uczyniłoby dziewięćdziesiąt ludzi na stu, i od razu zaalarmowała dyrektora Hołobłę. On również niczego nie dotykał przed przybyciem milicji. Dzięki temu udało nam się ustalić, że na pistolecie znajduje się cała kolekcja odcisków palców. Czy pan domyśla się czyich?

— Tylko moich.

— Brawo!

— Pan kapitan sili się na ironię. Tymczasem nie ma w tym nic dziwnego. Przecież ja byłem ostatnim przed mordercą człowiekiem, który miał tę broń w ręku. Dostałem ją od rekwizytora, wzięłem do rąk i repetowałem sprawdzając, czy w lufie znajduje się ślepy nabój. Potem położyłem pistolet na stoliku. Czyje zatem mają być ślady? Przy zamianie broni morderca na pewno posługiwał się rękawiczkami lub choćby chusteczką do nosa.

— Pan omylił się mówiąc „byłem ostatnim przed mordercą człowiekiem”. Pan był ostatnim w ogóle człowiekiem, który miał tę broń w ręku.

— Znowu pan usiłuje być sarkastyczny. Byłoby właśnie dziwne, gdyby na tej broni nie było moich odcisków. Ja ją brałem otwarcie, nie pragnąc tego ukryć. Co innego morderca. Zamieniając pistolety starał się, aby na żadnym z nich nie pozostał najmniejszy nawet fragment odcisku jego palca. Dlatego na Walterze dyrektora są wyłącznie moje odciski, a na pistolecie, nabitym ostrym pociskiem, jedynie odciski palców mojej żony. Dziecko orientuje się

dzisiaj w daktyloskopii, a cóż dopiero mówić o mordercy, który zaplanował tak szatańską zbrodnię. Zabójca Zaremby najpierw oczyścił swoją broń ze wszystkich ewentualnych śladów swoich czy obcych palców, a później, przy zamianie pistoletów żadnego z nich bezpośrednio nie dotykał.

— Może pan nadal się nie przyznawać — zakończył przesłuchanie oficer MO. — Zobaczymy, czy sąd uwierzy w tak zawile i nieprawdopodobne tłumaczenia, jakimi pan chce nas przekonać.

Prokurator Jasioła podniósł słuchawkę aparatu telefonicznego i połączył się z wartownią. Czas do momentu pojawienia się milicjanta i opuszczenia przez niego wraz z więźniem pokoju nie został zakłócony już ani jednym zdaniem. Dopiero po wyjściu Pawelskiego z gabinetu prokuratora kapitan zauważył:

— Fantastycznie sprytny facet. Byłem przekonany, że zmuszę go dzisiaj do przyznania się do winy. Niewiele brakowało. Zwrócił pan uwagę, jak Pawelski zdenerwował się, kiedy powiedziałem mu, że mamy świadków mogących zeznać, że to on wbijał gwoździak w bok stolika? Pomyślałem sobie, już go mam, ale ten cwaniak opanował się i z miejsca znalazł argument o sierpniowych upałach. Nic mu to nie pomoże. Będzie wisiał.

— A jeżeli jest naprawdę niewinny? Strach pomyśleć! Z tymi dowodami proces i wyrok jest prostą formalnością. Nawet Sąd Najwyższy nie będzie miał swoich zwykłych wątpliwości.

— Gdyby był niewinny, nie zgromadzilibyśmy aż tylu dowodów przeciwko niemu. Przecież własna żona go

oskarżyła. Wszystko „przemawia przeciwko niemu. To on zabił. Nie podlega żadnej dyskusji.

— I mnie tak się zdaje — zgodził się prokurator — tylko nie mogę zrozumieć, dlaczego nie chce się przyznać. To inteligentny chłop. Mieliliśmy możliwość przekonać się o tym w czasie dzisiejszego przesłuchania. Musi doskonale rozumieć, że przyznanie się i wybitie jako motywu zbrodni niewierności żony oraz działanie w stanie podniecenia jest jedyną szansą ratowania życia. Pawelska puszczała się na prawo i lewo. Męża brali diabli, wreszcie zdenerwował się i sprzątnął gacha. Ten powód, wyeksponowany przez dobrego adwokata, mógłby trafić do przekonania kompletowi sędziów. W podobnych sprawach nieraz zapadały wyroki nawet poniżej dziesięciu lat. A on mimo to ciągle zaprzecza, kręcąc tym samym sznur na swoją szyję. Nie wiem, czy pan już zna ostatnią nowinę. Pawelska odwołała swoje zeznania. Zapowiedziała też, że w sądzie uchyli się od stawiania w charakterze świadka.

— Odwołała? — zdziwił się kapitan. — Widocznie pożałowała męża. Niewielka strata, bo już wyświadczyła nam przysługę. Żeby nie jej słowa, nie zatrzymalibyśmy od razu inspicjenta i miałby czas na lepsze schowanie pistoletu. Odkrycie posługaczki całkowicie go pogrzyżyło. To nie poszlaka, a dowód, cokolwiek by Pawelski mówił i jakkolwiek się tłumaczył... No, ale czas na mnie.

Kapitan pożegnał się i wyszedł. Prokurator Ryszard Jasioła długo jeszcze siedział nad aktami sprawy.

ROZDZIAŁ X

Więzień celi nr 38 protestuje

„Panie Prokuratorze,
natychmiast po powrocie z przesłuchania biorę papier i ołówki. Piszę do Pana Prokuratora o tym, czego nie miałem możliwości powiedzieć w gabinecie, w gmachu sądów. Jak to dobrze, że nie odebrano mi przynajmniej tej drogi kontaktu z prokuraturą.

Przede wszystkim muszę zaprotestować przeciwko metodom przesłuchania stosowanym przez kapitana Łapińskiego. Być może, że z punktu widzenia prawa jest w porządku. Ani mnie nie bił, ani nie torturował. Nie zadał mi żadnego gwałtu fizycznego. Formie zadawanych mi pytań i udzielanych wyjaśnień również niczego nie można zarzucić.

A jednak uważam, że tego rodzaju metody są niedopuszczalne i kategorycznie przeciwko nim protestuję. Oficer milicji, zamiast pytać i żądać wyjaśnień w sprawie odnalezionego pistoletu, zastosował metodę zastraszenia i otumanienia, aby w ten sposób podstępnie skłonić mnie do przyznania się do zabójstwa. Temu celowi służyło całe przesłuchanie, od początku aż do końca. I ten tryumfalny ton głosu kapitana, kiedy mi oznajmiał, że nareszcie rozporządza dowodem, a nie poszlakami. I ta początkowa

tajemniczość, co to za dowód, zaprawiona ironią i kpinami. Pseudofilozofia na temat przypadku, »który pana zgubił«.

Kapitan dążył wyraźnie do zdenerwowania przesłuchiwanego i osłabienia jego woli oporu. Jest zupełnie niezrozumiałe, dlaczego kapitanowi tak zależy na wymuszeniu ode mnie przyznania „się do winy. Przecież w czasie każdej rozmowy zapewnia, że nagromadził dostateczną ilość poszlak, abym zaszedł bardzo wysoko. Aż na szubienicę.

W teorii kapitana mordercą jest ten, kto przybił gwóźdź do stołu, i kropkowanie tej teorii po to, aby w pewnym momencie tryumfalnie stwierdzić, że jest świadek znający człowieka wbijającego ćwiek w deskę — było niczym innym, jak stosowaniem moralnych tortur.

Nie udało mu się wprawdzie osiągnąć ostatecznego celu — zmusić mnie do przyznania się do niepełnionej zbrodni, ale byłem tak udręczony, skołowany i otumaniony, że nie mogłem bronić się należycie. Robię to teraz, w liście do Pana Prokuratora.

Ile razy Pan Prokurator wzywał mnie do siebie, stale powtarzał, że zadaniem prokuratury jest nie tylko oskarżanie winnych, lecz również wyszukanie i zbadanie tego, co może przemawiać za oskarżonym. Dlatego też proszę Pana Prokuratora, aby nakazał wyświetlenie faktów, moim zdaniem, mających duże znaczenie dla wyjaśnienia sprawy.

Pierwszy problem to ten nieszczęsny gwoździć do wieszania ręcznika. Później na tym gwoździu morderca zawiesił pistolet dyrektora Hołobli. Pan kapitan z zadowoleniem

stwierdził, że udało mu się znaleźć jednego świadka tego przybijania gwoźdźcia do stołu.

Nie wiem, co to za świadek. Może kurtylniarz? Może główny elektryk? Albo któryś z aktorów? To nieważne. Nie mam zamiaru kwestionować jego zeznania. Przeciwnie. Proszę o przesłuchanie stolarza teatralnego na okoliczność, że pożyczałem od niego młotek i gwoździki, a także radziłem się, gdzie przybić gwóźdź, aby móc powiesić za kulisami ręcznik. Stolarz na pewno zapamiętał, że to właśnie on doradzał mi wbicie ćwieka w tylną deskę stolika. Wyjaśnił bowiem, że ściany kulis są zrobione z bardzo twardego betonu i trudno będzie coś na nich umocować, a w każdym razie wymaga to wiele zachodu. Trzeba najpierw wybijać dziurę specjalnym, stalowym przyrządem, potem osadzać w otworze drewniany kołek, zagipsować go i dopiero w tak umocowane drewno wbić gwóźdź. Mistrz hebla ofiarował się nawet wykonać tę robotę na moje żądanie, ale uznałem, że za dużo fatygi jak na jeden ręcznik i poprzestałem na wbiciu gwoździka w stolik.

Proszę również, aby pan Prokurator nakazał milicji przesłuchać aktorów i personel techniczny — wystarczy chyba ci, którzy figurują w spisie Pana Prokuratora — czy widzieli, jak wbijałem gwoździk i czy widzieli później ręcznik wiszący przy stoliku z rekwizytami. Ręcznik był kolorowy. Czerwone, żółte i niebieskie pasy. Musiał więc rzucać się w oczy. Zresztą przypominam sobie, że niektórzy aktorzy nieraz z niego korzystali i przed wyjściem na scenę

wycierali weń spocone ręce. Wtedy, w sierpniu i w początkach września, za kulisami panował upał jak w ósmym kręgu piekła. Znam nazwiska tych aktorów, celowo ich jednak nie podaję. Dopiero gdyby zaprzeczyli, zażądam konfrontacji, ale mam nadzieję, że obejdzie się bez tego.

Chodzi mi, Panie Prokuratorze, o ustalenie, że o gwoźdźdiku znajdującym się w desce stołu wiedziało wiele osób. Że nie była to tylko moja, skrzętnie zachowywana tajemnica. O tym wiedzieli wszyscy aktorzy grający w »Marie Octobre«, a także personel techniczny, pracujący za kulisami. Musiał więc wiedzieć i morderca i dlatego posłużył się tym schowkiem. Widocznie w momencie zamiany pistoletów nie miał możliwości wyniesienia tego drugiego gdzie indziej. Albo specjalnie umieścił broń na gwoździu wiedząc, że w razie jej odnalezienia pograży mnie ostatecznie.

Uważam, że te wszystkie sprawy powinny być przez kapitana Łapińskiego wyjaśnione i bez mojej prośby, po prostu z urzędu. Niestety, prowadzący śledztwo widział przed sobą tylko jedno zadanie — zmuszenie mnie do przyznania się do winy. Stąd te elementarne, moim zdaniem, zaniedbania.

Istnieje jeszcze jedna możliwość. Po zamianie pistoletów morderca włożył własność dyrektora Hołobli do kieszeni i wyniósł go za kulisy lub nawet z gmachu teatru. Kiedy zostałem aresztowany i ogłoszony przez milicję i prasę za zabójcę Zaremby, prawdziwy zbrodniarz uznał, że podrzucenie broni stanie się mocnym i nie do obalenia argumentem przeciwko mnie. Przyniósł więc pistolet z

powrotem do gmachu »Colosseum« i wiedząc o gwoździu, na którym zawsze wieszałem swój ręcznik, umieścił tam broń. Być może inspiracją tego czynu była rewizja w całym budynku teatru. Milicjanci, którzy ją przeprowadzali, na pewno nie ukrywali, że szukają przede wszystkim pistoletu. W ten sposób prawdziwy sprawca zbrodni mógł się dowiedzieć, że zamiana pistoletów jest już znana t władzom śledczym. Przypominam, sam kapitan Łapiński to stwierdził, że nigdy by nie sprawdzano zgodności numerów na Walterze z numerami w zezwoleniu na broń, gdyby nie bystre oko dyrektora Hołobli. To on spostrzegł, że pistolet, z którego oddano śmiertelny strzał, nie jest jego własnością.

Mam więc prawo przypuszczać, że pistolet dyrektora Hołobli znalazł się na moim gwoździu długo po popełnieniu morderstwa i po rewizji przeprowadzonej w gmachu »Colosseum«.

Do tego twierdzenia skłania mnie jeszcze jeden fakt. Jak to mogło się stać, żeby liczna ekipa milicji, złożona — cytuję słowa kapitana Łapińskiego: z najlepszych fachowców w tej dziedzinie — dokonując rewizji całego gmachu nie odkryła tak w gruncie rzeczy prostego schowka. Przecież system ukrywania różnych przedmiotów za obrazami, za gzymsami, w kontaktach elektrycznych; podwieszanie ich pod meblami, to sposoby stosowane powszechnie przez przestępców, znane i stare jak świat. Nie wierzę, żeby najlepsi fachowcy nigdy o nich nie słyszeli. Szukający broni święcie wierzyli, że jestem mordercą i że to właśnie ja ukryłem pistolet. Najpierw więc szli po moich śladach. Na

pewno wiedzieli, że przez cały czas przedstawienia i przed jego rozpoczęciem inspicjent kręci się przede wszystkim za kulisami i że tam też należy szukać najgorliwiej. Śmiem twierdzić, że panowie przeprowadzający rewizję buszowali na scenie i za kulisami najdłużej, a ich ciekawości nie oparły się nawet dekoracje, górne pomosty i urządzenia horyzontu. A nie mieliby dokładnie obejrzeć stolika, o którym wiedzieli, że tu właśnie zamieniono pistolety?

Gdybym w to wątpił, obrażałbym naszą dzielną milicję i stawał pod znakiem zapytania jej fachowość. Dlatego też twierdzę, że stolik musiał być dokładnie zrewidowany, a pistolet znalazł się na gwoździu po odejściu milicji.

Stwierdzenie tego byłoby jednoczesnym dowodem, że nie mam nic wspólnego ze zbrodnią, a prawdziwy morderca celowo i nieustannie fabrykuje przeciwko mnie najrozmaitsze poszlaki. Przecież z chwilą zamknięcia dochodzenia, sporządzenia aktu oskarżenia i skazania mnie sprawa zostanie zakończona i zbrodniarz będzie się czuł zupełnie bezpieczny. Dlatego kiedy przestępca dowiedział się, że milicja szuka drugiego pistoletu, ten pistolet musiał się znaleźć. I to w takim miejscu, gdzie go tylko ja mogłem schować.

Moje rozumowanie jest zupełnie proste i jasne. Taką ewentualność powinien brać pod uwagę i oficer milicji prowadzący śledztwo. On jednak nie umiał się zdobyć na obiektywizm i szersze spojrzenie na sprawę. Widział wyłącznie aresztowanego, którego trzeba przygwoździć nowym dowodem winy i wymusić przyznanie się do zbrodni.

To panu kapitanowi Łapińskiemu nigdy się nie uda, bo nie ja zabiłem Zarembę. Jestem niewinny i nigdy nie przyznam się do nie popełnionego morderstwa. Powtarzam to aż do znudzenia i nie przestanę powtarzać.

Proszę Pana Prokuratora o przesłuchanie wszystkich milicjantów, którzy przeprowadzali rewizję w gmachu teatru »Colosseum«. A zwłaszcza proszę o ustalenie, czy rewidowali oni pomieszczenie z boku sceny, zwane w fachowym języku kulisą. W tej kulisie znajduje się jedynie krzeselko kurtyniarza i stolik na rekwizyty. Trudno przypuścić, aby ten stolik uszedł ich uwagi. Proszę zatem wyświecić, czy milicjanci prowadzący poszukiwania oglądali dokładnie ten mebel, czy odsuwali go od ściany i sprawdzali, czy nie ukryto czegoś pod blatem stołu.

Nie sposób wprost przypuścić, aby prowadzący rewizję nie uczynili tego i nie zauważyli pistoletu podwieszono pod blatem.

W takiej sprawie jak zabójstwo Mariana Zaremby, sprawie opartej dotychczas na przypuszczeniach, każdy dowód powinien być rozpatrywany pod dwoma kątami widzenia: czy obciąża człowieka aresztowanego pod zarzutem popełnienia tej zbrodni, czy też przemawia na jego korzyść. Drugi znaleziony pistolet jest klasycznym przykładem takiej dwoistości dowodu. Obciąża mnie, jeżeli dowiedzione zostanie, że rzeczywiście powiesiłem broń na kołku. Skoro jednak tego pistoletu tam nie było bezpośrednio po zabójstwie — ciągle nie wiem, czy rewizję w teatrze prowadzono na drugi dzień po zabójstwie, czy też w parę dni

później — jest dowodem mojej całkowitej niewinności i oczyszcza mnie z zarzutu popełnienia morderstwa. Mam chyba pełne prawo, Panie Prokuratorze, domagać się, aby oficer śledczy właśnie w taki sposób prowadził swoje dochodzenie.”

Aresztowany Jerzy Pawelski skończył swój list, opatrzył go podpisem i tego samego dnia poprosił oddziałowego o przekazanie pisma prokuratorowi Ryszardowi Jasiolę.

Nazajutrz gęsto zapisane kartki papieru znalazły się na biurku prokuratora. Jasiola przeczytał je uważnie, po czym ujął za słuchawkę telefonu.

— Kapitan Łapiński? — zapytał po uzyskaniu połączenia. — Bardzo proszę wpaść do mnie. Kiedy byłoby to możliwe? Za godzinę? Dobrze, będę czekał.

— Mam pismo, które pana na pewno zainteresuje — tymi słowami prokurator powitał oficera milicji. — Zdaje się, że ten Pawelski odplacił się panu za wczorajsze. Po raz pierwszy udało się panu wyprowadzić go z równowagi, a on oddał z nawiązką. Przysłany przez niego elaborat nie sprawi panu przyjemności. Pomijając jego złośliwe uwagi pod adresem milicji, bo jak każdy aresztowany odczuwa do niej niechęć, wiele argumentów inspicjenta jest bardzo trafnych. Wykazanie pewnych, delikatnie mówiąc, niedopatrzeń śledztwa, ma swoje podstawy.

Kapitan Łapiński przebiegł oczyma list i uśmiechnął się kwaśno:

— Rzeczywiście, zrewanżował się. Mówiłem, że to

nieziemski cwaniak. Nie dość, że od razu się wykręcił i chociaż tak go przycisnąłem, nie przyznał się do winy, to jeszcze teraz przedstawia całą litanie zarzutów.

— Przyznacie sami, kapitanie, tak w cztery oczy, że słuszne. Powinniście byli sprawdzić te rzeczy przed rozmową z aresztowanym.

— Nie uważałem za konieczne. Byłem święcie przekonany, że widok drugiego pistoletu załamie faceta i zaprzestanie bezsensownego zaprzeczania. Przecież robiłem to dla jego dobra. Jego przyznanie się do zbrodni wcale nie jest mi potrzebne. Dostarczyłem pan prokuratorowi tyle materiałów śledztwa, że to wystarczy nie na jeden, ale na dziesięć aktów oskarżenia. Mucha nie siada, sprawa zapięta na ostatni guzik. Ktokolwiek by go sądził, aniołowie czy diabli, musi być skazany. Chcę go zmusić do przyznania się, bo w ten sposób może uratować swoją głowę, a mam do niego pewną sympatię. Chłop dużo przeszedł. Ma dwoje dzieci. Swoją wielką miłość nieszczególnie umieścił. Poza tym tragedia z głosem. To wszystko budzi moją życzliwość. Zresztą Zarembę uważam po trosze za łobuza. Miał babki, jakie zapragnął, blondynki, brunetki, rude, niskie, wysokie, chude i grube, a zachciało mu się cudzej żony. Dlatego wołałbym, żeby ten Pawelski nie kładł jak głupiec głowy w pętlę. Tylko dlatego tak nim szarpnąłem. A on, bałwan, tego nie rozumie i jeszcze na mnie najeżdża. Swoją drogą trafił celnie. Pan nie może go namówić na adwokata. Po co mu obrońca? Po tym liście widać, że to cwaniak, zakasuje najlepszego nawet mecenasą.

— A nie... przyszło wam na myśl, kapitanie, że ten człowiek może być niewinny?

— On? Niewinny? To kto jest winien? Przecież ustaliliśmy w śledztwie z całą pewnością, że możliwość popełnienia zbrodni miało tylko szesnaście osób. Uznał to nie tylko pan prokurator, ale i aresztowany. Żadna z pozostałych osób nie miała nic przeciwko Zarembie. Naraził się śmiertelnie jedynie Pawelskiemu. Wina tego człowieka, panie prokuratorze, nie ulega dla mnie wątpliwości. Powtarzam, żal mi go i chciałbym, żeby nie dostał czapy, lecz oberwał ze siedem lat za zabójstwo w afekcie pod wpływem uzasadnionej zazdrości. To jedyna okoliczność łagodząca, którą można wygrać przed sądem, ale do tego niezbędne jest jego przyznanie się i wyrażenie skruchy. Niech pan sobie wyobrazi, że nie jest prokuratorem, tylko obrońcą inspicjenta, czy nie to byłoby myślą przewodnią pańskiej obrony?

— Naturalnie. Nie wątpię zresztą, że obrona Pawelskiego pójdzie tą drogą, nawet wbrew woli oskarżonego.

— Ale jeżeli Pawelski będzie trwał w uporze i nie przyzna się do winy, pan w swojej mowie oskarżycielskiej nazwie go zwyrodniałym przestępcą, który nawet w obliczu sądu nie żałuje swojej zbrodni, i będzie pan domagał się najwyższego wymiaru kary.

— Ma pan rację. Dla Pawelskiego przyznanie się do winy i choćby pozorny żal, to jedyna szansa zmniejszenia wyroku. Ale ciągle w tej sprawie coś mi nie gra. Nie mogę zrozumieć tego uporu. Im lepiej poznaję Pawelskiego, tym

trudniej mi pojąć jego podłość. Zabijać ręką żony, kobiety, którą nadal kocha. Gdyby Zarembę znaleziono, na przykład, zastrzelonego w jego garderobie, nie wątpiłbym, że zrobił to Pawelski. Jestem wprawdzie przekonany o winie inspicjenta, ale coraz powstają we mnie jakieś wewnętrzne opory przeciwko oczywistym dowodom. Dlatego tak waham się z postawieniem wniosku o tryb doraźny i ciągle jeszcze nie zamykam dochodzenia.

— Ja nie mam tych wątpliwości. Tylko Pawelski miał motyw do popełnienia zbrodni. Zabił kochanka żony. To stare jak świat. A że wybrał tak perfidny sposób? Często zdradzeni mężowie zabijają i gacha, i żonę. Inspicjent postanowił jeszcze mocniej ją ukarać za swoją krzywdę. To z jej ręki miał zginąć kochanek. Sam Macchiavelli nic lepszego by nie wymyślił. A że to chłop z głową, to chyba pan prokurator zdołał się przekonać. Choćby z jego zeznań i z jego listów. Szybko umie wybrnąć z każdej sytuacji.

— Tak jak mógłby wybrnąć człowiek niewinny. Jeżeli uznamy go choć na moment za niewinnego, wtedy jego postępowanie stanie się dla nas zupełnie jasne. Nie jest, jak pan twierdzi, piekielnie sprytny, lecz mówi prawdę.

Kapitan spojrział z zaciekawieniem na Jasiołę.

— Pan prokurator rozmawia ze mną tak, jak gdyby wszedł w skórę obrońcy Pawelskiego.

— Prawdopodobnie istnieje jedna szansa na milion, że inspicjent jest niewinny. A kiedy pomyślę, że rzeczywiście jest bez winy i zostanie skazany na karę śmierci, to przechodzą mnie ciarki. A przecież ludzie grający w

totolotka mają nie jedną milionową, lecz jedną dziesięciomilionową szansę uzyskania głównej wygranej. Jednakże prawie co tydzień ktoś taką szansę realizuje. Więc boję się pomyłki sprawiedliwości, pomyłki, w której odegrałbym tak wielką rolę. To by szło za mną przez resztę życia. Nie darowałbym sobie nigdy.

— Dla mnie sprawa jest zupełnie wyjaśniona. Nie przewiduję żadnych rewelacyjnych zmian.

— Obawiałbym się tak twierdzić. Argumenty, jakich Pawelski używa w swoim liście, nie są zupełnie bezpodstawne. Nie można odmawiać mu prawa do obrony i trzeba wyjaśnić wszystkie sprzeczności.

— Panie prokuratorze, kiedy wczoraj ten facet znowu nie przyznał się do popełnienia przestępstwa, ja, nie mając wprowadzić pańskich wątpliwości, lecz po prostu, aby nie mieć sobie nic do zarzucenia i aby nie dawać obronie ewentualnych argumentów o „zaniedbaniach śledztwa”, postanowiłem je uzupełnić. Te uzupełnienia pokrywają się zresztą prawie całkowicie z wnioskami Pawelskiego. Dzisiaj rozmawiałem ze wszystkimi moimi ludźmi, którzy zajęci byli w gmachu teatru. I niech to diabli! Przyznali się, że wypatroszyli cały gmach, a o tym stoliku stojącym przy pustej ścianie w kulisie, zupełnie zapomnieli. Nawet do szuflady nie zajrzeli. Obrugałem ich na perłowo ze szlaczkiem, ale co ja teraz mogę poradzić? Nie da się tego odrobić. Muszę się przyznać, że wypatroszyli cały gmach, a o tym stoliku, stoją na rozprawie obrona mnie szarpie o to. Co gorsze — będzie miała rację. Tak zawsze bywa, gdy się czegoś osobiście nie dopilnuje. Ponieważ liczyłem na to,

że jakiś ślad znajdziemy przede wszystkim w domu inspijenta, tam towarzyszyłem ekipie robiącej rewizję. Całą akcję w gmachu „Colosseum” i w piętnastu mieszkaniach, bo Pawelski i Pawelska to tylko jeden lokal do rewizji, musieliśmy przeprowadzić w ciągu jednego dnia. Inaczej moglibyśmy spłoszyć względnie ostrzec domniemanego sprawcę zbrodni. Z tego przymusowego pośpiechu wyniknęły te właśnie zaniedbania. Zarzuty aresztowanego, że jestem stronniczy, nie mają podstaw, chociaż, jak to już powiedziałem, nie wątpię w jego winę.

— Więc jednak niewykluczone, że w czasie rewizji nie było pistoletu w stoliku. A zatem ciągle nie ma dowodu, który by zmusił Pawelskiego do przyznania się. Są tylko poszlaki. Bardzo poważne, ale wyłącznie poszlaki.

— W tej chwili moi ludzie, panie prokuratorze, wyświetlają sprawę tego gwoździka przybitego do stołu. Przyznaję, wczoraj zabluffowałem mówiąc, że mamy świadka, mogącego stwierdzić, kto przybił ten ćwiek. Byłem pewny, że to będzie ostatni gwóźdź, który ostatecznie skłoni Pawelskiego do powiedzenia całej prawdy. Tymczasem inspijcent wywinął mi się jak wąż. Od razu przyznał się do wbięcia gwoździka w deskę i założył mi wcale logiczną gadkę o letnich upałach. Myślałem, że mnie szlag trafi, kiedy zobaczyłem, że gość wyślizguje mi się z rąk. Cholerny cwaniak.

— A może — prokurator powrócił do nurtujących go wątpliwości — mówi tylko prawdę?

— Tym gorzej dla niego. Nikt mu nie uwierzy.

— I tu jest największe niebezpieczeństwo. Chwilami

obawiam się, że tych wszystkich poszlak mamy aż za wiele.

— Ale motyw, panie prokuratorze, motyw! Nikt nie ma motywu. Sam Pawelski w swoim obszernym piśmie stwierdził to i przyznał, że ze wszystkich podejrzanych tylko u niego można znaleźć motyw zbrodni.

— Może istnieje jakiś motyw, o którym nikt nie miał pojęcia? Porachunki z dawnych lat, zemsta rodzinna, czy ja wiem co? Ten upór, z jakim Pawelski dowodzi swojej niewinności, jest dziwny i niezrozumiały. Coś jest w tym uporze. Coś, co nie pozwala mi zamknąć dochodzenia i pisać aktu oskarżenia, mimo że poszlak jest aż nadto. Wygrać proces poszlakowy to marzenie każdego prawnika, prokuratora i obrońcy. Niejedno wielkie nazwisko zdobyło sławę właśnie na takim procesie. W poszlakówce można oskarżać wtedy, kiedy jest się pewnym winy człowieka siedzącego na ławie oskarżonych. I przeciwnie — obrońca, który nie będzie absolutnie przekonany o niewinności swojego klienta, położy sprawę. Obawiam się, że w tej chwili nie mógłbym oskarżać z całą wiarą w to, co robię. Mam najwyżej w dziewięćdziesięciu procentach pewność co do osoby zabójcy Zaremby.

— Ta niepewność jest jak choroba. Udziela się wszystkim kolejno, chociaż poszlaki przeciwko Pawelskiemu nieustannie narastają. Już i kochanka Zaremby nie jest tak pewna winy swojego męża.

— A pan, kapitanie?

— Nie mam wątpliwości, chociaż żał mi faceta i wolałbym, żeby nie dyndał. Dlatego też robię, co mogę, żeby

wyjaśnić sprawę. Dlatego nawet najmniejszy drobiazg przemawiający na korzyść inspicjenta znajdzie się w aktach śledztwa. Ale zarazem i to, co może go ostatecznie pogryźć.

— Właśnie o to mi chodzi, żebyśmy umieli zachować całkowitą bezstronność.

— Pan prokurator pozwoli mi zatelefonować do komendy?

— Proszę bardzo.

Kapitan Łapiński przez parę minut w skupieniu słuchał relacji podwładnego. Potem zwrócił się do prokuratora.

— Mam pierwsze wyniki dochodzenia w sprawie gwoźdza. Pawelski powiedział prawdę. Przybił gwoździak do deski w obecności kilku osób i wieszał tam przez kilka dni ręcznik... No, ale przecież mógł to robić właśnie dla zmylenia otoczenia, już wtedy planując ukrycie pistoletu pod stołem. Co za cholerna sprawa!

— Cholerna sprawa — zgodził się prokurator.

ROZDZIAŁ XI

Pamiętnik napisany w celi

Dni mijają bezbarwnie, kubek w kubek do siebie podobne. Nieraz nie wiem, kiedy jest niedziela, a kiedy inny dzień tygodnia. Trzy razy dziennie otwierają się drzwi celi i staje w nich dwóch więźniów w asyście strażnika. Szybko podają posiłek, a pan oddziałowy czuwa, aby żaden z nich nie zamienił słowa z człowiekiem, który nad drzwiami swojej celi ma białą literkę „I” na czerwonym polu. Ścisła izolacja. Gdzieś około jedenastej przed południem znowu otwierają moją celę. Pada komenda „spacer”. Kładę płaszcz, Baśka wbrew mojej woli przysyła mi regularnie paczki żywnościowe i odzieżowe, i w towarzystwie innego strażnika schodzę na dół. Tam klucznik odsuwa kratę i wychodzimy na podwórze. Tutaj od świtu do zmroku krąży milczący pochód ludzi. To więźniowie korzystają z zagwarantowanego im regulaminem codziennego spaceru.

Ale ja nie biorę udziału w tym kręgu. Mam przecież izolację. Dlatego strażnik prowadzi mnie za budynek. Tam jest ścieżka prowadząca do szpitalika więziennego, który znajduje się za czerwonym murem. Wzdłuż tego muru

chodzę przez pół godziny. Czterdzieści kroków w jedną stronę, czterdzieści w drugą. Nie rozmawiam z nikim, bo i strażnicy asystujący mojej przechadzce nie są zbyt towarzyscy. Zresztą o czym mielibyśmy mówić? Do dobrego tonu więziennego należy nigdy nikogo nie pytać, za co ktoś siedzi. O pogodzie? O teatrze lub książkach, których dwa egzemplarze przynoszą mi raz na tydzień z tutejszej biblioteki?

Za to na myślenie mam czasu aż nadto. Przechodziłem kilka stanów psychicznych. Najpierw byłem piekielnie zmęczony milicyjnym śledztwem. Malutka, czysta cęła i samotność wydawały mi się szczytem szczęścia. Odpoczywałem przez kilka dni. Potem wstąpiła we mnie jakaś ogromna energia. Zdawało mi się, że mam siłę poruszyć ten cały gmach. Że bez trudu dowiodę swojej niewinności. Oczywiście nic nie zrobiłem, niczego nie dowiodłem. Cóż może człowiek zamknięty w czterech ścianach, uzbrojony w kartkę, papieru i długopis?

Następna faza to nienawiść. Straszliwa nienawiść do wszystkich ludzi. Przede wszystkim do tak pewnego siebie kapitana milicji, Witolda Łapińskiego. Pamiętam każdy jego gest, każde słowo i każdy ironiczny uśmiech. To spojrzenie pełne szyderstwa i niedowierzania. Rozumiałem doskonale, że cokolwiek do niego mówię, słowa odbijają się od tego człowieka jak od pancerza schronu przeciwatomowego. Nic nie trafia do jego świadomości, nic nie zdoła go poruszyć i przekonać. On już dawno wydał na mnie wyrok. Ach, gdybym wtedy dostał tego kapitana w swoje ręce!

Nienawidziłem też i prokuratora. Jak on mógł dopuścić,

aby takie indywiduum jak Łapiński prowadził śledztwo. Przecież to komedia, nie śledztwo. Robi się tylko tyle, żeby mnie pogrążyć. Nic dla wykazania mojej niewinności.

A Baśka? Przez nią to wszystko. Przez nią siedzę tutaj i pewnie wkrótce będę wisiał. Gdyby mnie kochała i była taka jak żony moich przyjaciół i kolegów, nikt by mnie nie posądzał o zabicie Zaremby. Ale jej nie wystarczał dom, dzieci i ubóstwiający ją mąż. Nie mogła obejść się bez kochanków, zmieniając ich jak rękawiczki. A teraz mnie upokarza przesyłając paczki i wpłacając pieniądze na moje konto więzienne. Podła, ach, jaka podła.

A ci rzekomi przyjaciele i koledzy? Żaden z nich nie współczuje mi, żaden nie próbuje znaleźć zabójcy Zaremby. Przecież są na wolności. Mogą się poruszać, gdzie chcą. Chodzą po ulicach, siedzą w kawiarniach i plotkują na mój temat albo też zrobili totka — będzie dyndał czy nie? Jak ja ich strasznie nienawidziłem!

Ale i płomień nienawiści zaczął gasnąć. Nie miało go co podsycać. Zaczęła się ostatnia faza — apatia. Absolutna obojętność na wszystko. Nawet na własny los. Wspaniały stan, w którym człowieka już nic nie obchodzi. I tak mijają dnie jak krople wody padające z nie dokręconego kranu. Przestałem już pisać listy do prokuratora, co mi to pomoże? Świstek papieru z prokuratury, zawiadamiający mnie, że moje wnioski uwzględnione zostały w śledztwie i na ogół potwierdziły moje zeznania, podarłem i wyrzuciłem. Prokurator dodawał, że będę miał możliwość zapoznania się z tymi materiałami po zakończeniu dochodzenia. Po co?

Swojego losu nikt nie odmieni. A mój już się dokonał.

Chciałem prowadzić pamiętnik w celi. Ale co tu można notować? To że na obiad był dzisiaj krupnik, a wczoraj grochówka? Albo że spacerowałem w towarzystwie wysokiego, szczupłego strażnika z czarnymi, małymi wąsikami, chociaż zwykle wyprowadzał mnie blondyn z zadartym nosem? A może stwierdzić, że „Czarodziejska góra”, przyniesiona mi z biblioteki więziennej, jest absolutnym arcydziełem? Ile osób przede mną zrobiło to odkrycie?

Całymi godzinami siedzę nieruchomy na taborecie i wpatruję się w biały prostokąt celi. Czy myślę, czy zapadam w jakiś dziwny stan półjawy, półsnu? Za to w nocy kręcę się na wąskim łóżku i nieraz do świtu nie mogę zmrużyć oka. Nachodzą mnie wtedy czarne myśli. W dzień wraca cudowna, kochana obojętność. I tak mija trzeci miesiąc mojego pobytu w celi nr 38.

A jednak ten kapitan milicji mnie nienawidzi, podobnie jak ja go nienawidziłem jeszcze kilka tygodni temu. Dzisiaj jego osoba jest mi tak obojętna, jak dalekie lodowce Grenlandii. Ale on o mnie nie zapomniał. Dlaczego jest mi taki niechętny? Przecież nic złego mu nie zrobiłem. Jako doświadczony oficer milicji wie doskonale, ja także zdaję sobie z tego sprawę, że poszlaki przeciwko mnie są bardzo silne. Proces i wyrok będą formalnością. On jednak, pan kapitan Łapiński, postanowił zmusić mnie do kapitulacji, do tego, żebym przyznał się do zabójstwa Zaremby.

Przypuszczam, że chodzi mu o zadowolenie własnej

ambicji, o nic więcej. Jak to może być, aby więzień tak długo opierał się woli pana kapitana i nie chciał mu zrobić takiej drobnej przyjemności, jak przyznanie się do winy?

Kapitan zastosował zupełnie nowy fortel. Oto wczoraj podczas roznoszenia obiadu zdarzył się pewien incydent. Kiedy drzwi mojej celi zostały otwarte i jeden z więźniów mieszając chochłą w kotle szykował się do nalania w moją miskę codziennej porcji zupy, nagle z tyłu, parę cel dalej, rozległy się krzyki i odgłos bójki więźniów. Strażnik pilnujący rozdziału strawy i tego, żeby więźniowie nie kontaktowali się z izolowanym, zareagował prawidłowo — pobiegł w kierunku bijących się. Wtedy rozdzielający zupę szepnął do mnie:

— Ty, frajer, za cztery dni wychodzę na wolność. Daj adres i napisz gryps. Zabiorę wieczorem. Tylko ani słowa dziadydze.

Muszę tu wyjaśnić, że „dziadygą” nazywają więźniowie X Oddziału jednego ze strażników. Starszy człowiek, grzeczny, przyzwoity. Pracuje jako oddziałowy na zmianę z dwoma innymi funkcjonariuszami straży więziennej.

— Nie, dziękuję. Nie skorzystam — odpowiedziałem również szeptem.

— Nie bój się, frajerze — powiedział drugi towarzysz od kotła. — W mamrze jest tak zawsze, że pomaga się izolacji. Ta cała bójka tylko dlatego, żeby ci powiedzieć o grypsie. Wieczorem znowu odstawi się małe przedstawienie i gryps za cztery dni będzie tam, gdzie potrzeba.

I jeszcze jedno wyjaśnienie: słowo „frajer” oznacza w

naszym więzieniu nie zawodowego przestępcę, lecz inteligenta, który wpadł. Może to być zarówno mankowicz, jak skazany za przekroczenie przepisów jazdy lub taki zbrodniarz jak ja.

Jasne jest dla mnie, że tę całą komedyjkę zainscenizował pan kapitan Łapiński. Myślał, że w ten sposób zdobędzie „gryps”, a w nim — może będę tak nieostrożny — przyznam się do zabójstwa. A jednak pracownicy milicji są bardzo naiwni. Za stary wróbel jestem, żeby dać się złapać na plewy. Oczywiście grypsu nie napiszę. A przyznać i tak bym się nie przyznał, bo nie mam do czego. Przecież nie ja zabiłem.

Niemniej ciekaw byłem, jak sprawa potoczy się wieczorem.

Jedzenie roznosili ci sami dwaj więźniowie. Zresztą była to ich stała funkcja na naszym oddziale. Mieli za to cenny przywilej, drzwi ich celi zamykało się jedynie na noc, a poza tym zawsze w kotle zostawała dla nich repeta.

Kiedy otwarto drzwi i więźniowie przytaszczyli ciężki kocioł, jeden z nich tak energicznie machnął chochlą, że ochlapał stojącego obok strażnika. Z miejsca rzucił się do czyszczenia jego munduru. Strażnik wymyślał więźniowi co się zowie, ten zaś z taką gorliwością wycierał zaplamione miejsca, że konwojent bezwiednie stanął plecami do mojej otwartej celi. Wówczas drugi więzień wyciągnął rękę po gryps.

- Nie mam — szepnąłem. — Pozdrów żonę i dzieci.
- Dobrze — więzień kiwnął głową. — Na znak, że

byłem u nich, dostaniesz w paczce niebieską chustkę do nosa.

Strażnik albo był wtajemniczony w tę całą komedyjkę, albo niczego nie spostrzegł. Faktem jednak jest, że za cztery dni kocioł dźwigał już ktoś inny. Zapytałem o tę zmianę oddziałowego.

— Poszedł na wolność — wyjaśnił strażnik. — Wyrok mu się skończył. Za dobre zachowanie skrócono mu pobyt w więzieniu o przeszło rok. Opłaciło się dźwigać kotły.

Po kilku dniach otrzymałem z domu paczkę z bielizną. Ani o nią nie prosiłem, ani się jej nie spodziewałem. Wysłałem wprawdzie z więzienia dwa listy, nie wiem nawet, czy doszły do adresata — mojego młodszego brata, ale pytałem w nich o dzieci i niczego nie żądałem dla siebie. Ta paczka, jak i poprzednie, adresowana była ręką Baški. Na samym wierzchu leżała niebieska chusteczka do nosa. To by znaczyło, że pan kapitan Łapiński umiał przegrać i do końca zachował pozory.

W tydzień później znowu wezwany zostałem do prokuratury. Prokurator Jasioła pytał mnie o jakieś drobiazgi i namawiał do przyznania się do winy. Oświadczył mi również, że wobec mojego uporu nie pozostaje mu nic innego, jak w najbliższych dniach zamknąć śledztwo i przystąpić do sporządzania aktu oskarżenia. Pobyt w tej samotnej celi nie potrwa więc długo. Skończy się. Wszystko się skończy. Ale i ta perspektywa nie zdołała zamącić mojej doskonałej obojętności.

W czasie rozmowy z prokuratorem wspomniałem mu, żeby podziękował w moim imieniu za miłą rozrywkę,

jakiej mi dostarczył kapitan Łapiński. Prokurator albo tak dobrze grał komedię, albo rzeczywiście nic nie wiedział i był bardzo zaintrygowany, o czym mówię. Nie chciałem szerzej tłumaczyć, żeby nie wsypać więźnia, którego oficer milicji użył za swojego pomocnika. Przecież prokuratorowi nie pozostawałoby nic innego, jak tylko wyciągnąć konsekwencje w stosunku do tego Bogu ducha winnego człowieka. Musiałby to zrobić choćby dla „zachowania twarzy”. Dopiero kiedy prokurator Jasiola dał mi słowo, że nie poczyni żadnych kroków prawnych, opowiedziałem mu, jak to kapitan „zorganizował” przesłanie grypsu, licząc, że w tym piśmie ujawnię jakiś ważny szczegół sprawy czy też przyznam się do winy.

Prokurator Jasiola przekonywał mnie, że to niemożliwe. Udałem, że wierzę w jego zapewnienia, bo cóż mi przyjdzie z zadzierania z prokuraturą. Więc tylko jeszcze raz upewniłem się, że w stosunku do nosiciela kotłów nie zostaną przedsięwzięte żadne represje — przecież Jasiola mógłby mu cofnąć warunkowe zwolnienie. Mnie by i tak nic z tego nie przyszło. Na miejscu byłego funkcyjnego jest inny więzień, który z radością podjął się spełniania odpowiedzialnej i zaszczytnej roli rozlewania zupy.

Rozstaliśmy się więc z prokuratorem w zupełnej zgodzie. Zapewniał on mnie jeszcze raz, że kapitan Łapiński na pewno nie organizował prowokacji i że milicja nie posługuje się tego rodzaju metodami.

Milicja na pewno nie stosuje prowokacji, ale kapitan uczynił to na własną rękę. Nie ufam zapewnieniom prokuratora. Ten oficer wyraźnie zawził się na mnie i stosuje

różne metody, aby dopiąć swego i wymusić na mnie przyznanie się do winy. Widocznie stało się to dla niego punktem honoru zawodowego.

Któregoś dnia miałem w celi niecodzienną wizytę. Zjawił się zastępca dyrektora więzienia. Powiedział mi, że od czasu do czasu organizuje się w więzieniu imprezy kulturalne. Słyszał, że jestem śpiewakiem, i proponuje mi wzięcie udziału w tej rozrywce dla współwięźniów. Dodał, że występ zależy ode mnie, bo on w żadnym przypadku nie będzie mnie do tego zmuszać. Przypomniałem mu w odpowiedzi o ścisłej izolacji, nie pozwalającej na jakiegokolwiek kontakty, że prokurator zaprotestuje, a ewentualny występ musiałaby poprzedzić chociaż jedna próba.

Zgoda prokuratora już była. Izolacja — jak mi wytłumaczył — wprawdzie obowiązuje, ale wobec zamknięcia śledztwa straciła na znaczeniu i że zarówno w czasie próby, jak i koncertu będzie mi towarzyszył opiekun, który nie pozwoli na przekroczenie przepisów o odosobnieniu. Na nic się zdały moje obiekcje, że straciłem głos i nie śpiewałem już od przeszło dziesięciu lat. Namawiał mnie, abym spróbował. Robił to w miłej formie, zupełnie nie jak zwierzchnik, pan życia i śmierci, ale jak dobrotliwy przyjaciel. Osiągnął, czego chciał, zgodziłem się.

Śmieszna rzecz, tyle lat walczyłem z chorobą. Kuracja i najslawniejsi lekarze Europy pochłonęli cały mój majątek. Z trudem osiągnąłem to, że mogłem mówić nie szepcąc, lecz normalnie. Przed samym aresztowaniem, kiedy musiałem ze sceny krzyknąć coś głośno do maszynisty, głos

urwał mi się i przeszedł w dźwięk przypominający zgrzyt żelaza po szkle. A tu, w więzieniu, kiedy zaprowadzono mnie do dużej sali, w której odbywają się różne imprezy albo dla więźniów, albo dla straży więziennej, i kiedy stanąłem przy fortepianie, poszło mi zupełnie nieźle. Nie czułem ani bólu gardła, ani specjalnego zmęczenia.

Na imprezie odśpiewałem kilka pieśni, w tym jedną trudną arię operową. Reszta to popularne pieśni Moniuszki i Noskowskiego. Dostałem ogromne brawa, widać było, że mój występ spodobał się tej publiczności złożonej z tak przypadkowo zgromadzonych ludzi i z tak najrozmaitszych środowisk, a połączonych tylko różnymi artykułami kodeksu karnego. Sądzę, że część tych braw wyrażała uznanie nie tylko dla mojego śpiewu, lecz również i dla 225 artykułu kodeksu karnego. Jest to przecież artykuł, który w świątku więziennym pasuje człowieka na arystokratę. Gdybym nawet nie miał izolacji, nikt by mnie nie zapytał o szczegóły sprawy, niemniej wszyscy wiedzą, że jestem „równiacha”, który wyprawił do „lali” kochanka swojej żony. Jak w tej starej więziennej piosence „Hulaj. Maryś, hulaj, nazywa się trudno, jak wyjdę na wolność, pojedziesz na Bródno”. Chyba nigdy nie występowałem przed tak wdzięczną widownią!

Po koncercie gardło również mnie nie bolało. Już śpiewając wiedziałem, że wprawdzie mój głos nie ma tej aksamiitnej barwy co dawniej, ale jest duża poprawa. Ale nawet to mnie nie cieszy i niewiele obchodzi. Wszystko przychodzi za późno. Pozostała mi bowiem perspektywa

śpiewania na koncertach więziennych i to nie wiadomo, jak długo.

Czasami, coraz rzadziej, myślę o tym, kto mógł zabić Mariana Zarembę. Tylko ja wiem, że tego nie zrobiłem. A jednak popularny gwiazdor filmowy nie żyje. Już dawno nie odczytuję nazwisk znajdujących się na liście prokuratora. Spośród tej szesnastki jeden jest mordercą. Kto? Na to pytanie nigdy i nikt nie odpowie. Nadejdzie czas mojego procesu. Cała sprawa potrwa chyba ze trzy dni. Potem wyrok i akta powędrują do archiwum. Kiedyś, w przyszłości, jakiś szperacz, autor tak popularnych wśród publiczności „Pitawali”, będzie pisał o ciekawym procesie poszlakowym byłego śpiewaka operowego Jerzego Pawelskiego. Pewnie zaznaczy mimochodem, że „oskarżony aż do ostatnich chwil swojego życia nie przyznawał się do zbrodni, twierdząc uparcie, że jest niewinny, ale jego gołosłowne zapewnienia nikogo nie przekonały”.

Kto zabił? Czym się kierował? Zemstą? Nienawiścią? A może kiedyś skrzywdził Zarembę i teraz chciał go usunąć z grona żywych? Nikogo przecież tak bardzo się nie nienawidzi jak ludzi, których się kiedyś skrzywdziło. Gdyby aktor był człowiekiem starszym, myślałbym, że to jakieś porachunki z czasów okupacji lub pierwszych lat powojennych. Marian był młodym człowiekiem. W tamtych czasach był jeszcze dzieckiem.

Planując tak drobiazgowo zbrodnię i zapewniając sobie bezkarność, morderca musiał mieć jakiś powód do zabójstwa. Dość dobrze znam tych wszystkich, którzy teoretycznie mieli możliwość zamiany pistoletów, lecz żaden z nich

nie mógł tak nienawidzić Zaremby, aby aż targnąć się na jego życie.

Dawno też porzuciłem koncepcję, że zbrodnia była środkiem posłania mnie na szubienicę. Nie mam takich wrogów w ogóle, a tym bardziej wśród tej piętnastki, w której kryje się morderca.

Cokolwiek by o nim można powiedzieć, trzeba przyznać, że to geniusz zbrodni. Urzeczywistnił odwieczne marzenia przestępców, udało mu się popełnić zbrodnię doskonałą, zapewniając sobie całkowitą bezkarność.

Odwiedził mnie też dwa razy pan mecenas Krawczyk. Tak mnie prokurator zanudzał, że muszę mieć adwokata, aż w końcu podpisałem pełnomocnictwo. Ostatecznie, z dwojga złego, wolałem, aby moim obrońcą, jeśli już muszę go mieć, był prawnik wybrany przez rodzinę, przypuszczam, że przez brata. Lepsze to, niż zupełnie nieznamy adwokat wyznaczony przez sąd i niezadowolony, iż musi tracić czas na sprawę, która niewiele go obchodzi.

Mecenas Krawczyk okazał się spryciarzem dużej klasy. Idąc do mnie wiedział, że długo przeciwstawiałem się podpisaniu pełnomocnictwa i powierzeniu mu obrony. Znał też sprawę, nie wiem, czy prokurator Jasioła pokazał mu akta, w każdym razie orientował się, że obstaję przy swojej niewinności.

Dlatego też pierwszą wizytę w więzieniu adwokat potraktował raczej ściśle towarzysko. Długo i szeroko opowiadał mi o dzieciach, parę razy wspomniął też i o żonie, lecz bardzo taktownie, udając, że nie wie o całej historii, jaka łączyła ją z Zarembą. Mówił o rozmowach z moim

bratem. Wypytywał o moje potrzeby, życzenia przysłania czegoś do celi, względnie wystarania się o złagodzenie regulaminu więziennego. Może załatwić prawo do podwójnego spaceru? Może należy kupić jakieś lekarstwa? Dużo czasu poświęcił mecenas różnym plotkom towarzyskim i opowiadaniu o tym, co dzieje się w Warszawie, a przede wszystkim w „Colosseum”. Że wznowiono przedstawienie „Marie Octobre”, ale szybko zdjęto ją z afisza. Dwie główne role wypadły słabo. Baśka nie chciała występować więcej w tej sztuce. Zamiast niej obsadzono Marię Rego, aktoreczkę ładną, która jednak nie dawała sobie rady z taką ciężką rolą. Również dubler Zaremby – Zygmunt Wiśniak – był bardzo miernym aktorem i nie przyciągał publiczności tak, jak to robiło nazwisko popularnego gwiazdora filmowego. Jednym słowem, do wozu z dużym ładunkiem zamiast dwóch silnych koni zaprzężono dwa kucyki. Próbowaly ciągnąć, ale wóz ani drgnął. Sztuka padła nie doczekawszy nawet pięćdziesięciu przedstawień. Podobno dyrektor Hobbła nosił się z zamiarem wznowienia jej na wiosnę.

Mecenas Krawczyk bawił mnie rozmową i zdołał osiągnąć swój cel. Siedziałem prawie trzy miesiące w ścisłej izolacji i właściwie z nikim nie rozmawiałem, toteż byłem spragniony ludzkiego towarzystwa. Adwokat zdołał nieco mnie rozruszać i zdobyć moją sympatię. A o to mu przecież chodziło.

Dopiero pod koniec widzenia pan Krawczyk niby mimochodem napomknął o samej sprawie. Poinformował mnie, że Jasioła jest raczej życzliwy i że on, Krawczyk, zna prokuratora od wielu lat i zawsze dobrze mu się z nim

pracowało. Ma zatem nadzieję, że i obecnie pewne sugestie obrony nie pozostaną bez wpływu na postawę przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości.

Zapytałem bez ogródek:

— Panu mecenasowi chodzi o tryb doraźny?

— Widzę — roześmiał się adwokat — że pan poznał w więzieniu tajniki prawa. Naturalnie, niedopuszczenie do trybu doraźnego będę uważał za nasz pierwszy sukces. To bardzo ważne.

Machnąłem ręką na znak, że niewiele mnie obchodzi, czy proces potoczy się w trybie doraźnym, czy zwykłym. Adwokat usiłował mnie przekonać, że ten problem ma zasadnicze znaczenie, bo w trybie zwykłym można wnosić rewizję do Sądu Najwyższego. Widząc jednak, że nie okazuję dla tego tematu zainteresowania, zręcznie skierował rozmowę na inne tory, powracając do moich spraw rodzinnych i zawodowych. Poinformował mnie, że dyrektor Hołbła nie obsadził nikogo na stanowisku inspicjenta. Tę rolę spełnia chwilowo jeden z nie grających aktorów. Dyrektor oświadczył, że w każdej chwili będę mógł z powrotem objąć swoją posadę. Bardzo ładny gest, zwłaszcza wobec człowieka, który na pewno skazany zostanie na karę śmierci.

Wychodząc z pokoju, w którym odbywało się widzenie, mecenas zapowiedział wkrótce następne odwiedziny. Miały one być poświęcone wspólnemu ustaleniu taktyki obrony.

Nastąpiło to w dziesięć dni później. Tym razem mój obrońca nie bawił się w towarzyskie rozmowy, lecz z miejsca

przeszedł do sprawy zasadniczej, zbliżającego się procesu.

Okazało się, że prokurator Jasiola pracuje nad aktem oskarżenia i że niewątpliwie główny nacisk położy na to, że zabójstwo Zaremby było zbrodnią z premedytacją, postanowioną i przygotowywaną przez dłuższy czas. To, łącznie z faktem, że oskarżony nie przyznał się do swojego czynu i nie wyraża żadnego żalu, daje rzecznikowi oskarżenia mocną pozycję i pozwala mu żądać najwyższego wymiaru kary. W tej sytuacji obrona musi osłabić argumenty prokuratora, przedstawiając całe życie oskarżonego, tragedię, jaką przeszedł tracąc głos, oraz jego powikłane stosunki rodzinne.

— Musimy — dowodził mecenas Krawczyk — przedstawić przebieg wydarzeń w taki sposób, aby to wyglądało na zabójstwo pod wpływem silnego wzruszenia. Zażądamy też przeprowadzenia badań psychiatrycznych.

Przerwałem wywody prawnika:

— Nie pozwolę zrobić z siebie wariata. Jestem normalnym człowiekiem, przy zdrowych zmysłach. Nie zabijałem w afekcie czy z premedytacją, bo w ogóle nie zabiłem.

Adwokat długo i zawile tłumaczył mi, że obrona nie musi być związana z twierdzeniami oskarżonego i może przyjąć inną linię postępowania, jeśli dostrzeża w niej korzyść dla człowieka siedzącego na ławie oskarżonych.

— To cofnę panu pełnomocnictwo, choćby na sali sądowej — zagroziłem.

— Nie będzie tak źle, jakoś dojdziemy do porozumienia

– mecenas zręcznie wycofywał się ze swojego stanowiska
– ale uprzedzam, że metoda zaprzeczania wszystkiemu i
kategoryczne nie przyznawanie się do winy jest bardzo
ryzykowna. Nie tylko w naszej sytuacji, ale w każdej po-
szlakówce. Wtedy sąd ma tylko dwa wyjścia: albo stanąć na
stanowisku zajęтым przez oskarżonego i obronę, to znaczy
wydać wyrok uniewinniający, albo podzielić argumenty
prokuratora i orzec najwyższy wymiar kary. Tertium non
datur — adwokat zakończył swoje wywody łacińskim cyta-
tem.

– Skoro nie popełniłem zbrodni, nie mogę do niej się
przyznać — powiedziałem.

– Oczywiście — przytaknął prawnik, ale jego mina
świadczyła o tym, że i on mi nie wierzy.

Nikt mi nie wierzy.

ROZDZIAŁ XII

Pomyłka mordercy

Tego dnia więzień celi 38 dopiero co powrócił ze spaceru. Jak zwykle usiadł na taborecie i jak zwykle patrzył przed siebie, w biały prostokąt ściany. Nieraz siedział tak godzinami lub wpatrywał się w otwartą, leżącą przed nim książkę, nie widząc ani jednej litery. Apatia, stan dobrze znany ludziom długo przebywającym w samotności, niekonięcznie w zamknięciu.

Nagle Pawelski zerwał się, podbiegł do drzwi i zaczął walić w nie pięściami. W ciszy, jaka zawsze panuje w więzieniu, te uderzenia o metal, którym pokryta jest z obu stron powierzchnia drzwi, zabrzmiały jak wystrzały. Odpowiedzią na nie były ciężkie kroki biegnącego korytarzem strażnika.

— Co się stało? Co za alarm?

— Panie oddziałowy, proszę zaraz zawiadomić kancelarię, że Jerzy Pawelski chce zobaczyć się z prokuratorem. Jak najprędzej!

— Zwariowaliście? Wali w drzwi, jak gdyby w celi pożar wybuchł. Biegnę, co mam sił, a on chce porozmawiać z panem prokuratorem. Trzeba było zgłosić prośbę rano przy śniadaniu — strażnik zamierzał odejść spod drzwi celi.

— Panie oddziałowy, bardzo proszę. Bardzo pilna sprawa. Niech pan prokurator natychmiast do mnie przyjedzie.

— Myślicie, że prokuratorzy nie mają nic innego do roboty, jak tylko lecieć do więźniów, którym coś do łba strzeli?

— Kiedy to naprawdę bardzo pilne. Sprawa zasadniczej wagi. Bardzo, bardzo pana proszę, żeby pan oddziałowy zawiadomił kancelarię.

Coś takiego było w głosie więźnia, że strażnik uległ.

— Dobrze, mogę zawiadomić. Ale nie wyobrażajcie sobie, że to wam coś da. Kiedy prokurator uzna, że chce zobaczyć się z wami, wtedy wezwie was do siebie.

— Bardzo dziękuję.

Strażnik odszedł. Aż do wieczora więzień nasłuchiwał każdego szelestu na korytarzu. Nic się jednak nie zdarzyło. Nikt go nigdzie nie wzywał. Tej nocy Pawelski spał jeszcze gorzej niż zwykle. Ach, gdyby mógł, rozwaliliby tę celę, ten cały budynek, i pobiegł na Świerczewskiego, do gmachu sądów, tam, gdzie na piątym piętrze urzęduje prokurator Ryszard Jasioła.

Nazajutrz rano Jerzy Pawelski niecierpliwie czekał na otwarcie drzwi przy wydawaniu śniadania. Wreszcie zgrzytnął klucz w zamku. Dwaj więźniowie postawili kocioł przed progiem. Jeden napełnił kubek kawą, drugi podał chleb. Ale więzień nie zwracał uwagi na posiłek. Zwrócił się do strażnika:

— Mam pismo. Proszę oddać w kancelarii.

— Pismo? — zdziwił się strażnik — Prawda... Wy macie

prawo do materiałów piśmiennych. Dobrze, dajcie — wy-
ciągnął rękę po kartkę papieru.

— A może jest dla mnie wezwanie do prokuratury?

— Nie ma. Już przysłali z dołu wykaz wszystkich do
transportu. Was tam nie ma.

— To tylko proszę oddać pismo — to mówiąc Pawel-
ski podał strażnikowi arkusz papieru złożony na dwie czę-
ści.

— Zrobi się — oddziałowy wziął list i rozwinął go. W
więzieniu nie obowiązuje dyskrecja. Tu czyta się wszystko,
co aresztowani napiszą. Treść była krótka:

„Panie Prokuratorze, odkryłem zupełnie nowe okolicz-
ności sprawy. Mają dla mnie zasadnicze znaczenie i dowo-
dzą mojej niewinności. Błagam o jak najszybsze przesłu-
chanie mnie.

Jerzy Pawelski”

Oddziałowy zabrał pismo, drzwi do celi znowu zostały
zamknięte, a więzień liczył teraz już nie godziny, lecz minu-
ty i sekundy. Koło jedenastej usłyszał zbliżające się kroki.
Padła komenda „na spacer”.

— Pan oddziałowy oddał moje pismo?

— Oddałem, oddałem. Od razu wtedy, jak brano z
oddziału w transport do sądów. Wiem, że kancelaria prze-
słała je zaraz do prokuratury.

— Dziwne, że mnie nie wzywają.

Doświadczony strażnik uśmiechnął się. Ileż takich na-
głych wezwań prokuratora widział w czasie swojej

wieloletniej służby? Wiedział, że pisma te odnoszą skutek, ale wiedział i to, czego więźniowie nie mogli na ogół zrozumieć, że prokurator nie jest do dyspozycji aresztowanego, lecz odwrotnie. Wzywa więźnia wówczas, kiedy uzna to za stosowne.

— Wezwą, wezwą, nie denerwujcie się. Jak nie jutro, to za parę dni.

Rzeczywiście, dopiero czwartego dnia wieczorem odziałowy zawiadomił Pawelskiego:

— Przyszykujcie się. Jutro rano transport. Pojedziecie do prokuratora.

Kiedy nareszcie nadeszła ta chwila i więzień znalazł się w gabinecie prokuratora Jasioły, zauważył tam również i kapitana Witolda Łapińskiego. Oficer milicji siedział na swoim ulubionym miejscu, pod oknem.

— Dostałem wasze ustne wezwanie i później jeszcze listy. Co się stało, że tak wam pilno do tej rozmowy? — spytał prokurator.

— Zupełnie nowe okoliczności. Teraz pan prokurator uwierzy wreszcie, że nie jestem zabójcą Zaremby. Że też od razu na to nie wpadłem.

— Więc wiecie, kto zabił? Macie dowody? Słucham was.

Pawelski był bardzo zdenerwowany. Nawet nie pytając o pozwolenie sięgnął po karafkę z wodą i duszkiem wypił przeszło pół szklanki. Ręce mu drżały. Oficer milicji spoglądał z uśmiechem, ale i pewnym zdziwieniem na tego człowieka, który dotychczas nie tracił spokoju w najgorętszych momentach śledztwa.

— Panie prokuratorze... — inspicjent zrobił ogromny

wysiłek, aby się opanować. W końcu to mu się udało. Głos jego brzmiał cicho i wyraźnie: — Panie prokuratorze, główna poszlaka przeciwko mnie opierała się na tym, że spośród wszystkich osób, mających możliwość zamiany pistoletów, tylko ja miałem interes w zabiciu Mariana Zaremby. Zemsta zdradzonego męża. „Is fecit cui prodest — Ten jest sprawcą czynu, kto odnosi z tego korzyść”. Choć śledztwo ustaliło, że inne osoby miały taką samą możliwość zamiany pistoletu dyrektora Hołobli ze ślepakiem w lufie na inną broń, nabitym ostrym pociskiem, to jednak nie miały interesu w zabójstwie. To jest główny argument oskarżenia. Wszystko inne jedynie utwierdza tę tezę i wskazuje na techniczne możliwości popełnienia przeze mnie zbrodni. Prawda?

— Z grubsza można to ująć tak, jak pan powiedział.

— Całymi dniami i nocami łamałem sobie głowę, dlaczego jeden spośród piętnastu ludzi, wliczam już w to i moją żonę Barbarę, chociaż podejrzewanie jej o zabójstwo Zaremby uważam za nonsens, chciał zabić Zarembę. Wszystkie moje kalkulacje skończyły się fiaskiem. Wiem, że i prokuratura badała, czy i jaki motyw zabójstwa można by znaleźć u każdego znajdującego się wówczas w teatrze. Tylko pan kapitan Łapiński uprościł sobie sprawę. Dla niego od początku ja byłem mordercą, którego wszelkimi sposobami, nawet prowokacją, należy zmusić do przyznania się do winy.

Oficer milicji słysząc tę wycieczkę pod swoim adresem

głośno się roześmiał. Ale Pawelski nie zwrócił na to uwagi i ciągnął dalej:

— Dla nikogo nie ulega żadnej wątpliwości, że nikt poza mną nie ma motywu do zabójstwa Zaremby. Tak jest w istocie. Nikt poza mną nie był zainteresowany w usunięciu ze świata popularnego aktora filmowego. Tylko ja mogłem odnieść z tej zbrodni korzyść. Zemścić się na kochanku i może odzyskać żonę. Ja dobrze wiedziałem, że nie jestem sprawcą zbrodni. Nie mogłem jednak tego dowieść tak długo, jak długo wychodziliśmy z założenia, że zabójstwo Zaremby było morderstwem z premedytacją.

— Pan twierdzi, że nie było? — Prokurator był zdziwiony.

— Nie było, panie prokuratorze. To po prostu pomyłka. Pech prześladował mordercę. Tylko dlatego zginął Zarembo, a nie kto inny.

— Proszę, niech pan wytłumaczy to jaśniej. Nie pojmuję tych zawilości.

— Było tak. Morderca czekał na odpowiednią chwilę zamiany pistoletów. Drugi miał przygotowany. Uchwycił doskonale moment, kiedy stolika z rekwizytami nikt nie pilnował i zamienił broń. Obojętne, czy nie nabity pistolet włożył do kieszeni i wyniósł z kulisy, czy też powiesił go na stoliku. Teraz to zupełnie nieważne. Jeszcze przed rozpoczęciem przedstawienia przestępca uruchomił aparat mordu. Pozostało spokojnie czekać na skutek. Ten człowiek, na pewno jeden z piętnastki, dobrze wiedział, że Baśka, jako była mistrzyni w strzelaniu, niezawodnie skieruje pistolet

w stronę, serca aktora grającego rolę zdrajcy Rougier. Czyba rozumuję logicznie?

— Przyznaję. Ale mówi pan nam rzeczy wiadome i w niczym nie zmieniające koncepcji oskarżenia.

— Zaraz ją zmienię. Tak więc, powtarzam raz jeszcze, morderca zrobił wszystko, aby aktor grający w sztuce „Marie Octobre” rolę zdrajcy Rougier padł na scenie trafiony kulą z pistoletu wystrzelonego ręką Baški. Ale zapomnieliśmy, kto tego dnia miał grać rolę Rougier...

— Jak to?! — zawołała maszynistka, która również słuchała słów więźnia z ogromną uwagą i aż pochyliła się na krzeselku, aby nie uronić ani słowa.

— Tak, proszę państwa — powtórzył z nutą tryumfu w głosie Jerzy Pawelski. — Wszyscy zapomnieliśmy o jednym. W dniu dwudziestego ósmego września, w sztuce „Marie Octobre” w roli Rougier miał wystąpić Zygmunt Wiśniak. Wiśniak i Zaremba dublowali tę rolę. Najlepszym dowodem są z tego dnia programy teatralne. Kilka egzemplarzy znajduje się w aktach sprawy. Nazwisko Zaremby przekreślone jest czerwonym ołówkiem.

Prokurator szybko przerzucił akta, wyjął program i spojrzał na obsadę sztuki.

— Ma pan rację. Nazwisko Zaremby jest skreślone.

— Przystępca uruchomił maszynę mordu. Chciał zabić Zygmunta Wiśniaka. Jako człowiek teatru doskonale wiedział, że w tym dniu gra Wiśniak. I oto w ostatniej chwili, zaledwie dziesięć minut przed rozpoczęciem przedstawienia, przypadek krzyżuje plany. Wiśniak, już ucharakteryzowany do wyjścia na scenę, schodzi z garderoby.

Poślizguje się na schodach. To nie pierwszy wypadek, schodki są bardzo niewygodne, wydeptane, w dodatku słabo oświetlone, nie było prawie tygodnia, żeby ktoś z nich nie zleciał. Tym razem wypadek ma poważniejsze następstwa niż poprzednie. Na wyślizganym stopniu schodów Wiśniak skręcił nogę w kostce. Nie może grać. Trzeba byłoby odwołać przedstawienie już przy wypełnionej sali. Do tego nie doszło. Przypadkiem w teatrze znalazł się Marian Zaremba. Szybko przebiera się i charakteryzuje. Podczas kiedy kontuzjowanego Zygmunta odwożą na pogotowie, Zaremba wychodzi na scenę. Zamiast Wiśniaka. I ginie zamiast niego. Morderca nie miał widocznie możliwości zatrzymania raz puszczonej w ruch akcji. Ostatnie minuty przed rozpoczęciem przedstawienia nie pozwalały mu na to. Za kulisami stali już aktorzy gotowi do wyjścia na scenę. Kręcił się tam i reżyser. Biegał dyrektor Hołobla, zdenerwowany, że jego zdaniem Zaremba zbyt długo się przebiera. Wszyscy znajdują się w pobliżu stolika z rekwizytami. Jakikolwiek ruch, choćby najbardziej niewinne dotknięcie któregoś z rekwizytów leżących na stoliku, nie mogło ująć uwagi wielu oczu. Dlatego Zaremba musiał zginąć za kogoś innego.

— Rozumowanie prawie słuszne — stwierdził kapitan Łapiński — a w każdym razie niezmiernie interesujące.

— P anu kapitanowi nie w smak moje słowa. Ofiara urywa się ze stryczka.

Uśmiech kapitana stał się jeszcze bardziej wyraźny.

— Moja niewinność jest bezsporna — Pawelski podjął zasadniczy temat. — Dyrektor Hołobla zeznał panom, że zaraz po wypadku z Wiśniakiem wziął do ręki leżący na stole pistolet i zdziwił się jego wyglądem. Przecież właśnie te uwagi Hołobli pozwoliły panom ustalić, że w zbrodni grały rolę dwa pistolety. Jest zatem bezsporne, że pistolety zamienione zostały, zanim Wiśniakowi zdarzył się wypadek. Motyw zabójstwa przepadł. Mam taki sam interes w zabiciu Zygmunta Wiśniaka jak reszta ludzi, którzy mieli możliwość zamiany broni. Chyba tego pan nie kwestionuje, kapitanie?

— Niczego nie kwestionuję.

— Ale mi pan nie wierzy. Złości pana, że wykręciłem się od szubienicy?

— Niech pan nie mówi głupstw. To są naprawdę uprzedzenia do mojej skromnej osoby. Przyjdzie czas, kiedy pan sam nareszcie to zrozumie. Teraz nie będziemy dyskutowali na ten temat. Ale mniejsza o to. Powiedział pan sporo ciekawych rzeczy. Częściowo prawdziwych. Nawet w większości prawdziwych.

— Powiedziałem tylko prawdę, samą prawdę.

— Panu tylko tak się zdaje. Zresztą nie zarzucam panu kłamstwa, ale prawd subiektywnych może być wiele, a istnieje jedynie jedna obiektywna. Ta właśnie jest dla mnie najważniejsza.

— Pan będzie się nadal upierał, że jestem mordercą, chciałem zabić Wiśniaka, a pechowy zbieg okoliczności sprawił, że zastrzeliłem Zarembe?

— Nie. Nie wiem, czy pan jest zabójcą Zaremby. W każdym razie pańska sytuacja uległa radykalnej poprawie.

Nareszcie usłyszałem od pana logiczne zeznania, które mogą negować pańską rolę w zabójstwie. Na razie jest to jednak ciekawa teoryjka, przemawiająca na pana korzyść. Musimy sprawdzić, jak było w rzeczywistości, powrócić do niektórych fragmentów śledztwa.

— Przecież świadkowie zdarzeń owego wieczoru, między innymi dyrektor Hołobla, stwierdzają, że Wiśniak miał wypadek i zastąpił go Zaremba. Jeżeli dobrze zapamiętałam, to właśnie dyrektor Hołobla swoim zdenerwowaniem z powodu wypadku Wiśniaka tłumaczył wzięcie do rąk pistoletu. To zeznanie, które mnie wówczas obciążało, dzisiaj jest podstawowym dowodem mojej niewinności.

— Być może. Ale sprawdzaliśmy prawdziwość zeznań nie pod kątem chęci zabójstwa Wiśniaka, lecz Zaremby. Poza tym, kto wie, czy i pan nie miał powodów do zabicia Wiśniaka.

— Ja? Wiśniaka? Dlaczego?

— Nie wiemy. Sprawdźmy. Po panu przyjdzie kolej na następnych. Musimy zorientować się, kto żywił aż taką nienawiść do dublera Zaremby. To nie jest takie proste, jak się panu zdaje. Dużo nowej roboty nam przybywa.

— Bardzo proszę. Prowadźcie swoje śledztwo. O nic więcej mi nie chodzi.

— A kto, zdaniem pana — prokurator uznał, że należy przerwać jałowy spór więźnia z oficerem milicji — mógłby mieć jakieś powody do zabicia Wiśniaka? Bo jeśli chodzi o Zarembę, to jedynym człowiekiem, u którego znaleźliśmy motywy zbrodni, jest właśnie pan. To chyba między nami bezsporne?

— Jeśli nawet zgodziłbym się z taką tezą pana prokuratora, to nie znajdziecie u mnie motywów zabójstwa Wiśniaka. Przynajmniej tak zasadniczych. Natomiast nie ulega dla mnie wątpliwości, że w całym „Colosseum” nie ma ani jednego człowieka, który mając zapewnioną bezkarność, nie przyłożyłby ręki do pozbycia się ze świata tego intryganta.

— Pan też? — zapytał podstępnie kapitan.

— Ja też nieraz życzyłem mu, aby połamał ręce i nogi.

— Pan powiedział o Wiśniaku „intrygant”. Może pan nakreśli nam wyraźniej sylwetkę tego aktora — zaproponował prokurator. — Zna go pan od dawna?

— Wiśniak przyszedł do nas jakieś pół roku przed Zarembą. Nie od razu dał się poznać z najgorszej strony. Przez jakiś czas przywarował i siedział cicho. Dopiero wówczas, kiedy kontrakt z Zarembą był rzeczą prawie pewną, Zygmunt zaczął pokazywać swoje pazurki. Kiedy zaś gwiazdor filmowy zajął już jedną z garderób „Colosseum”, Wiśniak zdemaskował się ostatecznie.

— Nie znamy tak dobrze jak pan świata aktorskiego. Proszę więc nie operować skrótami myślowymi, lecz podać nam bardziej szczegółowy obraz.

— Zacznę więc od samego początku, od szkoły aktorskiej. W zawodzie aktorskim znacznie rzadziej, niż to jest na przykład u prawników czy inżynierów, zdarzają się zupełnie nieudane typy. Pochodzi to stąd, że napływ kandydatów do trzech istniejących w Polsce szkół — w Warszawie, Krakowie i Łodzi — jest bardzo duży, a ilość miejsc ściśle ograniczona. Na jedno wolne miejsce przypada

przeciętnie około trzydziestu kandydatów. Egzaminy trwają długo i są wszechstronne. Dlatego też o jakimkolwiek „fuksy” nie może być mowy. Komisja egzaminacyjna zawsze odrzuci nie mających za grosz talentu. Przy egzaminach na politechnikę lub uniwersytet możliwość prześlizgnięcia się zawsze istnieje.

— Na wyższych latach studiów te, jak pan nazywa, „fuksy” odpadają — zauważył prokurator. — Dlatego dyplom dostaje mniej niż połowa spośród tych, którzy zdali egzamin wstępny na pierwszy rok studiów.

— Oczywiście, odsiew i na innych uczelniach jest spory — zgodził się Pawelski — i eliminuje nie mających zdolności, ale zawsze istnieje jakaś szansa, że trafi się „kujon”, który przepłynie przez wszystkie oczka sieci egzaminów i uzyska dyplom. Spotyka się nieudanych prawników i inżynierów. Nawet nie są zbyt wielką rzadkością.

— Co z tego?

— Po prostu chcę podkreślić, że znacznie trudniej jest skończyć szkołę aktorską, jeżeli się nie ma tego, co u aktora nazywamy „iskrą Bożą”. A jednak Wiśniakowi udało się ta sztuka. Jakim cudem takie kompletne beztalencie przebrnęło egzaminy wstępne, a później wszystkie lata studiów? Nie wiem! Pytałem kiedyś reżysera Letyńskiego i innych aktorów, wykładowców w szkole teatralnej. Oni również, widząc drętwość Wiśniaka na scenie, łapali się za głowę i uważali za współwinnych pasowania go na aktora.

— Może też był „kujonem”?

— To na pewno. Ale to nie powinno wystarczyć. Faktem jest, że Wiśniak skończył PIST i dostał jakieś engagement na prowincji. Bodaj w Tarnowie. Te małe prowincjonalne teatryki zawsze mają trudności z obsadą. Ktokolwiek tam zabłyśnie, zaraz ucieka do większego miasta. Z Wiśniakiem było odwrotnie. Każdy dyrektor chciał się go pozbyć i wpychał w ręce swojego najzaciętszego wroga. W ten sposób Zygmunt wędrował od teatru do teatru. Rzadko gdzie wytrzymywali z nim cały sezon. A jednocześnie gdzie tylko się pojawił, tam w krótkim czasie potrafił skłócić ze sobą cały zespół i dyrektora ze wszystkimi aktorami. Pod względem robienia intryg był prawdziwym mistrzem. Nie-doścignionym artystą. Podobno nie gardził też szantażem. Opowiadało się w światku teatralnym dość dużo o szantażowaniu pewnej sporo zarabiającej głośnej śpiewaczki. Jakieś fotografie wykonane, kiedy ta dama była kompletnie zamroczona alkoholem. Nazwisko Wiśniaka wybijało się w tej historii jako tego, który osiągnął korzyści w brzęczącej monecie. Inni bohaterzy afery robili to rzekomo dla kawału. Nie wiem, ile w tym prawdy, bo do prokuratora ta sprawa nigdy nie wpłynęła.

— Słyszałem o tej aferze — przytaknął kapitan. — Przypominam sobie, że wymieniano wtedy nazwisko Wiśniaka. Nie prowadziliśmy jednak śledztwa, ponieważ nie wpłynęło oficjalne doniesienie o przestępstwie. Przesłuchiwaliśmy jedynie tę śpiewaczkę. Zaprzeczyła wszystkiemu, ale czy mówiła prawdę?

— Wiśniak i Zaremba razem skończyli PIST. Zaremba

nie odznaczył się tam niczym szczególnym. Wiśniak nieraz się przechwalał, że gdyby nie on, Marian nigdy by nie ukończył uczelni, ponieważ był za leniwy. Podobno zawsze ściągał od Zygmunta. Zaremba temu nie zaprzeczał. Łączyło ich poza tym i to, że pochodzili z tych samych okolic. Zaremba był chłopskim synem spod Ostrołęki, Wiśniak urodził się w pobliskiej Łomży. Dlatego od początku szkoły trzymali się razem.

— Tak — przyznał prokurator. — My również jako radomiacy utrzymywaliśmy na studiach bliższą łączność ze sobą niż z innymi kolegami.

— Między dwoma aktorami wytworzyła się dziwna przyjaźń. Zaremba, który może i korzystał z pomocy kujona w PIST-cie, teraz zaczął robić szybką karierę filmową. Kiedy już wyrósł na gwiazdę srebrnego ekranu i kiedy reżyserzy filmowi zaczęli się z nim liczyć, Marian pociągnął za sobą Zygmunta. W każdym filmie z Zarembą w roli głównej musiał być jakiś epizod dla Wiśniaka. Reżyserzy zgrzytali zębami i zgadzali się na to. Jeśli nie było epizodu, to angażowano Wiśniaka jako dublera w scenach niebezpiecznych. Tam gdzie, na przykład, Marian miał spaść z konia lub przebiegał koło wybuchającego pocisku, zastępował go Zigmunt. Mieli ten sam wzrost, taki sam kolor włosów i podobną budowę ciała. Z tyłu trudno było ich odróżnić.

— Słyszałem — zauważył kapitan — że w amerykańskich filmach wielkie gwiazdy mają stałych dublerów.

— Tak — przyznał inspicjent. — Praca dublera, zwłaszcza w filmach kowbojskich lub sensacyjnych, jest

nierz bardzo niebezpieczna. U nas wygląda to trochę inaczej. Niebezpieczeństwa dużo mniej, ale posiadanie dublera zaspokajało ambicję Zaremby i pozwalało jego przyjacielowi trochę zarobić. Doszło bowiem do tego, że Wiśniak był chyba jedynym bezrobotnym aktorem-mężczyzną w Polsce. Nawet najgorszy prowincjonalny teatrzyk nie chciał go zaangażować. Szybko dał się chłop poznać.

— Przypuszczam — wtrącił kapitan — że Wiśniak był bardzo wdzięczny Zarembie za ratowanie w potrzebie.

— Oo! To pan wcale nie zna Wiśniaka i nie wie, jakie oceany ambicji i próżności znajdują się w jego duszy. Wcale nie był wdzięczny. Przeciwnie, uważał, że tylko los sprzyścił się przeciwko niemu. Kładł na karb intryg, iż Zaremba zrobił karierę, a on żyje w jego cieniu, chociaż powinno być odwrotnie. Nie znosił Zaremby, lecz doskonale maskował swoje uczucia. Płaszczył się przed przyjacielem i był czymś w rodzaju jego „pipla”. Jeśli któryś z panów przeszedł przez obóz, zna znaczenie tego wyrazu.

Prokurator skinął głową, iż wie, o co chodzi.

— Gdybym tak dobrze nie znał Zaremby i nie wiedział o jego przygodach z płcią piękną, ciągle muszę nawracać do tematu specjalnie mnie bolącego, mógłbym nawet podejrzewać gwiazdora filmowego o nienormalne skłonności. Na pewno ich nie miał, chociaż bardziej pilnował interesów Zygmunta niż swoich. Najlepszą ilustracją moich słów jest sprawa zaangażowania Zaremby do „Colosseum”.

— Przez dyrektora Hołobłę?

— Hołobla już rok przedtem zabiegał o Zarembę. Ku-
sił go kontraktem, mieszkaniem i rozmaitymi przywileja-
mi. Przypuszczam nawet, że obiecywał więcej, niż był w
stanie dotrzymać. Akurat Zaremba miał mało pracy w fil-
mie. Bieda mu jednak nie groziła, ale z Wiśniakiem było
zupełnie źle. Był bezrobotny. Żaden z teatrów go nie chciał.
Do filmu go nie angażowano, bo Zaremba chwilowo nie
grał i dublera nie potrzebowano. Wiśniak żył z tego, co
pożyczył od Mariana lub od innych. Właśnie wtedy zjawił
się dyrektor Hołobla z kontraktem.

— To było na rok przed przyjściem Zaremby do „Co-
losseum”?

— Nawet nieco później, W każdym razie przed rozpo-
częciem nowego sezonu. Zaremba powiedział wtedy dyrek-
torowi: „Na razie muszę jeszcze wykończyć różne swoje
zobowiązania filmowe i telewizyjne, ale zaangażujcie Wi-
śniaka. Jeżeli jemu spodoba się w „Colosseum”, przyjdę
tam w środku sezonu. Stawiam jednak warunek, że Zyg-
munt musi być dublerem wszystkich moich ról. Nie mam
zamiaru zrezygnować z pracy w filmie, dlatego zawsze mu-
szę mieć zastępcę, abym mógł kręcić.”

— To chyba naturalne?

— Żaden aktor nie stawia takich warunków. Pracę w
filmie i w telewizji stara się wykonywać w dni wolne od
występów w teatrze lub kiedy dłużej pauzuje. Toteż Hoł-
obla szalał usłyszawszy takie ultimatum.

— Ale w końcu zgodził się.

— Koniecznie chciał mieć Zarembę w „Colosseum”.
Ściągnięcie popularnego gwiazdora do teatru to nie tylko

gwarancja pełnej kasy, ale i osobisty sukces dyrektora, który osiągnął to, czego nie dopięli inni. Dzięki temu Wiśniak dostał się do stolicy, do jednego z najlepszych teatrów. Dopóki nie było Zaremby, siedział cicho, ale kiedy Marian sprowadził się wreszcie do Warszawy, jego dubler szybko dał poznać swój przemiły charakter. Nie umiał żyć bez intrygi. Regularnie donosił dyrektorowi o wszystkim, czego dowiedział się od aktorów o innych aktorach. Kolegów podjudzał przeciwko dyrektorowi. Nawet pomiędzy maszynistami i elektrykami również rozrabiał. Wspominałem, że dyrektor Hołobla ściągał do „Colosseum” co bardziej znane nazwiska. Aby ich przyjąć, musiał zwolnić niektórych aktorów od dawna pracujących w naszym teatrze. Otóż mam pewne podstawy twierdzić, że dając wy-mówienia kierował się często donosami i plotkami Wiśniaka.

— A koledzy? Nie buntowali się? Nie przeciwstawiali się temu?

— Starzy, w strachu, że przy najbliższej okazji na nich przyjdzie kolej, woleli się nie wychylać. Świeżo przyjęci, zanim się zorientowali w sytuacji, już byli motani siecią intryg. Nawet Hołobla bał się tego człowieka. Wiedział bowiem, że Wiśniak potrafi narzucić swoją wolę Zarembie i jeśli zechce, zdoła go namówić do opuszczenia „Colosseum”. Jednocześnie intrygi Zygmunta nie ograniczały się do naszego teatru. Nieustannie przesiadywał na korytarzach ministerstwa, gdzie również zajmował się z amatorsztwa donosicielstwem. A wiadomo, w teatrach nie zawsze panuje święta zgoda i nie wszystko robi się ściśle według

przepisów. Słusznie mówi przysłowie, że kto chce psa udeżyć, kij znajdzie. Dla takich szukających kija Wiśniak był nieocenionym skarbem. Miał na podorędziu nie jeden kij, lecz całą ich kopę.

Doszło do tego, że ludzie starali się nie narażać temu aktorowi bez talentu, a zawsze z uprzejmym uśmiechem. Nie słyszałem, aby Wiśniak szantażował kogokolwiek w „Colosseum”, lecz nie było tam nikogo, kto by ośmielił się odmówić mu pożyczki.

— Pożyczał pieniądze?

— Stale od wszystkich. Nie wiem, co robił z forszą, ale nigdy jej nie miał. Choć to człowiek samotny, bo żona rzuciła go w trzy miesiące po ślubie, i dobrze zarabiający. Gaża w teatrze wprawdzie nie najwyższa, ale i nie najmniejsza plus zarobki z filmu. W sumie niemało. Mimo to Zygmunt nigdy nie ma pieniędzy i siedzi w kieszeni kolegów. Ode mnie wyciągnął prawie dwa tysiące, kilka razy po paręset złotych. Nie słyszałem i nie widziałem, żeby kiedykolwiek komuś oddał choć złotówkę. Jednakże nikt nie odmawia pożyczki, bojąc się narazić szpiclowi i licząc, zresztą na próżno, że te przysługi zamkną mu usta.

— Czy pan może bliżej określić stosunek Zaremby do Wiśniaka? — zapytał prokurator.

— To bardzo złożony problem. Zaremba zawsze pomagał Zygmuntowi. Bez tej pomocy Wiśniak nie utrzymałby się ani w naszym teatrze, ani w filmie. Kto chciał mieć Zarembę, musiał godzić się z obecnością Wiśniaka. Nie wiem, czy rzeczywiście była to wdzięczność gwiazdora za

pomoc w czasie studiów. Nawet w to wątpię. Trudno odmówić Marianowi dużych zdolności, podczas gdy Wiśniak reprezentuje zupełne beztalencie. Raczej uwierzyłbym w odwrotną sytuację, że to właśnie Zaremba pomagał Zygmuntowi. W każdym razie Marian stawał na głowie, żeby pomóc przyjacielowi. Dyrektor miał dosyć tego ciągłego szpiclowania i już dawno wylałby Wiśniaka z „Colosseum”, gdyby nie stanowcza groźba Zaremby, że odejdzie razem z nim.

— Czy pan przypuszcza, że Wiśniak szantażował Zarembę? Może wiedział coś o nim z czasów studiów lub z wcześniejszego okresu?

— Wątpię. Gdyby to był szantaż, Marian bałby się Wiśniaka, a nie odniosłem takiego wrażenia. Zaremba doskonale zdawał sobie sprawę z wszystkich przywar przyjaciela. Wiedział o jego intryganctwie i donosicielstwie. Pomagał mu, ale traktował go bardzo z góry, bez najmniejszego szacunku, a nieraz wręcz pogardliwie. Nie ukrywał swojej o nim opinii. Śmiał się, że Wiśniak utopiłby go w łyżce wody, ale nie może tego zrobić, bo kto dawałby mu kontrakty i pieniądze. Tak się nie zachowuje ofiara wobec szantażysty.

— To dlaczego pomagał mu, skoro wiedział, co to za człowiek?

— Żeby na to odpowiedzieć, trzeba lepiej znać Zarembę, niż ja go znałem. Mogę jedynie powiedzieć o swoich przypuszczeniach. Wydaje mi się, że zasadniczą rolę grała próżność młodego aktora. Zrobił szybką karierę, zdobył duże, jak na nasze pojęcia, pieniądze. Jego ambicję mile

lechał fakt, że ma człowieka całkowicie od siebie zależnego. I to nie służącego czy lokaja, ale kolegę, aktora, pozornie równego sobie. Tylko dla zadowolenia własnej próżności narzucał filmowi dublera w tych scenach, gdzie nie widać twarzy bohatera i gdzie istnieje choćby malutkie ryzyko. Inni doskonale obywali się bez takiej pomocy. Marian był w pewnym sensie gwiazdą na naszym firmamencie filmowym i sprawiało mu satysfakcję granie roli rozkapryszanego, chimerycznego aktora w życiu codziennym. Takiego, o jakim czytamy w amerykańskich magazynach. Poza tym Zaremba wprost kochał komplementy i wyrazy uznania. Wiśniak płaszczył się przed nim tak, że przechodziło to wszelkie granice przyzwoitości.

— A jednocześnie poza oczyma szył mu buty?

— Wiśniak jest szalenie ambitny i niezmiernie zarozumiały. Uważa się za największego aktora świata i jest przekonany, że Zaremba jedynie dzięki zręczności i poparciu zagarniał główne role. Wszyscy reżyserzy to banda idiotów, którzy na nim — Wiśniaku — nie umieją się poznać. Zamiast aktora o nieprzeciętnych zdolnościach, wybrali miernotę, lecz bezwzględnie im posłusznego, spełniającego wszystkie ich życzenia.

— A jakim aktorem filmowym był naprawdę Zaremba?

— Nie wiem. Nigdy nie miałem do czynienia z filmem i nie widziałem Zarembę w czasie kręcenia. Jest jednak bezsporne, że zarówno w filmie, jak i w teatrze aktor musi realizować koncepcje reżysera. Na tym tle Wiśniak zawsze

miewa zatargi z reżyserami, nie dlatego, że nie chce ich słuchać, lecz po prostu nie rozumie, o co im chodzi, i nie umie wcielić się w postacie ze sztuk. Na scenie wygląda i gra jak kawał drewna. Poza tym nie da się zaprzeczyć, że Zaremba miał ogromny czar osobisty, którym zjednywał sobie ludzi bez względu na ich płeć.

— A kto, zdaniem pana, posunąłby się aż do zabójstwa Wiśniaka?

— Trudno mi rzucać jakieś nazwiska. Jeżeli jednak spojrzymy na listę tych, którzy mogli zamienić pistolety, to nie ma tam nikogo, kto nie miałby mniejszego lub większego zatargu z Zygmuntem. Kiedyś, na przykład, zacięła się kurtyna. Na widowni nie spostrzeżono tego, ale Wiśniak natychmiast powiedział dyrektorowi, że kurtyniarz często przychodzi do pracy pijany i śpi, zamiast pilnować akcji sztuki. Kurtyniarz musiał bardzo gęsto się tłumaczyć, bo Zygmunt mówił o tym tak sugestywnie, że dyrektor mu uwierzył. Rola intryganta była jedyną, którą Wiśniak grał z talentem, ale to za mało dla aktora. Po tym donosie dyrektor chciał nawet zwolnić biednego człowieka. A w tej całej historyjce nie było słowa prawdy. Kurtyna się zacięła, takie przypadki zdarzają się i zawsze będą się przytrafiały w teatrze. Tak jak zdarzają się katastrofy kolejowe i samolotowe pomimo szczegółowych przepisów bezpieczeństwa.

— A inni?

— Nie przypominam sobie. Panowie mają większe możliwości zebrania materiału w tej sprawie, niż człowiek siedzący w czterech ścianach celi. Ja tylko mogłem wskazać,

że koncepcje oskarżenia, zakładające popełnienie zabójstwa przez zazdrosnego inspicjenta są bezpodstawne. Chyba udało mi się udowodnić, że zabójstwo Zaremby jest przypadkiem. Pechem mordercy. A przy rozpatrywaniu, kto by mógł nastawać na życie Wiśniaka, mam takie same szanse, jak pozostała piętnastka podejrzanych. To jest moje wielkie odkrycie i mój ogromny sukces. Dlatego z taką niecierpliwością czekałem na dzisiejsze przesłuchanie.

— Wysłuchaliśmy z uwagą, pańskiego opowiadania — powiedział prokurator. — Nie przerywaliśmy go, przeciwnie, sami staraliśmy się, żeby pan mówił jak najdłużej i jak najszczerzej. O Wiśniaku i o stosunkach panujących w „Colosseum”. Muszę jednak pana zmartwić. Pańskiej teorii nie możemy przyjmować bez zastrzeżeń. Nie możemy też stwierdzić, że usłyszeliśmy z jego ust rzeczy nowe, dotychczas nie brane przez nas pod uwagę. Prawda, kapitanie?

— Od samego początku prowadzenia śledztwa — wtrącił kapitan — wiedzieliśmy i braliśmy pod uwagę, że Zaremba grał w tym dniu za Wiśniaka. Dlatego też zastanawialiśmy się i nad koncepcją poruszoną dziś przez pana — czy nie była to próba zamachu na dublera Zaremby. Przesłuchaliśmy pod tym kątem cały personel teatru i teoria ta w świetle wszystkich zeznań nie została niczym potwierdzona. Zgadzam się, że dzisiaj pan ujawnił niektóre szczegóły, które nasi rozmówcy uważali za stosowne przemilczeć. Dlatego też, chociaż nie jesteśmy ani zaskoczeni, ani zdziwieni pańskim oświadczeniem, jeszcze raz powrócimy do tego zagadnienia.

— Pańskie zeznania rzucają nowe światło na osobę Wiśniaka — zgodził się prokurator. — Niewątpliwie też polepszają pańskie stanowisko. Ale musimy wszystko sprawdzić i dlatego kończymy naszą rozmowę.

— Teraz mogę siedzieć w celi choćby i rok. Nareszcie wierzę, że drzwi więzienia otworzą się przede mną.

— Chciałbym — dorzucił kapitan — wyjaśnić jeszcze pewną sprawę. Tej, jak pan mówi, „prowokacji”. Nie bawimy się, panie Pawelski, w takie rzeczy. Chciałbym, aby pan dał wiarę temu, co mówię. Więzień, zawodowy złodziej, wychodzi z więzienia. Zanim je opuści, ofiarowuje pomoc człowiekowi siedzącemu w izolacji i mającemu perspektywę kary śmierci. Taka jest więzienna etyka „zawodowców”. Dlatego też ryzykował cofnięcie przedterminowego zwolnienia i nowy proces o wyniesienie grypsu. Przesłuchiwałem pana żonę. Ten człowiek prosto z więzienia udał się do pańskiego mieszkania, gdzie dość wiernie powtórzył pańskie słowa i dużo o nim opowiadał. Przy okazji dostał od pani Barbary dwie setki za fatygę. Tylko na pańską prośbę nie wyciągnęliśmy w stosunku do nosiciela kotłów żadnych konsekwencji. Osobiście jest mi zupełnie obojętne, co pan o mnie myśli. Że pan mnie nie lubi? Nie kocha się oficerów śledczych. Jest pan podejrzany o morderstwo, a ja prowadzę śledztwo. Chodzi mi o wyświecenie całej prawdy. A namawiałem pana do przyznania się tylko w jego interesie. Teraz, kiedy pan zwrócił uwagę na inne aspekty wydarzeń, być może, sprawa potoczy się odmienną

koleją. Ale wówczas, kiedy wszystkie ślady wskazywały na pana jako na przestępcę, przyznanie się do winy było najrozsądniejszym krokiem. Stąd moje usiłowania. Nigdy jednak nie posunąłem się poza granice obowiązujących przepisów. Tym bardziej nie stosowałem prowokacji. Takie postępowanie mogłoby mnie kosztować nawet... zajęcie sąsiedniej celi. Pan prokurator i moje zwierzchnie władze postarałyby się już o to.

Prokurator przytaknął milcząco i uśmiechnął się.

— Mam nadzieję, że teraz pan przestanie mnie namawiać do przyznania się do zabójstwa i że uwierzył pan moim wyjaśnieniom. Jeszcze raz powtarzam, to nie Zarembe chciano zabić, lecz Wiśniaka.

— Znowu pan się myli, panie Pawelski — odpowiedział oficer milicji.

ROZDZIAŁ XIII

Tylko morderca wiedział...

— Pan kapitan znowu zabluffował — odezwał się prokurator po wyjściu więźnia.

— Ja? Kiedy?

— Mówiąc do Pawelskiego, że się znowu myli.

— Ach, chodzi panu prokuratorowi o to naiwne twierdzenie inspicjenta, że Zarembę zastrzelono przez pomyłkę, zamiast Wiśniaka? Przecież badaliśmy tę sprawę, jak to już wyjaśniałem więźniowi, na samym początku śledztwa.

— No tak, ale dzisiaj Pawelski dowiódł nam, że mogły istnieć motywy takiego zabójstwa. Wtedy tylko dość po-bieżnie zastanawialiśmy się nad taką koncepcją, ponieważ wszystkie poszlaki pasowały jak ulał do byłego tenora.

— To prawda. Ale nie przypuszczam, żeby i dziś teoria Pawelskiego była do obrony. I nie na tym polega zasadnicza wartość zeznań złożonych przed chwilą przez naszego więźnia. Pisząc akt oskarżenia pan prokurator i tak musiałby się bardzo dokładnie rozprawić z tą hipotezą. Przecież mecenas Krawczyk w swoim pierwszym słowie od razu zarzuciłby nam jednostronność śledztwa, postawił wniosek

o odroczenie sprawy i odesłanie jej ponownie do prokuratury celem uzupełnienia materiału dowodowego. Dlatego też zbierając dane o szesnastu ewentualnych podejrzanych, również poleciłem zainteresować się bliżej i innymi aktorami „Colosseum”, w tym także i Wiśniakiem.

— Ma pan coś o nim?

— Nic szczególnego, chociaż charakterystyka tego pana pokrywa się z tym, co nam opowiedziano przed chwilą. Poza tym jest on dobrze znany w kołach narkomanów. Stąd ten ciągły brak pieniędzy.

— Pan kapitan nadal uważa inspicjenta za organizatora zbrodni? Odrzuca pan tezę Pawelskiego?

— Nadal Pawelski jest jednym z głównych podejrzanych, mimo że dzisiaj jego sytuacja poprawiła się radykalnie. To dla niego ważne, czy jest jedynym, na którym ciążyą wszystkie podejrzenia i wszystkie poszlaki, czy też znajduje się na drugim miejscu listy przypuszczalnych morderców. Dotychczas inspicjent był na niej solistą, teraz nie tylko przybył mu partner, ale nawet zepchnął byłego śpiewaka na dalszą pozycję.

— Muszę przyznać, że zeznania Pawelskiego zachwiały moją uprzednią pewność. To, co mówił, jest zupełnie logiczne. Nie powiedział nam nic nowego, ale pogłębił to, co już wiedzieliśmy. Dlatego też uważam, że nie można lekceważyć jego oświadczenia.

— Oczywiście — zgodził się oficer milicji.

— Bo jeśli rzeczywiście nie chciano zabić Zaremby, to Pawelski jest niewinny. Należałoby go w takim razie skreślić z listy podejrzanych i wypuścić na wolność.

— A jednak — roześmiał się kapitan — pan prokurator dał się zasugerować zeznaniami śpiewaka. Ma on, widocznie, duży talent przekonywania, jeśli jego słowa tak działają na rzecznika oskarżenia.

— Nie sugeruję się, ale stwierdzam, że w tym, co mówił Pawelski, tkwi jakiś ogromny ładunek emocjonalnej prawdy. Mam dziesiątki lat praktyki. Przesłuchiwałem tysiące ludzi, i zdaje mi się, umiem odróżnić, kiedy mówią prawdę.

— Pawelski — zgodził się kapitan — powiedział nam dziś na pewno jedną bardzo ważną prawdę. Taką, która być może otworzy drzwi jego celi.

— Więc jednak i pan zgadza się ze mną, kapitanie, że trzeba rozszerzyć dochodzenie i jeszcze raz zbadać sprawę pod kątem zamachu na Wiśniaka.

— To nie jest potrzebne.

— Dlaczego? — prokurator był nieco zaskoczony odmową oficera.

— W każdej chwili, na podstawie tego, co wiemy i co mamy w aktach sprawy, mogę dowieść, że zabójca nie myślał o Wiśniaku.

— Proszę. Niech kapitan dowiedzie.

— Wiśniak jest małą kanalią. Wszystkim dopiekl do żywego, ale nikomu tak bardzo, aby u kogoś zrodziła się myśl wykończenia go. Morderca planujący zbrodnię nie tylko liczył się z tym, że posądzenie padnie na Pawelskiego, ale specjalnie do tego dążył. Jednym strzałem mordował na zimno dwóch ludzi. W tym jednego, do którego nie czuł żadnej urazy. Żeby zdobyć się na taki czyn, trzeba naprawdę bardzo mocno nienawidzić swojej ofiary i być skończonym łotrem stąpającym po trupach. Taki emocjonalny

stosunek możliwy jest wobec Zaremby, wykluczony przy osobie Wiśniaka. Planujący zamach na dublera, urządziłby się inaczej.

— Jak?

— Morderca dobrze znał swoją ofiarę. To jest dla nas obu jasne, prawda? Żeby kogoś nienawidzić aż do zbrodni, trzeba go znać. Pawelski nie wiedział, że Wiśniak jest narkomanem. Dubler krył się z tym, jednak ktoś musiał znać jego słabą stronę. Pod pozorem dostarczenia narkotyku narkomana można bez trudu zwabić w odludne miejsce i tam wykończyć. Albo dodać do narkotyku jakiejś trucizny, aby ta powoli działając wykończyła aktora. Śmierć wytłumaczono by nadużyciem kokainy.

— Pan to upraszcza, kapitanie. Zdobyć narkotyk i truciznę! Tych rzeczy nie kupuje się w najbliższej drogerii!

— Pistoletów marki Walter nie sprzedają tam również. A jednak morderca wiedząc, że aktorka posługuje się w sztuce „Marie Octobre” pistoletem, wystarał się o identyczny. Nie łudźmy się, panie prokuratorze, odkąd Fenicjanie wynaleźli pieniądze, wszystko inne jest już tylko kwestią ceny.

— Ceny wielkich pieniędzy.

— Kto tak nienawidzi i tak pragnie cudzej śmierci, nie będzie się targował.

— Ciekawa teoria. Ale podtrzymując swoją tezę, że celem zbrodni był Zaremba, powraca pan do Pawelskiego jako jedyne go jej sprawcy.

— Nie.

— Nie? Przecież pan odrzuca zeznania inspicjenta!

— Nie odrzucam ich. Są one bardzo ważne dla sprawy. No i dla siedzącego w areszcie. Mogą stać się kluczem, który otworzy mu bramy więzienia. To, co teraz powiedział Pawelski, logicznie łączy się z zeznaniami tych kobiet, lekarki i pielęgniarki. Jak im tam...

— Doktor Danuta Malinowska i siostra Maria War-tecka — odpowiedział prokurator.

— Właśnie. Ich zeznania i „odkrycie” zakomunikowane nam dzisiaj przez inspicjenta pozornie nie mają związku. A tymczasem pasują do siebie znakomicie. Obecnie i ja jestem gotów przychylić się do tego, że Marian Zaremba odzyskał na krótką chwilę przytomność i zdolność myślenia. Umierający nie łudził się ani przez chwilę, że postrzelono go przez omyłkę, nie miał żadnych wątpliwości, że nastawano na jego życie. Znał swojego kata i rozumiał, jakie niebezpieczeństwo grozi Pawelskiemu. Chciał koniecznie go osłonić. Myliłem się wtedy mówiąc, że umierający aktor majaczył. Także popełniałem błąd zakładając, że słowa Zaremby są przebaczeniem dla mordercy. Nie. Te słowa wypowiedziane zostały z całą świadomością. Umierający zrobił wszystko, aby przekazać nam to, o czym wiedział: że mordercą nie jest Pawelski.

— A więc jednak zakłada pan, że inspicjent jest niewinny.

— W tej chwili przesunąłem go na drugie miejsce wśród podejrzanych. Naturalnie muszę zdobyć absolutnie pewne dowody przeciwko temu, który znajduje się na czele mojej listy. Umierający Zaremba był przekonany o niewinności

Pawelskiego, ale i on nie miał dowodów przeciwko właściwemu mordercy. Dlatego nie wymienił jego nazwiska. Bał się oskarżać i zostawił milicji obowiązek odnalezienia przestępcy.

— Szkoda, że tego nie można poprzeć jakimś świadectwem. Doktor Malinowska kategorycznie odmówiła złożenia oświadczenia, że umierający przytomnie wypowiadał słowa.

— To nie ma znaczenia. Te zeznania, moim zdaniem, należy uważać za wskazówkę dla śledztwa, a nie za dowód procesowy. Tych drugich będziemy mieli aż nadto.

— Kapitan jest optymistą. Szkoda, że nie dostałem tych dowodów wcześniej.

— Dostarczę panu prokuratorowi dowodów nie ulegających żadnej wątpliwości.

— Przeciwko Pawelskiemu?

— Przeciwko mordercy.

— Na pańskim miejscu byłbym bardzo ostrożny i dokładnie rozpatrzył hipotezę wysuniętą przez inspicjenta, podsuwającego myśl o usiłowaniu zabicia Wiśniaka i przypadkowej śmierci Zaremby wskutek tragicznego zbiegu okoliczności.

— To naprawdę niepotrzebne, panie prokuratorze. Mamy w aktach sprawy jeszcze jeden dowód, że tak nie było.

— Jaki dowód?

— Przede wszystkim zeznania dyrektora Hołobli. Te zeznania, na których tak wielkie nadzieje buduje teraz Pawelski, stwierdzają ponad wszelką wątpliwość, że pistolety zamienione zostały przed rozpoczęciem przedstawienia.

— To właśnie wskazuje, że chciano zastrzelić Wiśniaka?

— Załóżmy, że tak było istotnie. Morderca zamienił pistolety i spokojnie czekał momentu, kiedy Barbara Pawelska zastrzeli Wiśniaka, grającego tego dnia rolę zdrajcy Rougier. Tymczasem wydarzył się wypadek. Wiśniak spada ze schodów, skręca nogę i nie może grać. Zamiast niego na scenę wychodzi Zaremba.

— Wtedy morderca nie ma już możliwości ponownej zamiany pistoletów. Pawelski stwierdził, że od chwili wypadku aż do podniesienia kurtyny w kulisie kręcił się cały tłumek ludzi i dostęp do stolika z rekwizytami był niemożliwy.

— Morderca miał doskonałą sposobność ponownej zamiany pistoletów — odpowiedział kapitan Łapiński. — Ten sam Pawelski w swoich zeznaniach długo i wyczerpująco wyjaśniał, że prawdopodobnie pistolety zamieniono w czasie antraktu. Wtedy broń leży na scenie oświetlonej jedynie małą żarówką. Za kulisami nie ma nikogo, nawet elektryków i mechaników. Zbrodniarz, a jest to człowiek teatru, wie o tym doskonale. Gdyby chciał oszczędzić Zarembę, mógłby nie raz, a dziesięć razy zamienić broń. Zresztą nie potrzebował jej zamieniać. Wystarczyło wziąć do ręki pistolet i jednym szarpnięciem repetiera wyrzucić kulę z lufy. Wtedy w kulminacyjnym punkcie sztuki rozległby się tylko cichy dźwięk spuszczonej iglicy. Aktor Lisowski, który już kiedyś uratował podobną sytuację, znowu kłaśnięciem w dłoń imitowałby strzał. Zabójca Wiśniaka nigdy by nie dopuścił, żeby pocisk przeznaczony dla tego

małego szpicla trafił Zarembe.

— No tak... Może pan ma rację.

— Panie prokuratorze, morderca doskonale wiedział, co robi i kto zginie od jego kuli. Nie Wiśniak, tylko Zaremba miał być ofiarą.

— Kapitan tak mówi, jak gdyby znał przestępcę.

— Może znam, może nie, ale już dobrze wiem, gdzie go szukać. Pawelski to przecież wyraźnie powiedział. Muszę jeszcze tylko wyjaśnić parę drobnych szczegółów.

— Jakich?

— Przede wszystkim ponownie przesłuchać Pawelską.

— Znowu rozdrapywać ranę, która ciągle nie może się zabliznić?

— Przypuszczam, że już pięknie się zabliznia. Kiedy przesłuchiwałem aktorkę w związku z tym ananasek, który nosił nie tylko kotły, ale i grypsy, bardzo wypytywała się o męża. Była mocno zaniepokojona jego sytuacją. O zmarłym nawet nie wspominała. Nic dziwnego. Od tamtego dnia minęło prawie trzy miesiące, a francuskie przysłowie słusznie mówi, że zawsze powraca się do swoich starych miłości. Nasza rozmowa, chociaż niezbyt przyjemna dla aktorki, na pewno nie będzie rozdrapywaniem ran.

— Co pan chce od niej wyciągnąć? Boję się, że odmówi zeznań. Tak mi oświadczyła na ostatnim przesłuchaniu.. Mecenaz Krawczyk pouczył ją o przysługującym jej prawie.

— Tym razem jej słowa mogą mieć zasadnicze znaczenie dla ujęcia mordercy i uwolnienia Pawelskiego. Tak

jej przedstawię sprawę i mam nadzieję, że skłonię do mówienia.

— Ona chyba wszystko powiedziała w pierwszych zeznaniach. Zaraz po zbrodni. Ma pan tutaj akta.

— Nikt jej wówczas nie zapytał, dlaczego Zaremba tego dnia przyszedł do teatru? Ten szczegół ma teraz zasadnicze znaczenie.

— Najprawdopodobniej odprowadzał kobietę, którą kochał.

— Być może. Ale musimy to sprawdzić. Wyjaśnimy, czy zawsze miał zwyczaj odprowadzania Pawelskiej i obserwowania jej gry w dnie, kiedy w roli Rougier dublował go Wiśniak.

— Życzę powodzenia.

— Dziękuję. Poza tym muszę jeszcze przesłuchać portiera w „Colosseum”, woźnego, może kilku bileterów i maszynistów.

— A to w jakim celu?

— Chodzi mi o ustalenie, czy pewna osoba była wówczas również na przedstawieniu. Zwłaszcza na jego drugiej połowie. Muszę także wybrać się do pogotowia ratunkowego, sprawdzić książkę wypadków i ewentualnie porozmawiać z lekarzami. Obawiam się, że ten ślad, mówiąc językiem myśliwych, jest zimny. Pracownicy pogotowia mają tego rodzaju zajęcie, że mogą nie pamiętać zdarzeń sprzed paru miesięcy, ale przy odrobinie szczęścia uda mi się coś z nich wyciągnąć. Dotychczas szczęście wybitnie nam nie sprzyjało, wierzę, że zaczyna się dobra passa.

— A jednak zeznania Pawelskiego...

— Nie przeceniajmy zeznań inspicjenta. W swojej

zasadniczej części są one zupełnie błędne. Niemniej inspicjent wskazał nam kierunek śledztwa, uliczkę, której przedtem nie zauważyliśmy. I tylko to jest ważne.

— Czyli wdzięczność dla inspicjenta?

— Niewątpliwie. Zresztą zawsze odczuwałem do niego sympatię. Nawet wówczas, kiedy w moich oczach był sprawcą przestępstwa. Chciałem, żeby z tej sprawy wyniósł przynajmniej całą głowę. Dlatego tak go namawiałem do przyznania się do winy.

— Dobrze, że pana nie posłuchał.

— Jeśli jest niewinny, to postępował słusznie. Jeżeli jednak jest mordercą, o tym nie wolno mi zapominać, bo nadal istnieją poszlaki przeciwko niemu, to zrobił głupstwo. Ale wydaje mi się, że za kilka dni poproszę pana prokuratora o podpisanie nakazu aresztowania.

— Dla mordercy Zaremby?

— Tak.

— Pan coś ukrywa przede mną.

— Może i ukrywam — przyznał się kapitan. — Mam pewną małą teoryjkę, ale muszę ją sprawdzić.

— Kogo pan posądza o zbrodnię?

— Nie posądzam. Ja wiem.

— Ale milczę.

— Nie, panie prokuratorze. To przecież zupełnie jasne. Mordercą jest człowiek, który doskonale wiedział, że Marian Zaremba będzie grał tego tragicznego dnia.

ROZDZIAŁ XIV

Stenogramy kapitana Łapińskiego

„...to przeciętna aktorka. Jeszcze młoda. Nie każdy błyszczący talentem zaraz po opuszczeniu PIST-u. Są tacy, którzy dobrze opanowują warsztat dopiero po kilku latach praktyki. Wszystkiego w szkole nie nauczą. Doświadczenie zdobywa się na scenie, a nie w ławkach uczelni. W naszym zawodzie, jak w każdym innym, zawsze jest znacznie więcej rzemieślników niż prawdziwych artystów. Panią Marysię Rego zaliczylibym właśnie do tej pierwszej kategorii.

Pan kapitan pyta, dlaczego powierzyłem jej tytułową rolę w »Marie Octobre«? A cóż miałem robić? Z tekstu sztuki wynika, że właścicielka domu mody jest młodą, bardzo piękną kobietą. Obydwa te warunki Marysia spełnia zadowalająco. Nie miałem po prostu wyboru. Barbara Pawelska kategorycznie odmówiła dalszego występowania w tej sztuce. Nie mogłem jej zmusić. Odmowa zupełnie zrozumiała po tym, co przeszła. Zabić człowieka, nawet przypadkiem, to zawsze wielki wstrząs psychiczny. A cóż dopiero jeżeli ten człowiek jest osobą tak bliską, jakim był Zaremba dla żony inspicjenta. I tak Basia wykazała dużo hartu ducha, że nie skończyło się w szpitalu dla nerwowo chorych.

Sztuka miała duże powodzenie. Następną premiera miała wejść na afisze dopiero za dwa miesiące. Nagle zdarzyła się ta historia. Z obsady ubyło mi dwoje aktorów: Zaremba i Pawelska. Mówię może cynicznie, ale dla dyrektora teatr jest rzeczą najważniejszą. Dlatego trzeba było za wszelką cenę jak najszybciej uzupełnić lukę i wznowić spektakl. Z rolą Rougiera nie było kłopotów, bo Wiśniak mógł grać codziennie. Podobnie zresztą jak pozostali aktorzy obsadzeni w tej sztuce.

Niewiele się namyślając i nie mając wyboru, poleciłem Marysi możliwie najszybsze opanowanie tekstu i po zrobieniu zaledwie trzech prób puściliśmy sztukę z powrotem. Liczyłem i na to, że żadna sensacja publiczność będzie waliła drzwiami i oknami, aby zobaczyć ostatnią scenę – tę, w której gwiazdor filmowy został zastrzelony przy podniesionej kurtynie na oczach widzów.

Miałem też nadzieję, że ta pierwsza fala nie tyle publiczności, co zwyczajnych gapiów, zapewni mi widownię przynajmniej przez tydzień. Przez ten czas Marysia wgrzyzie się w rolę Marie Octobre.

Pan mówi, kapitanie, że sztuka w nowej obsadzie zeszła z afisza po piętnastu przedstawieniach? To racja. Sam ją zdjąłem, aby do reszty nie zepsuć opinii zarówno »Colosseum«, jak i samej sztuce, naprawdę niezłej i zręcznie napisanej. Mam zamiar wznowić ją gdzieś pod koniec sezonu lub w przyszłym roku.

Dlaczego ją zdjąłem? Nie, było innej rady. Niestety, tytułowa rola, jak na razie, przerosła możliwości aktorskie Marysi Rego. Nie pomogły najlepsze chęci. Może gdyby

była obsadzona w tej roli od razu, od początku, i brała udział we wszystkich próbach, reżyser Letyński potrafiłby z niej coś wydobyć. A tak, skacząc na gotowe, fatalnie się potknęła. Sypała się prawie na każdym przedstawieniu. A jej interpretacja postaci Marie Octobre była zupełnie fałszywa. W sztuce to przecież wielka dama, właścicielka modnego magazynu, obracająca się w kołach bogatej i arystokratycznej klienteli. Malie Octobre w wykonaniu Marysi była czymś pośrednim pomiędzy kucharką a dziewczyną z półświatka. Zresztą nic dziwnego. Dotychczas młoda aktorka miała tylko takie role. Na próżno reżyser Letyński wydierał sobie włosy z głowy. Usiłował Marysię poprawić i odpowiednio ustawić, ale nic z tego nie wyszło. Na domiar złego miała za partnera Wiśniaka. Publiczność, ta prawdziwa teatralna publiczność, poznała się na tym i widownia zaczęła świecić coraz większymi łysinami. Woląłem nie doprowadzać do ostateczności. Raz zawałoną sztukę później trudno wprowadzić znowu na scenę.

Pan mówi, kapitanie, że Wiśniak to doskonały aktor, który przecież gra i w teatrze, i w filmie. Nie wiem, kto wydał taką opinię o tym drewnianym, słupie, udającym artystę. Przeszło trzydzieści lat pracuję w teatrze. Przeszedłem wszystkie szczeble od przysłowiowego »Pani hrabino, konie zajechały« poprzez wielkie role, pracę reżysera aż do dyrektorskiego fotela. Daję panu słowo honoru, że takiego typa jeszcze nie widziałem i chyba nie zobaczę. To coś fenomenalnego, żeby przez kilka lat obijać się w różnych teatrach i nie mieć najmniejszego pojęcia o grze. Koń, co ja mówię: koń, nie obrażajmy koni, to inteligentne stworzenia,

ale najgłupszy baran coś by zrozumiał. Wiśniak nic.

Dlaczego go trzymam? Tylko do końca sezonu i ani sekundy dłużej. Mam kontrakt i muszę go honorować. Ale Wiśniaka więcej nie wypuszczę na scenę. Nawet jako milczącego statystę. Najmniejsze zło to płacić mu pensję i nie pokazywać nikomu.

Przyjąłem go, bo musiałem. Dobrze wiedziałem, co to za gość. Zygmunt był postrachem wszystkich dyrektorów teatrów. Ba! Żeby tylko nie umiał grać! To byłoby pół biedy. Mężczyzna zawsze przyda się w teatrze. Jest sporo różnych partii, które trzeba obsadzić i wystarczy do nich pierwszy lepszy statysta. Ale Zygmunt nie tylko chciał grać główne role, ale wprowadzał niesnaski w zespole. Podejrzewałem Zarembę, nie kryję tego, że szyje mi buty i chodzi do ministerstwa na skargi przeciwko własnemu dyrektorowi. To w żadnym zawodzie nie jest wyjątkiem. Dlaczego tego rodzaju fakty nie miałyby zdarzać się również w teatrze? Zarembę, jak tylko przyszedł do mojego teatru, z miejsca wzięłem na bardzo krótki munsztuk. Rozumiałem, że albo ja będę rządził w tym gmachu, albo słynny gwiazdor filmowy. Innego wyjścia nie było. Toteż dochodziło między nami do coraz ostrzejszych starć. Żaden z nas nie chciał ustąpić, ani ja, ani on. Wreszcie przełamałem Mariana. Zrozumiał, że teatr to nie film i nie ma tu kultu gwiazdy. W tym czasie paskudnie wpadłem z »Hasdrubalem«. Zaszargano mi opinię na Krakowskim Przedmieściu. Byli tacy w »Colosseum«, którzy zρέcznie to wykorzystali. Przyznaję, skrzywdziłem Zarembę posadzając go o różne

intrygi. Tymczasem wszystkie donosy, dowiedziałem się o tym po śmierci Mariana, pisał właśnie Wiśniak.

Czego chciał? A bo ja wiem? Ten człowiek jest niezadowolony z własnego losu. Uważa, że każdy jest jego wrogiem. A największym był Marian Zaremba, który zabierał mu główne role w filmie i skazywał Zygmunta na to, żeby w teatrze zawsze był dublerem Mariana. Prasa pisała wyłącznie o Zarembie, bo, Bogiem a prawdą, o Wiśniaku nie można było pisać. Zygmunt uważał, że dzieje się tak dlatego, że głupi sprawozdawcy zafascynowani są nazwiskiem gwiazdy filmowej. A przecież gdyby nie Zaremba, nikt by nie trzymał Wiśniaka nawet pięć minut w teatrze i w filmie. Nie wiem, co ten chłop widział w Zyguncie, ale każdemu stawiał warunek: podpiszę kontrakt, jeżeli Wiśniak będzie dublerem lub jeżeli znajdzie się i dla niego jakaś rola. Ciągnął i ciągnął przyjaciela w górę, a był to wysiłek Tantalą.

Niech pan się nie dziwi, kapitanie, że kiedy dobrało się w jednej sztuce dwoje takich wykonawców, jak Marysia Rego i Zygmunt Wiśniak, publiczność nie mogła tego wytrzymać. Trzeba było na łeb, na szyję próbować następną sztukę i zapowiedzieć premierę.

Nie. Marysia nie miała zbyt wygórowanych ambicji. Wie o tym, że jest ładna. Orientuje się jednak, że wiele jej brakuje, aby być przeciętną aktorką. Jest sprytna i usiłuje wyzyskać swoje warunki zewnętrzne. Chętnie by grała tylko rozbierane role. Kiedy kazałem jej objąć tytułową postać w

»Marie Octobre«, była wręcz przerażona. Z Barbarą Pawelską żyła w zgodzie. Nigdy nie słyszałem, żeby flirtowała z Zarembą lub żeby ją z nim coś łączyło. Takie rzeczy w teatrze są nie do ukrycia.”

„...Tak jest, panie kapitanie. W tamtym dniu, dwudziestego ósmego września, miałem dyżur jako portier. Od dwunastej w południe do północy. Jest nas trzech. Dwanaście godzin pracy i dwadzieścia cztery godziny wolne. Doskonale pamiętam, co się wtedy stało. Ten dzień będę miał przed oczyma do końca życia. Ciągłe widzę pana Pawelskiego, jak wybiega zza kulis i woła do mnie »Morderstwo! Dzwoncie zaraz po milicję i po pogotowie!« A błady był jak papier. Przy Mnie wynosili nieboszczyka pana Zarembę. Boże świeć nad jego duszą. Jeszcze żył. Ustami to tak łapał powietrze, jak ryba wyjęta z wody. Potem odwoziłem panią Pawelską na Ochotę, ona tam mieszka. Płakała całą drogę w taksówce. Ja myślę... Od razu i męża, i... pana Zarembę.

Kiedy to było? To już chyba była druga godzina w nocy. Służba mi się skończyła. Michał Kruszewski, drugi portier, który miał dyżur po mnie, przyszedł ze dwie godziny przedtem. Milicja nie wypuszczała z budynku pracowników teatru. Zresztą i tak bym nie poszedł, dopóki to wszystko się nie skończyło.

Byłem przesłuchiwany, ale krótko. Siedziałem cały czas przy wejściu. Jak zwykle. Zawsze siedzę przy wejściu, w środku budynku. Dopiero kiedy publiczność zapełnia teatr,

wychodzę przed gmach »Colosseum« i stoję na zewnątrz. Ale najwyżej ze czterdzieści minut. Wtedy nieraz ktoś potrzebuje mojej pomocy albo informacji i dlatego stoję na zewnątrz. Kiedy główna fala widzów przepłynie już przez główne wejście, wracam na swoje miejsce. Tuż przy wejściu jest kabinka z centralką telefoniczną i każdy portier jednocześnie odbiera telefony z miasta i przełącza na numery wewnętrzne. Kiedy stoję na zewnątrz, przed bramą, na moim zwykłym miejscu znajduje się jeden z bileterów. Sprzedaje programy. On też umie obsługiwać centralkę i kiedy telefon dzwoni, to podnosi słuchawkę. Specjalnej telefonistki nie zatrudniamy. Czasem siada przy centralce pani Drzewiecka, która pracuje w sekretariacie. Ale w tym dniu jej nie było.

Przypominam sobie bardzo dobrze wypadek pana Wiśniaka. Sprowadzili go z góry, woźny i chyba pan Mason. Ja zatrzymałem taksówkę, którą przyjechali do teatru jacyś państwo. Nie, nikt z panem Wiśniakiem nie pojechał. Tylko pomogliśmy mu wejść do samochodu, bo bardzo kulał. Właściwie to go we trzech wnieśliśmy do auta. Pojechał do pogotowia. Słyszałem, jak pan Wiśniak kazał się wieźć na ulicę Hożą.

Nasz teatr ma od frontu jedno wejście. Tędy też wchodzi i panowie aktorzy. Jest wejście i od podwórza. Są też z sali zapasowe drzwi na wypadek pożaru. Ale one są zawsze od zewnątrz zamknięte. Panowie aktorzy, którzy mają własne samochody, często zajeżdżają nimi na podwórze teatru i wtedy wchodzi tamtym, tylnym wejściem. Ale wieczorem pan dyrektor Hołobla nie pozwala wprowadzać aut na

podwórko teatru i wszyscy parkują wozy na ulicy. Dlatego wieczorem brama na podwórze jest zamknięta.

Widziałem wszystkich aktorów, którzy grali w sztuce i przed przedstawieniem wchodzili do teatru. Przechodzili koło mnie, każdy coś zagadał. Nie, nikogo innego nie zauważyłem. Panią Marię Rego znam dobrze. Na pewno bym widział, gdyby tego dnia przyszła do teatru. To taka ładna kobieta. Chyba jeszcze ładniejsza niż pani Pawelska. I młodsza od niej.

Pamiętam doskonale, że pani Barbara Pawelska przyjechała do teatru razem z panem Zarembą. Jego samochodem. Nowy, jasny mercedes. Podjechali pod teatr, pani Barbara wysiadła, a pan Zaremba odjechał, aby zaparkować wóz na bocznej ulicy. Zaraz potem pan Zaremba wszedł do środka. Ostatnio pani Pawelska często przyjeżdżała wozem pana Zaremby. Oczywiście wiedziałem, że tego dnia pan Zaremba ma wolne. Nawet pomagałem pani sekretarce wykreślać na programach czerwonym ołówkiem nazwisko pana Zaremby.

Po rozpoczęciu przedstawienia nie było telefonów. Dopiero już po tym nieszczęśliwym wypadku zadzwonił pan Wiśniak. Prosił o przełączenie na garderobę pana Zaremby. Powiedziałem mu wtedy, co zaszło w teatrze. Pan Wiśniak aż zaniemówił z wrażenia. Musiałem mu dwukrotnie powtarzać. Mówił mi także, że z jego nogą trochę lepiej, bo go opatrzyli w pogotowiu, i że zadzwonił, bo chciał podziękować panu Zarembie za niespodziewane zastępstwo. Ale pan Zaremba już wtedy nie żył.”

„...jestem bileterem. Stałem przy drzwiach w środku budynku. Portier, Stefan Witomski, był wtedy przed wejściem. Zawsze tak robimy na godzinę przed przedstawieniem. Ja udzielam informacji i sprzedaję programy. Widziałem wchodzących aktorów. Przypominam sobie, jak przyszła pani Pawelska. Niedługo potem pan Zaremba. Wypadek z panem Wiśniakiem zdarzył się tuż przed rozpoczęciem przedstawienia. Wtedy panował największy ruch przy wejściu, więc nie zauważyłem, kto wyprowadzał pana Wiśniaka, ale widziałem ten fakt. Panią Marysię Rego dobrze znam. Tego dnia nie było jej w teatrze. Tego wieczoru nie było żadnych innych aktorów, którzy nie grali w tej sztuce. Pracuję w teatrze już od siedmiu lat i znam aktorów i cały personel techniczny. Przed przedstawieniem inne wejścia do »Colosseum« są pozamykane.

Tak jest, panie kapitanie. Doskonale rozumiem, że to, co teraz mówię panu, będę obowiązany powtórzyć w formie oficjalnego zeznania przed panem prokuratorem, jak również i w sądzie. Mimo to stwierdzam kategorycznie, że żaden z innych aktorów, a szczególnie pani Maria Rego, nie byli tego dnia na przedstawieniu »Marie Octobre«.

„...stawia pan mnie, panie Kapitanie, w bardzo trudnej sytuacji. Czy ja mogę dobrze pamiętać, co działo się wieczorem dwudziestego ósmego września? Od tego czasu upłynęło trzy miesiące. Nie przeczę, jeśli pan twierdzi, że tego dnia miałem dyżur w pogotowiu, to tak było. U nas stale panuje ogromny ruch. Karetki nieraz nie nadążają z wyjazdami do wypadków. Nie zawsze odwożą chorych do

szpitali. Często wracają na Hożą, a my dokonujemy odpowiednich zabiegów. Mamy przecież na miejscu szpital i sale operacyjne. Poza tym masa ludzi zgłasza się do nas bezpośrednio. Nie zawsze jest czas na wypalenie papierosa. W tej masie dokonywanych zabiegów trudno jest zapamiętać jeden drobny fakt. Tym bardziej że minęło od tamtego dnia tyle czasu. Postaram się jednak, w miarę najlepszych moich chęci, zadowolić pana kapitana. Naturalnie rozumiem, że nie kaprys sprowadza pana do nas, tylko jakieś ważne przyczyny.

Każdy wypadek i każda udzielona pomoc notowana jest w naszych książkach. Będę więc szukał wymienionego przez pana nazwiska. Może widząc w książce notatkę, przypomnę sobie szczegóły.

No tak, nazwisko się zgadza. Ale to nic mi nie mówi. Notatka wyjaśnia, że udzielono pomocy i zaznacza, że chodziło tu o zwichnięcie dolnej kończyny. Zaraz, zaraz... Tu przed tym zanotowano: Janusz Barski, rana cięta klatki piersiowej. To był niecodzienny wypadek. Chłopak miał dwanaście lat. Bawił się z kolegami w pobliżu, na Koszykach. Mieli szable czy też miecze wystrugane z twardego drzewa i tą bronią odbywali pojedynki. A może była to bitwa pod Grunwaldem? Dość, że jeden chłopak przebił drugiego. Poważna rana z uszkodzeniem żebra. Tego małego przeprowadził nieco starszy i mądrzejszy kolega. Smarkacz bardziej się bał, co matka powie, aniżeli opatrunku. Wytrzymały chłopak, ani pisnął przy zabiegu, chociaż musiało go boleć jak sto diabłów. Zatrzymaliśmy go w naszym szpitalu i zawiadomiliśmy rodziców.

Wiem, że panu kapitanowi nie chodzi o to dziecko. Mówię o nim, bo dzięki temu przypomniałem sobie następny wypadek. Całkowity kontrast. Dorosły mężczyzna. Uszkodzenie nogi w stawie skokowym. Opowiadał, że zleciał ze schodów. Typowa histeria. Mógł się trochę potłuc, ale nie miał uszkodzonego stawu. O zwichnięciu nawet nie było mowy. Tak, pamiętam, bo mnie rozzłościł. Noga nie spuchnięta i bez śladu uderzenia czy innej kontuzji, a facet histeryzował i nie pozwalał się dotknąć, bo go rzekomo tak bolało. Takie przypadki się zdarzają. Kiedyś przywieziono do nas pacjenta, którego w Puszczy Kampinoskiej ugryzła żmija. Student biologii. Charakterystyczna ranka i noga napuchnięta tak, jak to bywa w takich razach. Daliśmy zastrzyk z surowicy. Ale tym samym samochodem przywieziono sprawcę ukąszenia — żmiję. Okazało się, że jest to niejadowity wąż. Student znalazł objawy występujące po ukąszeniu przez żmiję. Reszty dokonała histeria.

Wypadek, który interesuje pana kapitana, uważam za prawie identyczny. Facet uderzył się lekko w nogę. Może kiedyś ją i zwichnął. Teraz jednak histeryzował. Nie stosowaliśmy żadnych zabiegów. Sprawdziłem jedynie dotykem, że kości i torebka stawowa są w najlepszym porządku. Zresztą nie było nawet opuchlizny. Dla uspokojenia chorego dałem mu jakieś krople, bodaj walerianę, a na nogę założyłem zimny opatrunek pod ceratkę. Zabandażowałem i rzekomy chory poszedł do domu. Sam schodził po schodach. Ból minął z chwilą otrzymania pomocy. Z histerykami tak zawsze bywa.

Skoro pan kapitan uważa, że to, co powiedziałem, ma tak wielkie znaczenie, chętnie złożę zeznania. Dobrze, jutro o dziesiątej rano będę u pana prokuratora Jasioły na Świerczewskiego. Nie, dziękuję, nie potrzebuję urzędowego wezwania, bo rano nie mam dyżuru.”

„...nie, panie kapitanie, nie powiem panu ani słowa. Mam już dosyć tej sprawy. Umarłego nikt nie wskrzesi, a żywym moje zeznania mogą tylko zaszkodzić. Wprawdzie zaraz po wypadku miałam o tym inne zdanie, lecz teraz wszystko przemyślałam. Widzę, że w całej tej tragedii jest tylko jedna osoba winna, właśnie ja sama. Dużo bym dała, nawet życie, aby móc to okupić. Niestety, przeszłości nie da się cofnąć. Złożyłam oficjalne oświadczenie panu prokuratorowi Jasiołę, że nie stanę na rozprawie jako świadek i że nie zgadzam się, aby moje zeznania w śledztwie były dołączone w poczet dowodów procesowych.

Pan twierdzi, że moje zeznania mogą mieć zasadnicze znaczenie dla uwolnienia, a nawet życia męża? Właśnie dlatego ich odmawiam. Już i tak jestem winna jednej śmierci. Nie chcę brać na swoje sumienie drugiej.

Kapitan twierdzi, że Jerzy siedzi w więzieniu niewinnie i to nie on zamienił pistolety? Przecież dotychczas obaj — pan i prokurator — twierdziliście coś wręcz przeciwnego. Skąd ta nagła zmiana?

Nie wiem, czy mogę panu wierzyć? Czy to nie jest jakiś podstęp milicji, żeby ze mnie wydobyć coś, co jeszcze

bardziej pograżyłoby mojego męża. Przez te ostatnie miesiące dużo wycierpiałam i dużo zrozumiałam. Innymi też oczyma patrzę dzisiaj na człowieka oczekującego w celi na rozprawę. Nawet jeśli jest winien, ta wina obciąża nas oboje.

Dobrze, zaufam pańskiemu słowu. Strasznie bym się cieszyła, gdyby to, co pan przed chwilą powiedział o niewinności Jerzego, było prawdą, a nie tylko pańskim przypuszczeniem. Proszę, niech pan pyta.

Oczywiście pamiętam przebieg całego tamtego dnia — dwudziestego ósmego września. Z samego rana awantura w domu z mężem. Znowu przyczepił się do czegoś bez najmniejszego powodu i doprowadził do kłótni. Oboje jechaliśmy do teatru na próbę, na tę samą godzinę, ale osobno wyszliśmy z domu i wsiedliśmy do dwóch różnych tramwajów. W teatrze chyba wspomniałam w rozmowie z kolegami, że powodem mojego braku humoru i zdenerwowania jest nowa historia w domu. Nie przypominam sobie, do kogo to mówiłam. Być może, że moje słowa skierowane były do większej liczby kolegów. Żadnych nazwisk panu nie wymienię.

W domu nastrój przy obiedzie był jak w rodzinnym grobie. Mąż nie odezwał się do mnie ani słóweczkiem. Nie rozmawiał nawet z dziećmi. Nie mogłam dłużej wytrzymać w takiej atmosferze i po obiedzie pojechałam do miasta. Gdzie byłam? To dla sprawy jest zupełnie obojętne. Dość, że mniej więcej o godzinie wpół do piątej razem z Mariannem Zarembą znaleźliśmy się w SPATIF-ie. To popularny lokal aktorski w Alejach Ujazdowskich. Byłam porządnie

głodna, bo obiadu prawie nie tknęłam, a nie chciałam grać przy pustym żołądku.

Zamówiliśmy więc coś do jedzenia. Nie pamiętam już co, ale to chyba bez znaczenia. W każdym razie solidne gorące danie. Tylko dla mnie. Marian miał skłonności do tycia i po południu wypijał jedynie filiżankę kawy.

Pamiętam, że w czasie jedzenia, kiedy patrzyłam na zegarek, Zaremba uspokoił mnie, że mam dość czasu, nie muszę się śpieszyć, gdyż odwiezie mnie do »Colosseum«.

Spytałam go wtedy, skąd ta zmiana decyzji. Marian odpowiedział, że wybiera się do »Colosseum« na prośbę Zygmunta. Wiśniak postanowił olśnić go nową interpretacją roli Rougier. Zaremba śmiał się mówiąc o spodziewanej z tego powodu awanturze z reżyserem Letyńskim. Marian zdawał sobie doskonale sprawę z wartości aktorskiej Wiśniaka. Był pewien, że samodzielna interpretacja roli postaci Rougier wbrew koncepcjom reżysera wyjdzie tylko na złe. Marian miał jednak przedziwną słabość do swojego przyjaciela. Zawsze wyciągał go z różnych kabał, w jakie Wiśniak nieustannie się pakował, i zawsze mu ustępował. I tym razem przyrzekł mu, że przyjdzie do teatru i w czasie przedstawienia będzie na widowni. Wiem dobrze, że było to bardzo nie na rękę Zarembie, bo wówczas opracowywał rolę w nowym filmie. Przygotowywał też coś dla telewizji i zamiast tracić czas w »Colosseum«, powinien był siedzieć w domu i uczyć się ról.

Przecież, panie kapitanie, gdyby Marian nie usłuchał Wiśniaka, żyłby do dzisiaj. Nie wyszedłby na scenę i nie

zginął od mojego strzału. Najwyżej Hołobla musiałby odwołać przedstawienie i kasa zwróciłaby za bilety. Co to znaczy przeznaczenie. Widocznie sądzone mu było, że zginie od kuli, i nie mógł uniknąć swojego losu.

Przy wypadku Wiśniaka nie byłam. Już wprawdzie byłam przebrana i ucharakteryzowana do wyjścia na scenę, ale siedziałam jeszcze w garderobie i piłam kawę. Dopiero garderobiana przysłała z wiadomością, że Zygmunt zwichnął nogę i że Zaremba za niego zagra. Co było dalej, pan sam wie.

Jeszcze taki mały szczegół. Kiedy byliśmy w SPATIF-ie, Mariana odwołano do telefonu. Wrócił za pięć minut i śmiał się »ten nudziarz jeszcze raz mnie męczył, żebym koniecznie przyszedł do "Colosseum". Wyobraża sobie, że olśni świat. Byle tylko nie skończyło się gwizdami. Chciałem wytłumaczyć mu bezsensowność tego pomysłu, ale sama wiesz, że jest uparty jak osioł. Pójdę i może zdołam go namówić, żeby nie robił głupstw.« Potem o Wiśniaku nie było już więcej mowy.

Nie rozumiem, panie kapitanie, dlaczego moje zeznania mają być takie ważne dla sprawy. Nie mówiłam nic na ten temat przedtem, bo po prostu te drobiazgi wyszły mi wtedy z pamięci. Jeżeli pan uważa, że mają one zasadnicze znaczenie dla udowodnienia niewinności Jerzego, chętnie powtórzę je przed panem prokuratorem.

Pan mówi, że to ostatni dowód w ogniwach poszlak i że teraz już na pewno mój mąż będzie zwolniony? Tak bym się strasznie cieszyła. Naprawdę bardzo, bardzo... Może przyszłość będzie lepsza?

Bardzo dziękuję panu kapitanowi za obietnicę zawiadomienia mnie, kiedy mąż będzie opuszczał mury więzienia. Siedzi od końca września ubiegłego roku. Prawie cztery miesiące. Poważnie obawiam się o jego zdrowie. Zwłaszcza o gardło. I tak mówił z trudem. Pan twierdzi, kapitanie, że jest zupełnie zdrow i z głosem dużo lepiej? Pan jest bardzo miły. Więc trzymam za słowo z tym terminem. Chciałabym czekać na niego przed bramą. A może lepiej nie? Co on mi powie wychodząc z celi? Jak będziemy na siebie patrzyli? Czy aby nie jak dwoje śmiertelnych wrogów? Pan uważa, że lepiej przyjść? Dobrze. Będę. Plotę jak wariatka, ale ta wiadomość tak mnie poruszyła. Jeszcze raz dziękuję panu kapitanowi.”

ROZDZIAŁ XV

Bramy więzienia

Więzień celi nr 38, Jerzy Pawelski, siedział na stoiku i z zainteresowaniem czytał książkę. Jego doskonała obojętność zniknęła bez śladu. Teraz był ożywiony, chętnie rozmawiał ze strażnikami i nawet z innymi współtowarzyszami niedoli. Wprawdzie nadal nad drzwiami celi wisiała tabliczka „I”, ale oddziałowi patrzyli przez palce na drobne wykroczenia przeciwko regulaminowi. Więzienie oddzielone jest od ulicy wysokim murem. Jeszcze wyższe bariery, choć nie z cegieł, oddzielają tutejszych lokatorów od życia. A jednak za murami więziennymi wie się wszystko. Wieści przenikają jakimiś tajemniczymi drogami. Dlatego też zarówno strażnicy, jak i więźniowie dobrze byli poinformowani, że w sprawie więźnia celi 38 zaszyły korzystne dla niego zmiany. On sam zresztą codziennie czekał, że prokurator wezwie go znowu na przesłuchanie, ale mijały dni i nikt nie zakłócał spokoju jego celi. Od ostatniej rozmowy w gabinecie prokuratora Jasioły minęły już dwa tygodnie.

Dochodziła godzina jedenasta. Pora codziennego spaceru. Dlatego więzień nie zdziwił się słysząc kroki zbliżające się do celi i odgłos klucza wkładanego do zamka.

— Spacer? — spytał stojącego w drzwiach oddziałowego.

— Zabierajcie się. Z rzeczami. Na wolność.

— Ja? Na wolność? — Pawelski zdawał się nie rozumieć słów.

— Jak mówię na wolność, to na wolność. Biercie szybko swoje rzeczy, bo czekają na was przy kracie, żeby załatwić formalności w kancelarii.

Więzień starał się śpieszyć, ale szło mu to dziwnie opornie. Palce drżały. Skromny dobytek mieszkańca celi coraz to wysuwał się z rąk i upadał na ziemię.

— Tak się grzebiecie, myślałby kto, że wam żal stąd wychodzić — dobrotliwie dogadywał strażnik.

— Kiedy nie spodziewałem się.

— To pan jest chyba jedynym, który tego nie oczekiwał, w tym więzieniu. Inni ciągle mają nadzieję. Niektórzy od dziesięciu lat. Liczą na amnestię i wyjście na wolność przed terminem. Prędeż, prędeż.

— Jestem gotowy — rzekł Pawelski.

— Obejrzyjcie wszystkie kąty. W łóżku patrzyliście? Żeby nie zostawić najmniejszego drobiazgu. Nawet chusteczki do nosa. Jeśli ktoś, zapomni czegoś w więzieniu, zawsze tu wraca — strażnik święcie wierzył w stary więziński zabobon, że niczego nie wolno zostawić w celi i po przekroczeniu jej progu nie wolno do niej wracać.

— Mam wszystko.

— No to pięknie. Idziemy. A cela przyda się dla waszego następcy. Czytałem w gazetach. Piszą o tym dzisiaj na pierwszej stronie. Złapali tego, co zabił Zarembe.

Przyznał się do wszystkiego. Też aktor. Jakiś Wójcik.

— Wójcik? — zdziwił się inspicjent.

— Może i nie Wójcik, tylko jakoś podobnie. Nie mam głowy do nazwisk. Jak mu tam? — strażnik szukał w pamięci i powiedział z nutką tryumfu w głosie:

— Mam. Zygmunt Wiśniak.

— Wiśniak? — niezmierne zdumienie odbiło się na twarzy Pawelskiego. Trzymane w ręku drobiazgi potoczyły się po podłodze.

— Ano Wiśniak. Przyznał się do zabicia Zaremby, bo ten zabierał mu najlepsze role i zawsze stawał mu na drodze. Nie dopuszczał tego Wiśniaka do niczego, wszystko zagarniał dla siebie.

— Co za brednie!

— Tak piszą w gazecie. To znaczy, że tak mówił Wiśniak, przyznając się do zabójstwa. Pewnie dziś, jutro przywiozą go do nas. Dam mu celę po was, chociaż nie widzi mi się, żeby długo u nas siedział.

— Wiśniak? Zygmunt Wiśniak? To chyba niemożliwe?

— Poczekajcie, mam chyba przy sobie tę gazetę — strażnik zaczął przeszukiwać kieszenie munduru. Z jednej z nich wydobyl złożoną na czworo zadrukowaną płachtę papieru. Rozwinął ją.

— Mielicie izolację i nie wolno wam czytać gazet, ale skoro idziecie na wolność, to za piętnaście minut i tak moglibyście sami kupić. Czytajcie.

Pawelski trzęsącymi rękoma wziął dziennik. Na pierwszej stronie znalazł duży tytuł przez cztery szpalty.

ARESztOWANIE MORDERCY
GWIAZDORA FILMOWEGO —
MARIANA ZAREMBĘ ZABIŁ
JEGO NAJBLIŻSZY PRZYJACIEL —
ZYGMUNT WIŚNIAK
PRZYZNAJE SIĘ DO ZBRODNI

PRZED PARU DNIAМИ Z NAKAZU PROKURATORA RYSZARDA JASIOŁY ARESztOWANY ZOSTAŁ ZNANY AKTOR TEATRU „COLOSSEUM” ZYGMUNT WIŚNIAK. NASI CZYTELNICZY NA PEWNO PRZY-POMINAJĄ SOBIE, ŻE W DNIU 28 WRZEŚNIA, NA SCENIE „COLOSSEUM”, PRZY PODNIESIONEJ KURTYNIE, PADŁ STRZAŁ. AKTOR-KA, BARBARA PAWELSKA, ZABIŁA POPULARNEGO GWIAZDORA TEATRU I FILMU MARIANA ZAREMBĘ. W GRANEJ WÓWCZAS SZTUCE „MARIE OCTOBRE” BOHATERKA DRAMATU ZABIJA NA SCENIE ZDRAJCĘ ROUGIER. NATURALNIE PAWELSKA POSŁUGI-WAŁA SIĘ NA SCENIE BRONIĄ ZE ŚLEPYM NABOJEM. TYM RAZEM W LUFIE PISTOLETU BYŁA PRAWDZIWA KULA. AKTOR TRAFIONY W SERCE ZMARŁ NATYCHMIAST.

NIE BYŁ TO JEDNAK WYPADEK, LECZ PERFIDNIE UPLANO-WANE ZABÓJSTWO. CZYJAŚ ZBRODNICZA RĘKA ZAMIENIŁA PO-CISKI. PO PRAWIE CZTEROMIESIĘCZNYM ŚLEDZTWIE USTALONO, ŻE MORDERCĄ JEST AKTOR TEATRU „COLOSSEUM” ZYGMUNT WIŚNIAK. KORZYSTAJĄC Z NIEUWAGI KOLEGÓW, ZAMIENIŁ LEŻĄCY NA STOLE PISTOLET NA INNY, NABITY OSTRYM PO-CISKIEM.

WIŚNIAK RAZEM Z ZAREMBĄ GRALI TĘ SAMĄ ROŁĘ ROUGIERA. W DNIU 28 WRZEŚNIA MIAŁ GRAĆ WIŚNIAK. ZWABIŁ ON MARIANA ZAREMBĘ DO TEATRU POD POZOREM POKAZANIA MU NOWEGO SPOSOBU INTERPRETACJI POSTACI ROUGIER I PRZED SAMYM WYJ-ŚCIEM NA SCENĘ UPOZOROWAŁ WYPADEK ZWICHNIĘCIA NOGI.

WTEDY TEŻ DOKONAŁ ZAMIANY PISTOLETÓW.

POCZĄTKOWO, JAK JUŻ PODAWALIŚMY, PODEJRZENIA O ZABÓJSTWO ZAREMBY PADŁY NA INSPICJENTA TEATRU JERZEGO PAWELSKIEGO, KTÓRY ZOSTAŁ ZATRZYMANY DO DYSPOZYCJI WŁADZ.

DŁUGOTRWALE ŚLEDZTWO PROWADZONE PRZEZ JEDNEGO Z NAJLEPSZYCH FACHOWCÓW, KAPITANA WITOLDA ŁAPIŃSKIEGO ZE STOŁECZNEJ KOMENDY MO, POZWOLIŁO NA WYKRYCIE PRAWDY I ARESZTOWANIE WŁAŚCIWEGO PRZESTĘPCY.

WARTO DODAĆ, ŻE ZYGMUNT WIŚNIAK UCHODZIŁ ZA NAJBARDZIEJ ODDANEGO PRZYJACIELA POPULARNEGO GWIAZDORA. SAM BYŁ MIERNYM AKTOREM I CAŁĄ SWOJĄ KARIERĘ SCENICZNĄ, W TYM RÓWNIEŻ W TEATRZE „COLOSSEUM”, ZAWDZIĘCZA WŁAŚNIE SWOJEJ OFIERZE. ZAREMBA GRAJĄC JEDNOCZEŚNIE W FILMIE, W TEATRZE I WYSTĘPUJĄC W TELEWIZJI, POTRZEBOWAŁ DUBLERA I STAWIAŁ WARUNEK, ABY TĘ FUNKCJĘ PEŁNIŁ ZAWSZE WIŚNIAK. NAZYWANO GO NAWET „CIENIEM ZAREMBY”. JAK W ZNANEJ ŚREDNIOWIECZNEJ LEGENDZIE, CIENI ZAMORDOWAŁ SWOJEGO PANA.

PRZYCZYNĄ ZBRODNI BYŁA CHOROBLIWA ZAZDROŚĆ WIŚNIAKA, KTÓRY WYOBRAZIŁ SOBIE, ŻE JEST GENIALNYM AKTOREM, A TYLKO ZAREMBA SPYCHA GO DO ROLI DUBLERA I NIE POZWAŁA ZDOBYĆ SCENICZNEJ SŁAWY. NIE BEZ WPŁYWU NA STAN MORDERCY BYŁO RÓWNIEŻ I TO, ŻE OD DAWNA JEST ON NARKOMANEM.

ARESZTOWANY ZBRODNIARZ, WOBEC NIEODPARTYCH DOWODÓW JEGO WINY, JUŻ NA PIERWSZYM PRZESŁUCHANIU PRYZNAŁ SIĘ DO WINY.

JAK SIĘ DOWIADUJEMY, NIESŁUSZNIE PODEJRZEWANY O

MORDERSTWO INSPICJENT „COLOSSEUM”, JERZY PAWELSKI, BĘDZIE ZWOLNIONY Z TYMCZASOWEGO ARESZTU JESZCZE W DNIU DZISIEJSZYM. DYREKTOR TEATRU „COLOSSEUM”, STANISŁAW HOŁOBLA, OŚWIADCZYŁ NAM, ŻE ZARÓWNO ON, JAK I WSZYSCY AKTORZY ORAZ POZOSTALI PRACOWNICY TEGO TEATRU Z WIELKĄ RADOŚCIĄ POWITAJĄ POWRÓT POPULARNEGO KOLEGI DO PRACY. NIGDY ŻADEN Z PRACOWNIKÓW „COLOSSEUM” NIE WIERZYŁ W JEGO WINĘ. TRZEBA JESZCZE PRZYPOMNIEĆ, ŻE INSPICJENT TEATRU TO NIKT INNY, TYLKO ZNANY PRZED LATY ZARÓWNO W POLSCE, JAK I ZA GRANICĄ ŚPIEWAK OPEROWY GIOVANNI PAVELINI.

PROCES ZYGMUNTA WIŚNIAKA, KTÓRY ODBĘDZIE SIĘ W NAJBLIŻSZYCH MIESIĄCACH, STANIE SIĘ NIEWĄTPLIWĄ SENSACJĄ KÓŁ ARTYSTYCZNYCH STOLICY.

Pawelski długo czytał ten krótki tekst. Chyba aż trzykrotnie przejechał oczyma po szpaltach gazety. Wreszcie oddał ją oddziałowemu.

— Teraz rozumiem — powiedział ni to do strażnika, ni to do siebie. — Wiśniak zaraz po upadku ze schodów dokuśtykał do stolika z rekwizytami i usiadł na nim. Jęczał z bólu i prosił o zawołanie pogotowia, przyniesienie z apteczki bandaża i podanie mu szklanki wody. Wszyscy rozbiegli się, aby mu pomóc. Ja do telefonu, dzwonić do pogotowia, kurtyniarz po szklankę z wodą, a obecni w kulisie aktorzy do apteczki wiszącej w korytarzu z garderobami. Wiśniak został sam i w tym momencie zamienił pistolety. Ale że to on? Śmierci bym się prędzej spodziewał! Rzeczywiście, cień zabił swojego pana.

— Iii, bo to prawda? — zaproponował strażnik. — Cień jest cieniem i nic więcej.

— Ale nie w teatrze. Widocznie są cienie, które zabijają. W każdej legendzie jest trochę prawdy. Co z nim teraz się stanie?

— Co ma być? Jeżeli psychiatrzy orzekną, a na pewno będą go badać, że zdrów, to... — to mówiąc strażnik zrobił wymowny ruch ręką w kierunku szyi — czapa.

— Potworne — szepnął Pawelski.

— Żeby go nie złapali, to z wami byłoby to samo. Jak amen w pacierzu.

— Brr... — wzdrygnął się więzień.

— Z wami było bardzo źle. Wie się coś niecoś o swoich „klientach”. Niejedni tu przecież siedzieli. Nawet w tej samej celi. Nie macie go co żałować. Kiedy czekaliście na proces i na wyrok, wiadomo, daliby wam karę główną, on spokojnie chodził po Warszawie, bawił się i uważał, że wszystko w porządku.

— Nie wiadomo, jak to przeżywał.

— Przeżywał? Wcale nie przeżywał. Zadowolony był drań, że zamiast niego ktoś inny zadynda na sznurze. Przecież specjalnie tak ułożył, aby nikt się nie domyślił, że to on zamienił kulę, a żeby morderstwo zapisali na wasze konto.

— Nie przyznawałem się do zabójstwa Zaremby, bo jak już teraz wiecie, nie ja go zabiłem. Nigdy bym jednak nie domyślił się, że zrobił to Zygmunt. Sądziłem, że chciano zabić Wiśniaka, a przez przypadek zastrzelono Zarembę.

— Podziękujcie milicji, że zdołała wyjaśnić. Temu

kapitanowi, którego nazwisko wymieniają w gazecie.

— Kapitan Witold Łapiński. Teraz rozumiem, dlaczego twierdził, że mówię głupstwa, kiedy ostatni raz zeznawałem u prokuratora. Już wtedy oficer śledczy wiedział albo domyślał się, kto jest prawdziwym zabójcą. A ja go posądzałem, że chce mnie koniecznie posłać na szubienicę.

— Wiadomo, jak kto siedzi w areszcie, to wydaje mu się, że cały świat jest przeciwko niemu. Nawet na nas, strażników więziennych, patrzą krzywym okiem. A my co? Pilnujemy tylko, żeby w więzieniu było czysto i porządek. Jest regulamin, a reszta to nie nasza sprawa. Ale czy to ludzie rozumieją?

Strażnik wygłaszałby jeszcze dłużej swój monolog na temat ciężkiej pracy, jaką ma w oddziale, ale w porę sobie przypomniał, że przecież nie przyszedł tutaj na rozmówki. Dopiero teraz spostrzegł, że rzeczy więźnia leżą rozrzucone na podłodze, a Pawelski nadal stoi jak ośłupiały i niewiele rozumie, co się wokół niego dzieje.

— Co wy robicie? — oddziałowy przybrał surowszy ton głosu. — Kiedy wreszcie pozbieracie swoje manele?

— Już zbieram, panie oddziałowy — więzień schylił się i niezdarne zaczął po raz drugi zwijać swój skromny dobytek.

— Pośpieszcie się. Tu każdy, jak usłyszy „na wolność”, to tak fryga, jak gdyby się bał, że prokurator gotów się rozmyślić. A wy stoicie jak słup. A ręce jak dziurawe.

Wszystko wam przez nie przelatuje.

Pawelski niezdarnie pozbiierał swoje rzeczy.

— No, chodźmy prędzej — strażnik naprawdę się zdenerwował. — Za bramą czeka żona.

— Baśka? Przyszła? — rzeczy znowu powędrowały na podłogę.

— Co za człowiek! Znowu mu leci z rąk. Już nie ruszajcie. Sam zbiorę, bo inaczej i za dziesięć lat nie wyjdziecie z tego budynku — strażnik nachylił się i szybko, fachowymi ruchami zrobił z majątku więźnia zręczny tłumoczek.

Za chwilę Pawelski po raz ostatni usłyszał zgrzyt zamkniętych drzwi, tym razem już pustej celi. Oddziałowy odprowadził go do kraty przy klatce schodowej i otworzył małe drzwiczki.

— Bywajcie — powiedział wyciągając rękę.

— Do widzenia, panie oddziałowy. Dziękuję za wszystko. Co złego, to nie ja.

— Iii — strażnik machnął ręką — z wami nie było żadnych kłopotów. Cella zawsze zamieciona i czysta. Nigdy jakichś brewerii. Ale wychodząc z więzienia nie mówi się „do widzenia”, tylko „żegnajcie”.

— No to żegnajcie.

— Żegnajcie. Może kiedy spotkamy się za bramą.

— Na pewno. Wtedy pójdziemy na piwko albo i na kielicha.

— Pójdziemy — obiecał strażnik. — Będziecie ze śmiechem wspominali pobyt u nas. Żegnajcie.

Inny strażnik odprowadził więźnia do kancelarii, gdzie

szybko i z dużą życzliwością załatwiono ostatnie formalności.

W kilka minut potem były więzień celi 38, Jerzy Pawełski, szedł w stronę bramy więziennej. Szedł powoli, nie śpiesząc się. Po jego wyrazistej twarzy przebiegały raz po raz to radość, to niepewność, to nawet strach. Za bramą czekała osoba mu najbliższa i czekało na niego nowe życie.

— Jaka będzie ta kobieta? Jaka będzie przyszłość?

Klucznik przy bramie był uprzedzony i na widok zbliżającego się człowieka otworzył żelazną furkę.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Cela nr 38	5
Fatalny dzień 28 września	15
Mój życiorys	32
Przesiuchanie u prokuratora	49
Zapiski więźnia celi 33	69
Pistolet marki Walter	85
Panie prokuratorze	99
Głos zza grobu	116
Drugi pistolet	131
Więzień celi nr 38 protestuje	147
Pamiętnik napisany w celi	162
Pomyłka mordercy	178
Tylko morderca wiedział	202
Stenogramy kapitana Łapińskiego ...	212
Bramy więzienia	223